Opowieść o historii i zagładzie żydowskiej osady na kresach

NIEBIOSA SĄ PUSTE

ODKRYWANIE ZAPOMNIANEGO MIASTA

Świat Książki

AVROM BENDAVID-VAL

Avrom Bendavid-Val

Niebiosa są puste

Z angielskiego przełożyła
Małgorzata Szubert

Świat Książki

Izrael Beider

NA WODZIE

Moi bracia dopłynęli do odległego brzegu,

Stanęli na twardym gruncie.

Zostałem samotny gdzieś w połowie drogi.

Mój statek był zbyt obciążony.

Za późno, pomyślałem, choć mógłbym się pośpieszyć

i dotrzeć

na drugą stronę.

Ale wtedy zapadła noc.

A kto wie, ile potrwa, nim nastanie dzień.

Ziemia, na której stoję, jest jak piana

na wodzie.

Widzę małą gwiazdę,

Migoczącą z oddali.

Bracia przesyłają mi pozdrowienia.

Ich płomień płonie po tamtej stronie.

Ten wiersz w języku jidysz został znaleziony wśród wycinków z gazet ocalonych przez Jontele Beidera. Autorem jest brat Jontele, Izrael Beider, wiersz zaś ukazał się prawdopodobnie w 1939 roku w „Podlajszer Cajtung" („Gazecie Podlaskiej"), wychodzącej w Międzyrzecu Podlaskim, gdzie Izrael Beider wówczas mieszkał. „Podlajszer Cajtung" publikowała wiele jego wierszy.

Książka ta poświęcona jest memu ojcu, JomTow (Jontele) Beiderowi z Trochenbrodu. W 1932 roku ojciec wyjechał do Palestyny i zmienił nazwisko na Chagai Bendawid, a w roku 1939 wyemigrował do Stanów Zjednoczonych; trzydzieści lat później zmarł w Waszyngtonie. Nieczęsto wspominał Trochenbrod, ale jego tęsknota i sentyment do tego miasteczka pozostały wciąż żywe. Pamięć o tym skłoniła mnie do odnalezienia tego zagadkowego miejsca i próby wczucia się w jego ducha oraz do wieloletnich poszukiwań, których rezultatem jest ta książka.

Brygada budowlana, Tel Awiw 1934. Chagai Bendawid z papierosem w dłoni.

Mińsk
Grodno
BIAŁORUŚ
ROSJA
Białystok
Wisła
Bug
Homel
Dniepr
Warszawa
Brześć
Pińsk
Prypeć
Łódź
Kołki
Radom
Lublin
Kowel
Czarnobyl
N
POLSKA
Chełm
Trochenbrod
(Zofiówka)
UKRAINA
Nowogród Wołyński
Łuck
Równe
Ostróg
Kijów
Żytomierz
Kraków
Wisła
Brody
Biała Cerkiew
Dniepr
Lwów
(Lviv)
Berdyczów
Tarnopol
Płoskirów (Chmielnicki)
Winnica
Stanisławów
Kamieniec Podolski
SŁOWACJA
Karpaty
Dniestr
Czerniowce
WĘGRY
MOŁDAWIA
Budapeszt
RUMUNIA

Przedmowa
NASTĘPNEGO ROKU W TROCHENBRODZIE

Gdyby diaspora znów istniała, gdyby całą historię Żydów można było skondensować w jednym miejscu – w którym niczym w probówce skupiłyby się żywiołowość i katastrofa, pragnienia, pomysłowość i zniszczenie – znaleźlibyśmy się w Trochenbrodzie. Im więcej dowiadywałem się o owym sztetlu – a większość mojej wiedzy pochodzi z tej właśnie książki – tym wyraźniej czułem, że było to najbardziej niezwykłe miejsce na ziemi.

W 2002 roku wniosłem swój wkład do niewielkiego, choć mającego zróżnicowany charakter księgozbioru poświęconego Trochenbrodowi. Moja powieść *Wszystko jest iluminacją* to rezultat wyprawy dwudziestoletniego studenta pragnącego odszukać kobietę, która ocaliła jego dziadka, Louisa Safrana, od śmierci z rąk nazistów. Nie jest to książka o dziejach Trochenbrodu, lecz głęboko osobista opowieść o przeżyciach młodego człowieka w ojczyźnie jego przodków.

Niebiosa są puste opisują niezwykłą historię niezwykłego miejsca. Jeśli ta książka wydaje się w większym stopniu fikcją literacką niż moja powieść, dzieje się tak z powodu wyjątkowości Trochenbrodu, okropieństwa Holokaustu oraz dociekliwości i talentu pisarskiego Bendavida-Vala. Tę rzetelną dziennikarską relację czyta się czasem jak science fiction, czasem jak powieść z nurtu realizmu magicznego albo dreszczowiec, a zawsze jak tragedię. Można przyłapać się na łzach przy lekturze fragmentów, które wcale nie są smutne.

Żydzi kończą wieczór sederowy – obchodzony na pamiątkę wyjścia z Egiptu i dla uczczenia nieustannego dążenia do wolności – słowami: „Następnego roku w Jerozolimie". Może wydawać się to osobliwe nam, którzy nie mieszkamy w Jerozolimie, ale jeśli chcemy tam się znaleźć, nie musimy czekać do przyszłego roku. Nie wybieramy się tam, bo nie czujemy potrzeby.

Słowa te nie odnoszą się jednak do Jerozolimy jako miejsca na mapie, lecz do idei. Następnego roku spotkamy się więc w miejscu odkupienia, w miejscu, gdzie gromadzą się kawałki wszechświata i gdzie bardziej przypominamy ludzi z opowieści, które opowiadamy sobie o nas samych.

Trochenbrod nigdy nie będzie odkupiony, a my nigdy nie znajdziemy się tam w następnym roku. Śmierć nie zamieni się w życie, domy nie wyrosną z ziemi. Diaspora nie wróci. A mimo to my, czytelnicy tej książki, jesteśmy mieszkańcami

tego miasteczka.

Trochenbrod był najbardziej niezwykłym miejscem na ziemi. Nie był... jest.

JONATHAN SAFRAN FOER

Brooklyn, Nowy Jork

Wprowadzenie

JAK TO SIĘ ZACZĘŁO

Było niegdyś na zachodniej Ukrainie miasto zwane Trochenbrod. Kwitły w nim wszelkiego rodzaju handel i rzemiosło, z całej okolicy zjeżdżali się tam ludzie do pracy lub by coś kupić albo sprzedać. W Trochenbrodzie były poczta, posterunek policji, oddział straży pożarnej, dom kultury, szkoły i wszystko, czego można oczekiwać w małym, ale tętniącym życiem mieście. Nic nie pozostało. Jedynym śladem po głównej ulicy miasteczka jest biegnąca po pustkowiu droga, którą jeżdżą ciągniki i wozy konne.

Ojciec nigdy nie opowiadał mi o swym rodzinnym mieście, ja zaś, dorastając w Ameryce lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, nigdy go nie pytałem. Gdy zdarzyło się jednak, że o nim wspomniał, wymawiał słowo „Trochenbrod" tonem, w którym wyczuwało się tęsknotę, sentyment i smutek; zawsze wykrzywiał przy tym usta w półuśmiechu, jakby dawał do zrozumienia, że było to „zabawne małe miasteczko". Gdy ojciec odszedł, wiedziałem o Trochenbrodzie tylko tyle, ile udało mi się wyczytać ze sposobu, w jaki wymawiał tę nazwę. Krewni mówili mi, że Trochenbrodu już nie ma, ale nie miało to dla mnie znaczenia. Nie robiło na mnie wrażenia ani to, że takie miasteczko kiedyś istniało, ani to, że już nie istnieje. Trochenbrod był dla mnie tylko niewyraźnym cieniem.

Nagle przestał nim być. Stało się to, gdy z przyczyn, których już nie pamiętam, znalazłem się w mormońskim centrum poszukiwań rodzinnych, aby odnaleźć Trochenbrod, i odkryłem pierwsze potwierdzenie w druku, że miasteczko naprawdę istniało i miało następujące współrzędne geograficzne: 50°55'21,68" szerokości geograficznej północnej i 25°43'07,54" długości geograficznej wschodniej. Pod współrzędnymi znajdowało się objaśnienie, że mieszkańcami miasta byli w większości Żydzi, że znano je pod dwiema nazwami – Trochenbrod i Zofiówka i że zostało całkowicie zniszczone podczas Holokaustu. Niespodziewanie okazało się realne – to miejsce naprawdę kiedyś było, a teraz go już nie ma. Miało dwie nazwy, musiało więc istnieć. Co mogło tam pozostać? Musiały przetrwać przynajmniej jakieś ślady budynków, które kiedyś stały tam, w miejscu określonym przez współrzędne.

Tego rodzaju myśli kołatały się niekiedy gdzieś w tyle mojej głowy w czasach, gdy pracowałem jako specjalista w zakresie rozwoju gospodarczego krajów rozwijających, aż któregoś dnia podczas pobytu w Warszawie dotarło do mnie, że Trochenbrod leży tuż za granicą z Ukrainą, trochę na południe. Dotarcie

tam nie powinno być zbyt trudne. Dlaczego nie spróbować? Był rok 1997. Zdobyłem telefon młodego człowieka, który zakładał właśnie we Lwowie firmę zajmującą się badaniami genealogicznymi na zlecenie rodzin żydowskich i był gotów służyć jako przewodnik, tłumacz i kierowca ludziom takim jak ja. Uzgodniliśmy terminy i ustaliliśmy, że wyruszymy na poszukiwanie Trochenbrodu w listopadzie tego roku.

Ten młody człowiek nazywał się Aleksander Dunaj. Jakieś dziesięć lat później wiele ciepłych słów poświęcił mu inny klient, który został jego przyjacielem, Daniel Mendelssohn, w książce *Zagubieni. W poszukiwaniu sześciorga spośród sześciu milionów*. Aleks towarzyszył Danielowi podczas wizyty w małym miasteczku na Ukrainie, gdzie mieszkali i zostali zamordowani jego krewni, pomógł mu też odkryć, co się tam wydarzyło. W tym samym czasie pomagał również mnie.

Aby przygotować się do wyprawy, odwiedziłem Bibliotekę Kongresu. Znalazłem tam między innymi rosyjską mapę z końca XIX wieku i dzięki współrzędnym zlokalizowałem na niej Trochenbrod. Mapa była precyzyjna. Gdy zrobiłem fotokopię okolic w większej skali, dało się na niej dostrzec zarys miasteczka i biegnących przez nie dróg; przypominało to trochę zdjęcie lotnicze. Szybko wyszedłem z majestatycznego gmachu, żeby móc głośno krzyknąć z radości. Kawałki układanki zaczynały do siebie pasować. Nie mogłem się doczekać wyjazdu na Ukrainę.

Gdy przypominam sobie ten dzień, zaczynam się śmiać nie z tego, jaki byłem podekscytowany i przejęty, ale ze swojej naiwności. Nie miałem najmniejszego pojęcia, że to, czego doświadczę i co odkryję w Trochenbrodzie i jego okolicach, sprawi, że będę czuł nieprzepartą potrzebę dowiedzenia się więcej i powrotu tam jeszcze raz, i jeszcze raz – przez ponad dziesięć lat. Zupełnie nie zdawałem sobie sprawy, że znajdę się pod urokiem miejsca, które zniknęło, ludzi, którzy odeszli na zawsze, bogatej kultury startej z powierzchni ziemi, narodów, które wyginęły, i nowych narodów, a wszystko to nierozerwalnie splecione z wydarzeniami i kataklizmami dziejowymi. Nie przypuszczałem, że aby dowiedzieć się czegoś o Trochenbrodzie, będę musiał zapoznać się w wieloma aspektami historii świata, które wcześniej były mi nieznane, i że uwikłam się w największe przedsięwzięcie badawcze w moim życiu. Nie miałem najmniejszego pojęcia, że doświadczenie to wzbogaci mnie bardziej niż wszystko, co kiedykolwiek było moim udziałem.

Wylądowałem wraz bratem, Marvinem, i kopią mapy w ręku na małym,

dziwacznym, pamiętającym czasy radzieckie, a przypominającym staroświecką stację kolejową lotnisku we Lwowie, stolicy zachodniej Ukrainy. Przywitał nas jowialny, nieco zbyt pulchny Aleks ze swą wierną ładą, radziecką wersją fiata z 1972 roku. Zwiedziliśmy dość pobieżnie Lwów, po czym ruszyliśmy na północny wschód, do oddalonego o ponad 150 kilometrów Łucka. Ukraina wychodziła dopiero z komunizmu, nie było bankomatów, stacji benzynowych, autostrad; brakowało gorącej wody i poza nielicznymi wyjątkami w największych miastach – przyzwoitych restauracji; nie akceptowano też kart kredytowych. Drogi znajdowały się w strasznym stanie, a fasady większości budynków przedstawiały żałosny widok. W całym mieście widać było biedę – na ulicznych straganach można było kupić tylko artykuły pierwszej potrzeby, a w sklepach straszyły prawie puste półki; po ulicach snuli się ludzie o twarzach naznaczonych zmartwieniami i niepokojem, nędznie ubrani i w zniszczonych butach; aż roiło się od wszelkiego rodzaju krętaczy i złodziei, próbujących położyć ręce na cudzych pieniądzach. Na wsi podstawowym środkiem transportu były wozy konne; wszędzie biegały zwierzęta, przy rozpadających się chałupach widać było studnie, wychodki i drewniane, kryte papą szopy; wszędzie mnóstwo stogów siana, błoto, a na polach – pochyleni ludzie pracujący za pomocą prymitywnych narzędzi jak z poprzedniego stulecia.

Pewien imigrant z Łucka, którego mój brat odszukał w Nowym Jorku, podał nam nazwisko i numer telefonu znajomego mieszkającego w jego rodzinnym mieście. Znajomy (miał na imię Władysław) okazał się żarliwym komunistą, który jeszcze nie pogodził się z utratą pozycji partyjnego aparatczyka i bez końca dowodził, że w czasach komunistycznych wszystko było dużo lepsze. Jak mówił, najpierw był Żydem, potem został internacjonalistą. Władysław wiedział o Trochenbrodzie i chętnie pokazał nam jego przybliżone położenie na dużej mapie regionu wiszącej w głównej siedzibie łuckiej partii komunistycznej; teraz ta siedziba mieściła się w jednym pokoju. Przedstawił nas również kobiecie o imieniu Jewgienia, która urodziła się w Trochenbrodzie i jako szesnastolatka ocalała z Holokaustu, ukrywszy się wraz z rodzicami w lesie. Znaleźli ich i uratowali ukraińscy partyzanci. Jewgienia zakochała się w jednym z nich i po wojnie została z nim w Łucku. Powiedziała nam, że przed pięciu laty grupa członków izraelskiej organizacji kultywującej pamięć o Trochenbrodzie postawiła pomnik w miejscu, gdzie kiedyś było miasto. Poprosiła też, abyśmy zabrali ją na wycieczkę do Trochenbrodu następnego dnia.

Rano łada Aleksa zawiozła naszą czwórkę 40 kilometrów na północny wschód, najpierw drogą utwardzoną, później polną, a w końcu leśnym duktem. We wsi Jaromel, w pobliżu której znajdować się miały masowe groby pomordowanych mieszkańców Trochenbrodu, odnaleźliśmy starszego mężczyznę, który pamiętał

miasteczko. Miał na imię Michajło. Nosił wysokie buty, ciężkie czarne palto i futrzaną czapę. Trzymał się prosto, ale chodził z laską. Na jego pomarszczonej, choć okrągłej i czerstwej chłopskiej twarzy pozostawiły ślady lata trudnych doświadczeń i ciężkiej pracy. Michajło powiedział, że w Trochenbrodzie mieszkali łagodni, ufni Żydzi i że dobrze pamięta okropieństwa okupacji nazistowskiej. Czekał ponad pięćdziesiąt lat na kogoś, kto go o to zapyta. Próbowałem powstrzymać łzy niespodziewanie cisnące mi się do oczu i przez kilka chwil nie mogłem wydobyć słowa. Droga okazała się trudna dla Michajły, utykał i musiał podpierać się laską, upierał się jednak, że pójdzie z nami do lasu, aby pokazać nam groby. Michajło i Jewgienia – każde z nich doświadczyło Holokaustu w odmienny sposób – szli przodem, rozmawiając po ukraińsku.

Kilka godzin później, po obejrzeniu miejsca, gdzie znajdował się masowy grób, brnęliśmy przez wysokie do kolan trawy, szukając samego Trochenbrodu. W końcu zobaczyliśmy w oddali najpierw ciemny punkt, ledwie widoczny na tle drzew, a potem pomnik – ustawioną pionowo płytę z czarnego marmuru. Podbiegliśmy do niej, wydając okrzyki, z ramionami rozłożonymi jakby na powitanie utraconych krewnych. Pomnik stanął na północnym skraju miasteczka, w miejscu, gdzie znajdowała się największa synagoga, spalona przez nazistów po zamordowaniu ostatnich mieszkańców. W pobliżu pomnika zauważyłem trójkąt przecinających się dróg. Takie samo trójkątne skrzyżowanie widniało na starej rosyjskiej mapie. Jedna z tych dróg była kiedyś jedyną ulicą Trochenbrodu. Spojrzałem na podwójny rząd wystrzępionych drzew i krzewów i poczułem, że cały drżę – to był Trochenbrod. Ludzie tam pracowali, rodziny zasiadały do posiłków, bawiły się dzieci. Wszystko tętniło życiem. Tam urodził się i dorastał mój ojciec. A to miejsce nie znikało powoli, mieszkańcy nie wyjeżdżali niespiesznie jedna rodzina po drugiej. Zostało unicestwione.

Zostawiliśmy ładę Aleksa mniej więcej półtora kilometra dalej, ponieważ droga zaczęła zamieniać się w nieprzejezdne, błotniste bajoro. Po powrocie okazało się, że samochód na dobre ugrzązł w błocie. Jewgienia była zmęczona, Marvin został więc z nią przy samochodzie, podczas gdy Aleks i ja ruszyliśmy do najbliższej wsi, Domaszowa, żeby znaleźć jakiś traktor, który nas wyciągnie. Zobaczyliśmy tam koło wiejskiej chaty ciągnik ze znakami zlikwidowanego już radzieckiego kołchozu. Zapukaliśmy do drzwi, obecny właściciel maszyny przywitał się z nami serdecznie i chętnie zgodził się nam pomóc. Przyniósł wodę ze studni na podwórzu i nalewał do chłodnicy traktora, gdy z domu wybiegł stary, bezzębny mężczyzna, ojciec gospodarza, wymachując laską i krzycząc: „Amerikanski! Amerikanski!”. Oznajmił, że Ukraina ma najżyźniejszą ziemię na świecie i byłaby dziś wielkim narodem, większym niż Ameryka, gdyby ci parszywi

komuniści nie zrujnowali wszystkiego. Trzymali paszporty chłopów, by nie mogli opuszczać wsi, i zabierali chłopskich synów do wojska i do pracy w fabrykach, tak że nie mieli oni pojęcia o pracy na roli. Aleks tłumaczył, a my śmialiśmy się i przytakiwaliśmy głowami, wsiadając jednocześnie do traktora. Gdy odjeżdżaliśmy z synem, staruszek ojciec wciąż stał na środku drogi, ciągnąc swą tyradę i wymachując laską; robił się coraz mniejszy, aż w końcu zupełnie zniknął nam z oczu.

Wyciągnęliśmy ładę z błota i ruszyliśmy w drogę powrotną do Łucka. Było już ciemno. Cały dzień spędziłem na wsi, urzekły mnie gęgające wszędzie gęsi, pola – i te leżące odłogiem, i uprawne – rozległe lasy, obrośnięte sitowiem strumienie, wioski, furmanki, studnie i płoty jak sprzed wieków, żółte i zielone równiny ciągnące się po horyzont z jednej strony, a ucięte ścianą lasu z drugiej. Jechaliśmy powoli leśnym duktem, żeby dotrzeć do drogi międzymiastowej. Żadnych ludzi, ruchu, świateł, hałasu, z wyjątkiem warkotu naszej łady. Poprosiłem Aleksa, żeby zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Wysiedliśmy i przez kilka minut staliśmy w oszałamiającej ciszy. Spojrzałem w górę i zobaczyłem przepastne granatowe niebo, rozgwieżdżone miliardami skrzących się punkcików. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Na widok takiego piękna łzy same cisnęły się do oczu. Uświadomiłem sobie, że patrzę na to samo niebo, na które przez pierwszych dwadzieścia lat swego życia patrzył nocami mój ojciec.

Wpadłem po uszy. Musiałem dowiedzieć się więcej. Musiałem dowiedzieć się więcej o Trochenbrodzie. O okolicznych wsiach. O tutejszych terenach. O lasach. Musiałem się dowiedzieć, jak wyglądało życie w Trochenbrodzie. Przez następnych dwanaście lat wracałem tu raz po raz, zwykle w towarzystwie Aleksa, ale także Iwana Podziubanczuka, dociekliwego i rzutkiego gospodarza z Domaszowa, z którym się zaprzyjaźniłem. Podczas jednego z wyjazdów badałem źródła w Archiwum Państwowym w Łucku; podczas innego przeszedłem ulicą Trochenbrodu, aby wyczuć odległości i jednocześnie sprawdzić, czy w ziemi nie ma jakichś pozostałości; w czasie kolejnego odwiedziłem okoliczne wsie i zbierałem relacje naocznych świadków, Polaków i Ukraińców, o miasteczku; jeszcze inny wyjazd poświęciłem badaniu dziejów partyzantki na tych terenach. Za którymś razem wśliznąłem się do ukraińskiej bazy lotniczej, przecierając sobie drogę butelką przywiezionego z kraju bourbona. Gdy lecieliśmy małym samolocikiem, który wynająłem, aby zobaczyć z góry polanę, na której leżał Trochenbrod, na tle otaczających miasteczko lasów, zaskoczył mnie widok myśliwców odrzutowych ustawionych wzdłuż pasa startowego.

Zbierałem również wszystkie materiały zawierające wzmianki o Trochenbrodzie – książki, wspomnienia, mapy, prace magisterskie i doktorskie, dokumenty państwowe, zdjęcia. Iwan zaczął odkrywać w swojej wsi pozostałości materialne z Trochenbrodu. I wreszcie, zdając sobie sprawę, że nieliczni żyjący jeszcze mieszkańcy miasteczka są już w sędziwym wieku, krążyłem pospiesznie po Stanach Zjednoczonych, Brazylii, Polsce, Ukrainie i Izraelu, nagrywając na taśmy wideo rozmowy z ludźmi, którzy spędzili dzieciństwo i młodość w Trochenbrodzie i mogli opisać, jak wyglądało tam życie.

Zacząłem swe poszukiwania jako swego rodzaju sprawę rodzinną, ponieważ chciałem dowiedzieć się czegoś o sztetlu, z którego pochodził mój ojciec. Nie wiedziałem, że rodzinne miasto ojca odegrało swoją rolę w historii. Początkowo sądziłem, że Trochenbrod był wsią, okazał się jednak tętniącym życiem niezależnym ośrodkiem handlu liczącym ponad 5 tysięcy mieszkańców, wyrosłym na miejscu samotnej, otoczonej lasami wioski założonej przez Żydów na początku XIX wieku. Miasto istniało 130 lat i było fenomenem – na ziemiach zamieszkanych przez gojów zostało zbudowane przez Żydów, zachowało niezależność, pozostało całkowicie żydowskie i miało się świetnie aż do unicestwienia w czasie drugiej wojny światowej.

Trochenbrod był z pewnością typowym sztetlem, jednym z miasteczek przedstawianych z wielkim uczuciem i sympatią w dziełach żydowskich pisarzy i artystów, takich jak Szolem Alejchem czy Marc Chagall. Leżał jednak wśród lasów, a ponieważ jego mieszkańcy zajmowali się zarówno uprawą ziemi, jak handlem, najbardziej charakterystyczne cechy sztetla występowały tu w stanie czystym, ale w połączeniu z nieznanym gdzie indziej głównym rodzajem aktywności, rolnictwem. Odosobnienie i czysto żydowski charakter sprawiały, że Trochenbrod rządził się w zasadzie własnymi prawami, niezależnymi od obowiązującego porządku. Panowała tam atmosfera swobody, niezwykle sprzyjająca przedsiębiorczości i pomysłowości. Szabas, żydowskie święta i wesela były świętowane nie w miasteczku, lecz przez miasteczko, a mieszkańców łączyło silne poczucie wspólnoty, cokolwiek wyizolowanej z otoczenia; wspólnoty, w której wszyscy się znają, wyznają podobne wartości i religię, są połączeni wspólną tradycją. Dzieje Trochenbrodu nadają nowy wymiar historii Europy Wschodniej i mieszkających tam Żydów.

Gdy w końcu postanowiłem napisać książkę i zbierałem w całość wszystkie notatki, nagrane wywiady, dokumenty, mapy, książki, ocalałe przedmioty i inne materiały, zaskoczyło mnie wsparcie ze strony wielu rodzin, które usłyszały o moim pomyśle i zaoferowały pomoc, pragnąc ocalić Trochenbrod od

zapomnienia. Ofiarowano mi zdjęcia rodzinne, niektóre jeszcze z XIX wieku, pamiątki do sfotografowania, a także niedrukowane wspomnienia zmarłych krewnych opisujące życie w Trochenbrodzie.

Jestem głęboko wdzięczny wielu osobom, obywatelom sześciu krajów, którzy wspomogli mnie materiałami i chętnie zgodzili się na rozmowy. To dzięki nim mogłem spacerować ulicą miasteczka, zobaczyć oczyma duszy i obserwować codzienną krzątaninę jego mieszkańców, kupujących i sprzedających, kłócących się i pozdrawiających, podczas gdy dzieci biegają i bawią się, bezpieczne na ulicy jak w rodzinnym domu. Mogłem usłyszeć pełną powagi muzykę z synagog i porywające pieśni młodych syjonistów, stukot furmanek i nawoływania obwoźnych handlarzy z okolicznych wsi, zachwalających swój towar mieszkańcom miasteczka. Dzięki pomocy życzliwych ludzi mogłem po dziesiątkach lat przywrócić do życia Trochenbrod, nieistniejące już miasto na Ukrainie.

Zasadniczą część książki stanowią cztery rozdziały poświęcone kolejnym okresom historii Trochenbrodu. Czytelnicy zainteresowani położeniem geograficznym wymienionych tu miejsc mogą przed lekturą zapoznać się z mapami wewnątrz książki. W *Epilogu* omówione zostały ostatni etap dziejów Trochenbrodu oraz losy jego niegdysiejszych mieszkańców, którzy przeżyli Holokaust. Zdjęcia miejsc i ludzi ważnych dla dziejów miasteczka znajdują się na wkładce.

W tekście wykorzystałem przede wszystkim relacje z pierwszej ręki, ale ci czytelnicy, którzy chcieliby się dowiedzieć więcej, znajdą w części zatytułowanej *Świadkowie wspominają* kolejne wypowiedzi, które wzbogacą wiedzę o życiu Trochenbrodu i okolicznych wsi.

Terminy w języku jidysz i hebrajskim wyróżniłem w tekście kursywą. Te, które nie zostały przetłumaczone, objaśnione są w przypisach i w słowniczku. Po słowniczku znajduje się kalendarium ważnych wydarzeń z dziejów Trochenbrodu oraz wydarzeń z historii powszechnej istotnych dla zrozumienia kontekstu historycznego. W następnej części przedstawione zostały wszystkie wykorzystane przeze mnie dokumenty drukowane, a także filmy, materiały zdjęciowe oraz inne źródła. Na końcu znalazły się podziękowania dla osób, które pomogły mi w poszukiwaniach i przygotowaniu rękopisu tej książki.

Rozdział pierwszy

PIERWSZE STO LAT

Leżał zgięty wpół na ulicy, martwy. Mój dziadek. Był jednym z nielicznych, którzy odważyli się nieść pomoc ofiarom epidemii. Wkrótce sam zachorował.

Gdy pierwsza wojna światowa zbliżała się powoli do końca, w Trochenbrodzie wybuchła epidemia tyfusu. Mieszkańcy, wyniszczeni latami wojennej biedy i głodu, łatwo ulegali chorobie. W obawie przed zarażeniem się omijano domy, w których pojawił się tyfus. Mój dziadek, rabin Mosze Dawid Beider, kochał dzieci. Odwiedzał je w domach, leczył, czytał im książki, aby dać malcom złudzenie normalności i nadzieję.

Jedyna ulica Trochenbrodu była szerokim, prostym, długim na trzy i pół kilometra traktem biegnącym z północy na południe. Po obu jej stronach stały domy mieszkalne, sklepy, warsztaty i synagogi. Za każdym domem rozciągały się na wschód i zachód pola dochodzące do odległych o niecały kilometr lasów. W wilgotne jesienne wieczory, takie jak ten, gdy umarł mój dziadek, Trochenbrod pachniał błotem, gnojem, sianem i skórą, gotującymi się ziemniakami, dymem z pieców na drewno i sosnami z lasu. Gdy rabin Beider upadał, na miasteczko i wracających do domów ludzi zaczął sypać pierwszy jesienny śnieg; w słabym świetle zawieszonych na drzewach ulicznych latarń odbijały się na tle bieli kontury budynków i przechodniów. Zmierzchało. W Trochenbrodzie zapadła cisza, słychać było tylko głos matki wołającej dziecko i niewyraźny szmer modlitw z synagogi.

Jak to się zaczęło? Jak powstało to niezwykłe miasteczko Trochenbrod? Nie ma żadnych dokumentów, żadnych źródeł pisanych ani fotografii. Jedyny rękopiśmienny dokument, przechowywany ponoć przez kolejnych tutejszych rabinów, spłonął w pożarze synagogi w okresie międzywojennym. Nie da się nic ustalić na pewno. W rozmowach z rdzennymi mieszkańcami Trochenbrodu i we wspomnieniach osób już nieżyjących powtarzały się przekazywane z pokolenia na pokolenie opowieści o pierwszych osadnikach, ale zawierały one wiele sprzeczności. Wiedziałem jednak, że mogę je zestawić z faktami z historii Rosji i Europy Wschodniej i z opowieściami wciąż krążącymi wśród wieśniaków z okolic Trochenbrodu, a także przyjrzeć się choćby warstwom ziemi w miejscu, gdzie kiedyś było miasto, i zebrawszy wszystko razem, uzyskać obraz możliwie najbliższy prawdy.

Pod koniec XVIII wieku postępujący upadek Rzeczypospolitej Obojga

Narodów doprowadził do trzech rozbiorów kraju. W ostatnim, z 1795 roku, ziemie polskie ostatecznie podzieliły między siebie Prusy, Austria i Rosja; państwo polskie przestało istnieć. Rosja zagarnęła ziemie na wschód od Bugu, gdzie liczba ludności żydowskiej była bardzo duża; stały się one częścią tak zwanej żydowskiej strefy osiedlenia, ustanowionej kilka lat wcześniej ukazem carycy Katarzyny Wielkiej. Tylko tam, z kilkoma wyjątkami, mogli mieszkać rosyjscy Żydzi. Następcy Katarzyny wprowadzili kolejne ograniczenia, chcąc zapobiec przenikaniu ludności żydowskiej do społeczeństwa rosyjskiego i może nawet zdobyciu dominującej pozycji wśród jego zamożniejszych warstw. W strefie rozciągającej się od Bałtyku po Morze Czarne mieszkało pięć do sześciu milionów Żydów.

Na początku XIX wieku carowie Aleksander I i Mikołaj I wydawali kolejne ukazy określające miejsce ludności żydowskiej w rosyjskim systemie gospodarczym i społecznym. Żydów mieszkających na wsi, już tylko w strefie osiedlenia, zmuszono do osiedlenia się w miastach strefy, gdzie władze mogły skuteczniej ich nadzorować, kontrolować, ściągać podatki i powoływać do wojska. Żydzi nie mogli posiadać ziemi, byli więc kupcami, sklepikarzami, rzemieślnikami, ale nie rolnikami. Niekiedy Żydzi kupowali ziemię przez podstawione osoby. Przez blisko dwa tysiące lat Żydzi nie parali się uprawą roli. Badacze tłumaczą to zakazem posiadania ziemi, restrykcjami miejscowych władz, wagą przykładaną do wykształcenia, które łatwiej zdobyć w zawodach miejskich niż w rolnictwie, oraz trudnością pogodzenia żydowskich praktyk religijnych z obowiązkami rolnika. Przybywali do miast najczęściej bez zasobów i wielu z trudem zdobywało środki do życia. Żydzi pozbawieni byli również podstawowych praw obywatelskich, takich jak równy dostęp do sądów i nauki, płacili ponadto bardzo wysokie podatki. Restrykcyjne rozporządzenia nie obejmowały jednak rodzin żydowskich, które podejmowały się uprawy ziemi leżącej odłogiem. Z możliwości tej skorzystało prawdopodobnie niezbyt wielu Żydów, ponieważ nie znali się oni na rolnictwie, a nieużytki i tak zapewne nie nadawały się pod uprawę. Restrykcyjne ukazy sprawiały jednak, że Żydzi woleli trzymać się jak najdalej od carskiej władzy, a wieś wydawała się najlepszym schronieniem.

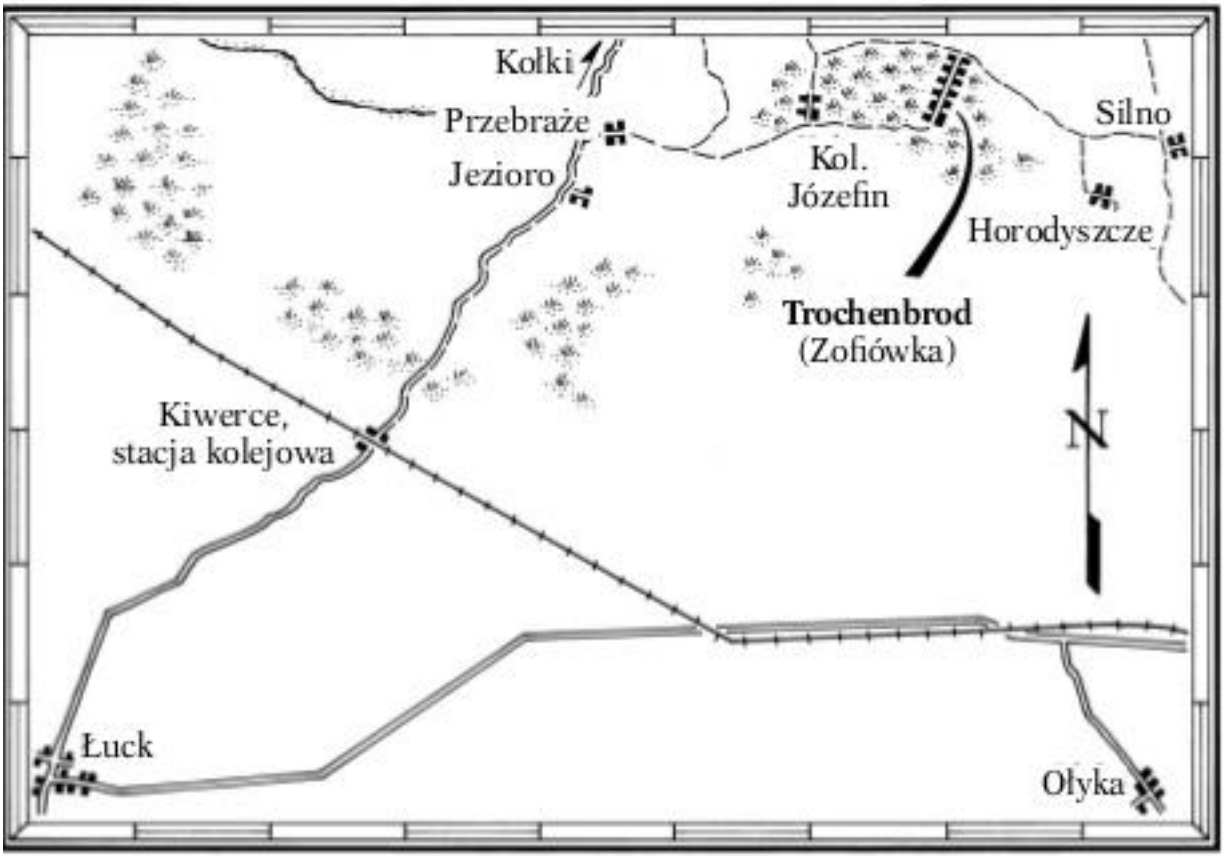

Okolice Trochenbrodu

Wołyń, historyczna dzielnica Rusi, zajmuje północno-zachodnie tereny Ukrainy. Gdy po roku 1795 Wołyń znalazł się w żydowskiej strefie osiedlenia, dzieje mieszkających tam Żydów liczyły już kilkaset lat. W 1810 roku kilka rodzin żydowskich z Łucka, Równego i o wiele mniejszych Kołek, chcąc uciec przed skutkami antysemickich rozporządzeń, zaczęło po cichu zakładać gospodarstwa na odizolowanym terenie, w trójkącie, którego wierzchołki stanowiły trzy wymienione miasta. Osiedli na bagnistej polanie otoczonej gęstymi sosnowymi lasami. Ziemia należała do niejakiego Trochima, który skwapliwie skorzystał z okazji wyciągnięcia zysków z nieużytku. Polanę przecinał strumień, przez który musieli przeprawiać się wszyscy podróżujący traktem łączącym okoliczne wsie, a miejsce nazywano Brodem Trochima. Dla mówiących w jidysz osadników Bród Trochima, Trochimbrod, stał się wkrótce Trochenbrodem. Pierwsze dziecko urodziło się w Trochenbrodzie w roku 1813.

Początki musiały być trudne. Wyobraźmy sobie mężczyzn, ojców i synów, którzy dotarli tu, aby przygotować to miejsce dla swych rodzin. Przyjechali do Brodu Trochima wozami, w miejskich ubraniach, obładowani narzędziami

i rzeczami osobistymi, zebrali drewno, rozpalili ognisko i spędzili pierwszą noc pod gwiazdami. Wokół włóczyły się dzikie zwierzęta i roiło się od węży. Całonocne wycie, chrzęsty, odgłosy pełzania z pewnością musiały wydać się tym pierwszym osadnikom przerażające, nawet jeśli przepełniała ich nieśmiała nadzieja, że może, ale tylko może uda się uciec od codziennych zmagań z losem i upokorzeń doznawanych ze strony carskich urzędników. Następnego rana, po modlitwie i skromnym posiłku, musieli uważnie rozejrzeć się dookoła i zastanowić, co naprawdę da się tu zrobić. Byli Żydami z miasta, sklepikarzami, drobnymi handlarzami, rzemieślnikami; nie mieli pojęcia o uprawie ziemi. Zabrali się jednak do pracy, wycinali zarośla i wyrąbywali w lesie drzewa, najpierw na prymitywne szałasy dla siebie, a potem na domy dla swych rodzin. Wieśniacy przechodzący traktem dawali im rady w kwestii uprawy roli, ale oni uczyli się gospodarować przede wszystkim ciężko pracując, metodą prób i błędów.

Osadnictwo żydowskie w Trochenbrodzie rozwijało się powoli, dopóki w 1827 roku Mikołaj I nie nakazał poboru młodych Żydów do wojska, w którym mieli służyć dwadzieścia pięć lat. Władze carskie traktowały to jako praktyczny sposób rozwiązania „problemu żydowskiego", ponieważ po dwudziestu pięciu latach w armii, z dala od rodziny, Żyd przestawał być Żydem. Ukaz przewidywał zwolnienie z poboru dla tych mężczyzn, którzy osiedli na wsi i gospodarzyli na nieużytkach. W rezultacie do Trochenbrodu ściągały rzesze nowych osadników, którym ostatecznie miejscowe władze pozwoliły kupować ziemię.

Ziemia w Brodzie Trochima leżała dotąd odłogiem, ponieważ słabo nadawała się pod uprawę; ta bagnista niecka pośród lasów znajdowała się ponadto z dala od głównych dróg. Nie chciały tam rosnąć nawet drzewa. Polanę przecinały dróżki prowadzące do okolicznych wsi, ale trzeba było nimi wędrować całe kilometry przez lasy i bagna, a to oznaczało, że każda wyprawa na targ będzie długa, uciążliwa i niebezpieczna. Dochody z uprawy roli też nie rysowały się obiecująco. Było stąd jednak daleko od cara i jego czynowników, a to dawało nadzieję, że Żydzi będą tu mogli żyć w spokoju. Trudno było o lepsze miejsce dla żydowskiego osadnictwa.

Nawet Żydzi z miasta wiedzieli, że nie sposób czegoś zasiać i zebrać na bagnach, dlatego wykopali długie rowy odprowadzające wodę; zaczynały się one za domami i ciągnęły wzdłuż granic każdego gospodarstwa aż do lasu. Dzięki wykonanej wówczas katorżniczej pracy można było uprawiać zboże i z nadzieją myśleć o przyszłości. Osadnicy niezmiennie trzymali się zasad żydowskiej wiary i obyczajów, tak jak wcześniej przestrzegali ich w miastach. Mijały lata, mieszkańcom Trochenbrodu stopniowo przybywało wiedzy i doświadczenia, aż

w końcu ta grupka żydowskich chłopów – a w owym czasie nie było ich wielu na świecie – zdobyła w okolicznych wsiach sławę doskonałych gospodarzy.

Ziemia była jednak marna, zdawano sobie sprawę, że nie sposób utrzymać się z samej tylko uprawy zboża. Zaczęła się rozwijać hodowla bydła, a wraz z nią handel skórami i wyrobami skórzanymi, a także mleczarstwo. Aby zapewnić sobie źródła utrzymania, osadnicy skorzystali też ze swych miejskich doświadczeń – zaczęli zakładać małe sklepy i jako pierwsi uprawiać w okolicy rzemiosła, takie jak stolarstwo czy wyrób szkła. Wsie polskie i ukraińskie pozostały przy tradycyjnych zajęciach i od setek lat trwały w niezmienionym kształcie. Trochenbrod dostosował się do okoliczności, wybierając odmienną drogę.

W 1835 roku, osiem lat po ukazie o poborze, car Mikołaj I wydał Prawo o Żydach. Wszyscy Żydzi wiejscy musieli mieszkać w uznawanych przez władze „koloniach" rolniczych, mieć paszporty i starać się o przepustkę podróżną, gdy chcieli opuścić miejsce zamieszkania. Chodziło o to, by zapobiec czasowemu osiedlaniu się na wsi Żydów unikających poboru i antysemickich restrykcji, a potem powrotom uciekinierów do miast. Trochenbrod, zmuszony do wyjścia z ukrycia, został oficjalnie kolonią.

W połowie lat dwudziestych XIX wieku dwadzieścia jeden menonickich rodzin opuściło wieś Zofiówka, położoną około 40 kilometrów na północny wschód od Trochenbrodu, nad rzeką Horyń. Po blisko piętnastu latach uznali, że uprawa bagnistych gruntów nie przynosi rezultatów i za zgodą hrabiego Michała Bykowskiego osiedlili się w słabo zaludnionym regionie, około 30 kilometrów na północny wschód od Łucka. Założyli tam dwie małe osady. Jedna z nich, Józefin, leżała 5 kilometrów na zachód od Trochenbrodu. Druga, trochę na południe od Trochenbrodu, otrzymała nazwę Zofiówka, na pamiątkę pierwszej menonickiej wsi. Nie zachowały się źródła dotyczące stosunków między Żydami z Trochenbrodu a menonitami z Zofiówki, ale stosunki te musiały być dobre, ponieważ obie strony ceniły sobie spokój i z zasady nie wtrącały się w sprawy sąsiadów. Mniej więcej po dziesięciu latach menonici opuścili obie osady, aby dołączyć do swych krewnych w dużej wsi na południu, w Nowej Rosji, gdzie władze były bardziej przychylne tej grupie wyznaniowej. W 1874 roku część rodzin menonickich wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych. W Józefinie osiedlili się Niemcy, którzy przywędrowali na wschód w poszukiwaniu żyznej ziemi i z czasem stali się liczną mniejszością narodową na Wołyniu i w sąsiednich regionach.

W czasie gdy menonici opuszczali Józefin i Zofiówkę, Trochenbrod został

oficjalnie uznany przez władze carskie za kolonię, jego mieszkańcy mogli więc pozostać w swojej wsi. Miała się ona nawet pojawić na mapie, potrzebowała więc rosyjskiej nazwy. Nie wiadomo, jak doszło do tego, że otrzymała nazwę dawnej menonickiej osady i zajęła prawdopodobnie teren, na którym osada ta leżała. Od tej pory zarówno Żydzi, jak okoliczni goje nazywali wieś, a potem miasteczko, albo Trochenbrodem, albo Zofiówką (ros. Sofiowka).

Byłem niedawno w tamtych okolicach i chcąc się przekonać, co ich mieszkańcy wiedzą o swej przedwojennej historii, zapytałem jadącego furmanką chłopa, czy wie, gdzie był kiedyś Trochenbrod. Pokręcił głową, spojrzał w niebo, podrapał się po brodzie i kilka razy powtórzył nazwę, próbując sobie przypomnieć. Żona, usadowiona wygodnie na stercie siana za siedzeniem woźnicy, zaczęła delikatnie głaskać go źdźbłem trawy, jakby chcąc pobudzić mężowską pamięć, i mruczała: „Żydzi, Zofiówka". „Ach tak, Żydzi, Zofiówka, Trochenbrod!" – wykrzyknął triumfalnie chłop. „Tą drogą" – pokazał właściwy kierunek, dróżkę za zrujnowanymi stodołami i kurnikami nieistniejącego już kołchozu.

Gdy wieś Trochenbrod/Zofiówka została kolonią, nie była zbyt duża – podobnie jak w innych wsiach na tym terenie mieszkało tam prawdopodobnie od trzydziestu do pięćdziesięciu rodzin. Ale w tej dziwnej wsi, liczącej co najmniej 250 dusz, mieszkali wyłącznie Żydzi. W tym czasie istniała już w sąsiedztwie siostrzana kolonia, przez Żydów zwana Łożyszcz, a przez pozostałych Ignatówką. Mieszkańców obu wsi łączyły liczne więzy, także pokrewieństwa. Zofiówkę i Ignatówkę uważano najczęściej za jedną dużą wieś i tak samo wielu potomków dawnych mieszkańców uważa jeszcze dziś.

Inne rolnicze kolonie żydowskie powstawały, zwłaszcza w połowie XIX wieku, przede wszystkim na terenie Nowej Rosji, dzisiejszej południowej Ukrainy. Zakładano je z tych samych powodów, co Trochenbrod, ale na ziemiach lepiej nadających się pod uprawę. Wiele z nich nie przetrwało, mieszkańcy nie potrafili utrzymać się z rolnictwa albo zmęczyła ich praca na roli i wrócili do miast, gdy w końcu przestały obowiązywać prawa, które skłoniły ich do zostania chłopami[1]. Tylko Trochenbrod rozrastał się i rozkwitał, stając się miastem i ośrodkiem handlu w regionie.

Domy w Trochenbrodzie budowano w sposób typowy dla ukraińskiej wsi – na planie prostokąta, o konstrukcji szkieletowej, drewniane, kryte dwuspadową strzechą, o oknach często zdobionych rzeźbionym w drewnie obramowaniem, które ładnie prezentowało się na tle pobielanych ścian. W wielu domach część frontową, od ulicy, zajmowała duża izba paradna, w której zbierano się i jadano przy

specjalnych okazjach. Czasem przeznaczano ją na warsztat lub, jeśli rodzina prowadziła interesy, na kantorek. Do tej izby wchodziło się wprost z ulicy. Dalej znajdowały się dwie izby sypialne i wąski korytarz prowadzący do kuchni na tyłach domu, gdzie były też drugie drzwi. W kuchni rodzina zbierała się na codzienne posiłki. Stał tam opalany drewnem piec, z którego ciepło rozchodziło się glinianymi rurami do innych pomieszczeń. W podłodze zwykle znajdowała się klapa do piwnicy, w której zimą przechowywano warzywa, a latem nabiał. Do kuchni przylegała odgrodzona murem obora. Strych nad całą powierzchnią domu lub jego częścią służył najczęściej do przechowywania siana. Na tyłach każdego domu stały też szopa i wychodek. W tego typu domach z obejściem mieszkała w Trochenbrodzie większość rodzin, zwłaszcza uboższych, jeszcze w pierwszych dekadach XX wieku.

Jedyna ulica miasteczka, ciągnąca się przez całą jego długość, była w istocie szerokim, błotnistym traktem. Aby w miarę możliwości ją osuszyć, wykopano po obu stronach rynsztoki, nad którymi przerzucono kładki prowadzące do domów. Pierwsi osadnicy szybko zaczęli sadzić wzdłuż ulicy wierzby, co prawdopodobnie miało zapobiec niszczeniu powierzchni, ale także przydać ulicy życia i koloru, a latem dawać cień. Te drzewa wzdłuż ulicy pozostały w pamięci następnych pokoleń mieszkańców, także tych, którzy wyjechali za granicę, jako bardzo charakterystyczny element widoku miasteczka. Po dziś dzień na miejscu niegdysiejszej ulicy rośnie podwójny rząd drzew i krzewów.

Żydzi z Trochenbrodu byli chasydami[2]. W 1850 roku władze carskie zakazały noszenia chasydzkiego ubioru. Mieszkańcy Trochenbrodu odmówili stosowania się do zakazu, jednak w następnych dziesięcioleciach wpływy chasydyzmu stopniowo słabły, zarzucano strój i typowe dla tego odłamu praktyki, choć zawsze przestrzegano nakazów wiary. Nawet w ostatnich latach istnienia miasta, gdy część młodzieży otwarcie odwróciła się od religii, wszyscy chodzili w szabat do synagogi i celebrowali święta. Wymagali tego ojcowie rodzin, którzy nie chcieli wstydzić się za synów wałęsających się nie wiadomo gdzie, podczas gdy wszyscy mężczyźni w mieście modlili się w synagogach.

W 1865 roku car Aleksander II pozwolił Żydom zmieniać status chłopa na status mieszczanina bez konieczności pozbywania się ziemi. Żydzi mogli zatrzymać gospodarstwa i wrócić do miast oraz podróżować bez przepustek między miastem a wsią. Miało to jednak swą cenę – mieszkając w miastach, mogli zostać powołani do wojska. Liczby poborowych ustalano teraz dla każdego miasta osobno, ale służba wojskowa nadal trwała dwadzieścia pięć lat. Żydom z Trochenbrodu wydawało się, że jeśli zdołają przekonać władze do zmiany statusu

Zofiówki z kolonii na małe miasto, pozbędą się znienawidzonych paszportów i przepustek, będą mogli swobodnie odwiedzać krewnych w miastach i prowadzić tam interesy. W tym czasie zaczęto sprzedawać wyroby mleczarskie z Trochenbrodu do Łucka, Równego i Kołek.

Miejscowa starszyzna złożyła petycję do władz. Trochenbrod otrzymał status miasta i zaczęło się szukanie sposobów na uniknięcie poboru. Stosowano metody powszechnie znane w strefie osiedlenia – fałszowano świadectwa urodzenia lub w ogóle ich nie wyrabiano, ukrywano synów lub kazano im uciekać, a gdy w mieście pojawiali się agenci rządowi szukający poborowych, wysyłano młodych mężczyzn do odległych miast na wieloletnią naukę w jesziwie i regularnie zmieniano nazwiska, tak że każdy kolejny syn był zapisywany jako pierworodny, a więc zwolniony od poboru.

Obowiązkowy pobór wciąż jednak zagrażał Żydom mieszkającym na wsi. Gdy obowiązek dostarczenia rekruta spadał na zamożną rodzinę z miasta, wynajmowała ona porywaczy, którzy uprowadzali innego żydowskiego młodzieńca, by odbywał służbę za syna bogaczy. Bandy takich zawodowych porywaczy, zwanych kaperami, przemierzały miasta i wsie w poszukiwaniu ofiar. Trochenbrod stracił w ten sposób wielu młodych mieszkańców. We wspomnieniach wydanych w Izraelu w latach pięćdziesiątych XX wieku urodzony w Trochenbrodzie Dawid Szwarc opisuje wydarzenie z dzieciństwa, zapewne z przełomu wieków, gdy do jego rodziny przyszedł list od nieznajomego, który poszukiwał niewidzianego od lat brata. Brat ten nosił takie samo imię jak dziadek Dawida. Tajemniczy nadawca listu w końcu przyjechał. Wyglądał zupełnie jak dziadek. Spotkanie było wzruszające, gość zatrzymał się na kilka dni w Trochenbrodzie. Pozostał jednak kimś obcym, prawdziwe porozumienie okazało się niemożliwe, ponieważ to, co ich dzieliło, całkowicie różne doświadczenie życiowe, było silniejsze niż więź braterska. Ten mężczyzna został jako młody chłopak porwany przez kaperów. Był generałem armii rosyjskiej, przyjął chrzest, ale jak mówił, ostatnio zastanawiał się nad ucieczką z Rosji i powrotem do judaizmu. A potem wyjechał z Trochenbrodu i więcej o nim nie słyszano.

W 1880 roku Trochenbrod był już tętniącym życiem małym miastem. Za każdym domem znajdował się ogród warzywny i pole, które dostarczały produktów na rodzinny stół, a często też ziemniaków i kapusty na sprzedaż. Wiele rodzin hodowało również bydło na mleko, mięso i skóry. Zatrudniano Ukraińców z okolicznych wsi do pracy w polu i ogrodzie. Z upływem czasu rolnictwo przestało jednak odgrywać dominującą rolę w życiu miasteczka, coraz większe znaczenie zyskiwały handel, rzemiosło, drobna wytwórczość, małe

przedsiębiorstwa, takie jak tłocznie oleju i młyny; coraz więcej było nauczycieli, lekarzy, rzeźników koszernych.

Dawid Szwarc wymienia we wspomnieniach niektórych swych znajomych z Trochenbrodu końca XIX wieku. W tamtym czasie liczba zawodów nierolniczych, którymi parali się mieszkańcy miasteczka, była jeszcze stosunkowo niewielka, choć wciąż ich przybywało.

Był długobrody Motty, latem malarz pokojowy, zimą robotnik w garbarni mojego ojca; Szmul Szimon, szewc, bardzo dobry człowiek, który chadzał od domu do domu, by budzić ludzi na modlitwy; Josel, nauczyciel; Abe, właściciel prasy do tłoczenia oleju; Icyk tkacz; Szmerl, szochet; Wolf, drugi szewc; Chaimke, właściciel łaźni; Mosze Motia, krawiec; „długi" Chuna, rzeźnik; Chaim Joel, cieśla; Wolf, skryba; Cywic, akuszer; Motke Cyrelis, który robił świece; Berel z wytwórni pasz; Szmul uzdrawiacz; Bensyjon, właściciel garbarni; Szmilike, który miał garbarnię, małą synagogę i łaźnię; Jakow Lejb, bednarz; Hirszke Kacke, właściciel baru; Jankiel kowal oraz Icy, który miał nosa.

Niektórzy z ocalałych mieszkańców Trochenbrodu – a także jedyny urodzony tam goj – wierzą, a przynajmniej przypuszczają, że słynny pisarz Szolem Alejchem sekretnie odwiedzał miasteczko i stąd czerpał inspirację dla swej twórczości, między innymi słynnej opowieści o Tewje Mleczarzu i jego wsi Kasrylewce. Jedna z osób urodzonych w Trochenbrodzie podważyła mój sceptycyzm argumentem nie do odparcia: „Szolem Alejchem tak doskonale uchwycił ducha, sposób myślenia, charakterystyczne postacie, konflikty, pobożność naszego miasta, że musiał widzieć to wszystko na własne oczy". Wielu mieszkańców Trochenbrodu opowiadało mi o swym rodzinnym mieście jak o typowym wołyńskim sztetlu opisywanym przez Szolema Alejchema. Ci starsi już dziś ludzie w większości opuścili miasto w stosunkowo młodym wieku, nie można więc bez zastrzeżeń ufać ich pamięci.

Szolem Alejchem niewątpliwie oddał najbardziej charakterystyczne cechy żydowskich sztetli, zwłaszcza z końca XIX wieku w kijowskiej i wołyńskiej strefie osiedlenia. Sztetl to zdrobnienie od *sztot,* co w jidysz znaczy miasto; nazwą tą określano dość zacofane społeczności w czysto żydowskich dzielnicach miast wschodnioeuropejskich – w gruncie rzeczy żydowskie wioski w miastach gojów. Życie sztetli przedstawiało wielu żydowskich artystów, a szerzej stało się ono znane odbiorcom z kręgu kultury zachodniej w połowie lat sześćdziesiątych XX wieku dzięki musicalowi *Skrzypek na dachu*. Codzienność i kultura sztetli ogniskowały się wokół rodziny, synagogi, szabatu i żydowskich tradycji;

mieszkańcy utrzymywali się z handlu i rzemiosła, a wspólnota stanowiła ochronę przed wpływami z zewnątrz, atakami i represjami ze strony władz carskich. Podobnie działo się w Trochenbrodzie. Różnica między nim a wszystkimi Kasrylewkami i Anatewkami polega na tym, że był on niezależnym miastem żydowskim, nie zaś częścią większego miasta zamieszkanego przez gojów; że był względnie odosobniony, a większość mieszkańców, niezależnie od głównych zajęć, pracowała na roli.

Według danych ze spisu ludności z 1889 roku w Zofiówce mieszkało 235 rodzin. W tym czasie w Rosji europejskiej szybko rozwijał się przemysł. Między Kowlem, węzłem komunikacyjnym 80 kilometrów na północny zachód od Trochenbrodu, a Równem, dość dużym miastem i głównym centrum handlowym 56 kilometrów na południowy wschód, budowano odgałęzienie linii kolei żelaznej Warszawa–Kijów. Najkrótsza droga prowadziła przez południowy skraj Trochenbrodu i zgodnie z planami tamtędy miały przebiegać tory kolejowe. Starszyźnie Trochenbrodu nie podobał się ten pomysł; obawiano się hałasu, gwałtownego wdzierania się świata zewnętrznego w spokojne życie miasteczka i zagrożenia, jakie kolej może stanowić dla wędrujących stad bydła. Wykorzystując argument o zagrożeniu dla bydła, starszyzna wniosła petycję do władz, proponując przeniesienie torów kolejowych na drugą stronę lasu leżącego na południe od miasta. Petycja odniosła skutek, co zapewniło Trochenbrodowi względną izolację na następne pięćdziesiąt lat.

Jeszcze dziś rzut oka na mapę pokazuje, że linia kolejowa Kowel-Równe nienaturalnie skręca od Kowla na południe, do stacji Kiwerce na południowy wschód od Łucka i dalej biegnie lasem na południowy wschód, dochodząc do drogi Łuck-Równe około 12 kilometrów na południe od miejsca, gdzie leżał Trochenbrod. Stamtąd tory biegły wzdłuż drogi na wschód i południowy wschód, do Równego i dalej. Kiwerce były oddalone niespełna 20 kilometrów od Trochenbrodu. Dotarcie tam nieutwardzoną drogą zajmowało pół dnia jazdy wozem konnym, ale mieszkańcy Trochenbrodu uzyskali możliwość dojazdu koleją do Warszawy, Kijowa i dalej w świat. Podczas drugiej wojny światowej kolej odgrywała ogromną rolę w działaniach partyzantów, ponieważ naziści uczynili Równe siedzibą Reichskommissariatu Ukrainy, a jak zobaczymy później, okoliczne lasy okazały się dobrą kryjówką dla oddziałów partyzanckich.

Według danych ze spisu pod koniec XIX wieku w Zofiówce i Ignatówce mieszkało łącznie ponad 1600 Żydów i liczba ta systematycznie wzrastała, ponieważ miasto przeżywało okres pomyślności gospodarczej. Na początku XX wieku w Trochenbrodzie działały cztery młyny, tłocznie oleju, wytwórnia szkła,

w której wykorzystywano piaszczystą glebę i drewno z okolicznych lasów; rozwijały się handel bydłem i mleczarstwo, umacniały się także bliskie więzi handlowe z trzema dużymi i wieloma mniejszymi miastami regionu.

Trochenbrod zaczął utrzymywać bardziej regularne niż przedtem kontakty ze światem zewnętrznym, a mieszkańcy coraz lepiej orientowali się w układzie sił i sytuacji politycznej w Europie, a nawet w Stanach Zjednoczonych. Wielu chłopców i młodych mężczyzn z Trochenbrodu uczyło się w jesziwach w tak odległych miastach, jak Lublin, Łódź, Międzyrzec Podlaski czy Wilno. W sprawach urzędowych, takich jak na przykład kwestia przebiegu linii kolejowej, przedstawiciele społeczności miasteczka wyjeżdżali nawet do Moskwy. Interesy handlowe wymagały od przedsiębiorców z Trochenbrodu podróży do miast odległych o setki kilometrów, do Warszawy, Kijowa i jeszcze dalej. Do Trochenbrodu docierały gazety żydowskie z Warszawy i innych polskich miast, przynosząc wieści nie tylko o sprawach i położeniu Żydów, ale i wydarzeniach na świecie. Na przełomie XIX i XX wieku dość duża liczba mieszkańców miasteczka wyjeżdżała na Zachód, zwłaszcza do Stanów Zjednoczonych; przychodziły stamtąd listy z wiadomościami o życiu w nowych ojczyznach.

Można więc przyjąć, że na przełomie stuleci Trochenbrod, mimo względnego odosobnienia, krok po kroku zbliżał się do nowoczesności. A jednak to jedyne w swoim rodzaju miasteczko pozostało w zasadzie takie jak zawsze – większość młodych mężczyzn wysyłano do jesziwy na naukę Tory; podstawowe znaczenie miało dla życia wspólnoty rolnictwo; razem świętowano; rabini i uczeni byli najbardziej szanowanymi osobistościami, a gdy przyjeżdżał z wizytą rabin z dużego miasta, witali go wszyscy mieszkańcy, rywalizowano o przywilej goszczenia dostojnego męża i fetowano go przez cały pobyt, wieczór w wieczór. Jak w każdym sztetlu, żyło się w oczekiwaniu na szabat. W szabat Żydzi z Trochenbrodu nie pracowali, nie rozpalali ognia, nie nosili ciężarów. Mimo nieustannego naporu świata zewnętrznego sobota, pozostawała w Trochenbrodzie dniem spokoju, odpoczynku i modlitwy. We wszystkich wspomnieniach, z którymi miałem okazję się zapoznać, dzień ten zajmował specjalne miejsce. Dawid Szwarc na przykład wspomina szabat w rodzinnym mieście z nieskrywaną tęsknotą.

Każda rodzina miała młyn, w którym mielono pszenicę. Z jęczmienia przygotowywano smakowite płatki. Każda rodzina miała też moździerz wykonany z pnia drzewa, z wypaloną w środku dziurą i z tłuczkiem. Jęczmień wkładało się do gorącego pieca po wyjęciu chleba. Tam się suszył. Potem wsypywało się go do moździerza i kruszyło tłuczkiem. Zawsze robiło się to w czwartek, aby nie zabrakło kaszy jęczmiennej na szabasową kolację.

W piątek wszyscy kończyli pracę wcześnie, po obiedzie młodzi i starzy ruszali do łaźni na rytualną kąpiel, a potem wkładali świąteczne stroje i szli do synagogi. Latem przyjemnie było słyszeć przyjaźnie rzucane: „*Szalom alejchem*" i gwar głosów ojców i dzieci wracających z bóżnic. Po kolacji siadywaliśmy na frontowych stopniach i wdychaliśmy cudowne zapachy trawy, kwiatów i sosen z lasów Radziwiłłów. Nie mieliśmy światła elektrycznego, ale mieliśmy światło w sercach, a oczy nam błyszczały, rozświetlając panujące wokół ciemności. Spaliśmy mocno i spokojnie, nie obawiając się włamywaczy ani złodziei.

W szabasowy poranek budziły nas dochodzące przez otwarte okna głosy śpiewających psalmy lub recytujących ustępy z Tory. Kobiety nie próżnowały. Musiały czekać na gojów, którzy przychodzili wydoić w szabat krowy, i na pasterzy, którzy wypędzali krowy na pastwiska. Po porannej modlitwie piliśmy smaczną, gorącą kawę z cykorii. Na piecu czekało też gotowane mleko z grubym kożuchem. Dopiero potem wkładaliśmy kapote, pasy i tałesy z *cyces* wsuniętymi za pas i szliśmy do synagogi całą rodziną – dziadek, ojciec, synowie, wnukowie, mała armia!

Wracaliśmy do domu radośni i podniesieni na duchu, odmawialiśmy kidusz, myliśmy się (wszyscy, nawet mali chłopcy), po czym rozkoszowaliśmy się galaretą z nóżek cielęcych i czulentem, tak pysznym, że tylko anioł mógł go przyrządzić i zostawić w piecu, podawanym z plackiem ziemniaczanym (kugel); a jeśli znalazł się też kawałek *kiszke*, szabasowa kolacja zamieniała się w prawdziwą ucztę. Po zjedzeniu całego mięsa i cymesu odmawialiśmy modlitwę i szliśmy do łóżek.

Wstawaliśmy dopiero wtedy, gdy na stole stała wyjęta z pieca gorąca herbata. Potem cała rodzina wyruszała na przechadzkę po polach i ogrodach, aby nacieszyć oczy wszystkim, co rośnie, rozkwita i dojrzewa. Zrozumieć to może ktoś wychowany na wsi, mieszczuch nigdy tego nie pojmie. Często chodziło się do lasu Radziwiłłów. Dzieci zrywały jagody ustami – w szabat nie wolno było zrywać niczego rękoma, ponieważ uważano to za pracę. Po spacerze mężczyźni szli do synagogi na popołudniowe modlitwy, a potem wracali na domu na seuda szliszit (trzeci posiłek), czyli barszcz ze śmietaną, po którym śpiewali pieśni szabasowe; słychać je było w całym miasteczku. Po wieczornych modlitwach odprawialiśmy hawdalę, ceremonię oddzielenia czasu świętego od zwykłego. Kobiety wychodziły do obory wydoić krowy i ubić masło, aby rano w niedzielę było gotowe do wysłania do Łucka.

Szabat i inne święta wyznaczały rytm życia. W dacie urodzenia podawano,

na ile dni lub tygodni przed albo po najbliższym święcie dana osoba się urodziła. Szmilike Drossner, który wyemigrował do Stanów Zjednoczonych przed pierwszą wojną światową, opowiada, jak obchodzono w Trochenbrodzie Chanukę, Święto świateł:

Jeśli opowiem, jak zapalaliśmy w Trochenbrodzie świece w święto Chanuki, może się to wydać zabawne. Braliśmy zwykłe kartofle, rozcinaliśmy na połówki, w każdej połówce robiliśmy małą dziurkę, wlewaliśmy do tej dziurki odrobinę oleju, wkładaliśmy kawałek bawełny i zapalaliśmy. Bogaci prawdopodobnie mieli świece, ale zwykli ludzie zamiast świec używali kartofli. Tradycyjne wręczanie chanukowych pieniędzy oraz gra w drejdł wyglądały tak samo jak tu, w tym kraju. Tak jak tradycja smażenia wszelkiego rodzaju latkes; szczególnie lubiane były placki z surowych ziemniaków. To był prawdziwy przysmak, a ich przygotowanie wymagało wiele pracy, jeśli wszyscy mieli dobry apetyt i nie byli na diecie.

O Sukot, Święcie Szałasów (Namiotów), na które Żydzi budowali prowizoryczne szałasy, aby przez tydzień jeść posiłki na dworze, Szmilike opowiada:

Każdy miał własnoręcznie zrobiony przenośny szałas (suka). Ale mój dziadek, Juda Meir, miał szałas na stałe; gdy zbliżało się Sukot, dokonywano tylko niezbędnych napraw. Najczęściej mocno tam marzliśmy, ponieważ w Trochenbrodzie chłody zaczynają się wcześniej niż tu. Niektóre szałasy były tak liche (zwłaszcza te z łodyg kukurydzy), że zwierzęta, na przykład krowy, mogły wejść przez ścianę. Mimo to Sukot było radosnym świętem.

Złożonym przedsięwzięciem było, zdaniem Szmilike, pieczenie macy, przaśnego chleba na święto Pesach.

Chciałbym opisać, jak wyglądało wówczas pieczenie macy. Na cztery tygodnie przed Pesach wynajmowano w miasteczku dom i sprzątano go gruntownie, aby zyskać pewność, że jest koszerny. Potem każda rodzina kupowała dla siebie mąkę i zatrudniała dziewczęta i kobiety do pracy. Pieczenie w piecu nadzorował mężczyzna, a gdy maca dla jednej rodziny była gotowa, wynoszono ją w lnianej torbie zawieszonej na długim kiju. Wtedy przystępowano do pieczenia dla następnej rodziny i kolejnej, aż przygotowano dosyć macy dla wszystkich. To nie było tak proste, jak się wydaje. Wodę do ciasta przynoszono poprzedniego dnia przed zmierzchem i wlewano do beczki. Trzeba ją było przynosić ze studni po jednym wiadrze.

Nie pytał pan o wino na Pesach, ale panu opowiem. Wszyscy robili własne wino z rodzynek.

Chrzan i kartofle na Pesach rosły u nas za domem; wystarczało ich na cały rok i mogliśmy dzielić się nimi z tymi, którzy ich nie mieli. Były najwyższej jakości, najlepsze w całym mieście.

Morris Wolfson przyjechał do Ameryki z Trochenbrodu w 1912 roku. Jego wspomnienia dają wgląd w życie miasteczka na przełomie XIX i XX wieku, w okresie pomyślności i rozwoju.

Mój ojciec, Wolf Schuster, codziennie mozolił się nad wyrobem butów, a co dwa tygodnie jeździł na targ w odległych o 20 kilometrów Kiwercach, gdzie sprzedawał buty gojom. Mieliśmy krowę, która dawała nam mleko. Dzięki krowie, kurczakom, kaczkom i warzywom z własnego ogrodu byliśmy prawie samowystarczalni. Za każdym domem był ogród ciągnący się aż do lasów.

Trzysta albo jeszcze więcej żydowskich rodzin z Trochenbrodu (w naszym mieście nie było gojów) żyło w niemal całkowitej separacji od chrześcijan. Jedynym łącznikiem z szerokim światem była kolej, której stacja znajdowała się 20 kilometrów od miasta. Ale na luksus jazdy pociągiem niewielu z nas mogło sobie pozwolić. Jednym z moich najwcześniejszych wspomnień jest pierwszy w życiu wyjazd z miasta. Miałem wtedy około czterech lat. Zachorowałem, a ponieważ w mieście nie było oczywiście lekarza, zawieziono mnie do niego pociągiem do Kijowa.

Każdy chłopiec w wieku od czterech do trzynastu lat chodził do miejscowego chederu. Nauka zaczynała się wcześnie rano; cały dzień czytaliśmy żydowskie księgi, siedząc w twardych drewnianych ławkach. Do domu wracaliśmy dopiero po zmierzchu. Czytaliśmy po hebrajsku, poznawaliśmy Talmud i tak dalej. Nasz nauczyciel nie był prawdziwym rabinem, tylko mełamedem. Nie uczył nas współczesnego hebrajskiego, to było zadanie rabina. Musieliśmy znać ten język tylko na tyle, by czytać Torę i Talmud.

Mimo że szkoła, praca i nauka fachu naszych ojców sprawiały, że szybko dorastaliśmy, nadal mieliśmy dzieciństwo. Bawiliśmy się prostymi, zrobionymi w domu zabawkami. Często bawiliśmy się na polach. Próbowaliśmy łapać ptaki w zastawione na polu pułapki. Chodziło oczywiście o to, aby złapać ptaka, a potem wypuścić go na wolność.

W mieście mówiliśmy w jidysz. Z gojami rozmawialiśmy po rosyjsku i po polsku. Prawdopodobnie częściej po polsku, ponieważ Trochenbrod leżał blisko granicy, a w wielu okolicznych wsiach mieszkali polskojęzyczni chłopi. Posługiwaliśmy się językiem gojów, gdy robiliśmy z nimi interesy.

Ślub był w Trochenbrodzie radosnym wydarzeniem; uczestniczyło w nim całe miasto. Pamiętam, że małżeństwa aranżowali ojcowie bez pytania dzieci o pozwolenie. Dwaj ojcowie spotykali się na polu. „Jeśli się nie mylę – mówił jeden – masz szesnastoletnią córkę, a mój chłopiec ma siedemnaście lat. Myślę, że będzie im ze sobą dobrze". Po uzgodnieniu posagu, który mogły stanowić pieniądze lub żywność oraz utrzymanie młodej pary w domu rodziców żony przez określony czas, ojcowie wymieniali uścisk dłoni i w ten sposób los dzieci był przypieczętowany. Na weselu wszyscy tańczyli, mężczyźni z mężczyznami, kobiety z kobietami. Tymczasem zdenerwowani nowożeńcy siedzieli na końcach długiego stołu, patrzyli na siebie i zastanawiali się, co to będzie. Mogli myśleć, co chcieli, ale godzili się z sytuacją. Nie było Cejtl ani odmów, nie było Chawy i małżeństw mieszanych. Nie w naszym mieście. [Cejtl i Chawa to dwie córki bohatera *Skrzypka na dachu*].

Chodziłem do chederu, ale jeszcze jako dziesięciolatek, słysząc słowo Jeruzalem, Jeruszalaim, nie miałem pojęcia, że takie miejsce istnieje na ziemi. Wyobrażałem sobie, że Jerozolima znajduje się na szczycie góry w niebie. Wszyscy wiedzieli tylko o Ameryce, kraju wielkich możliwości. Wiedzieli, że tam jest dobrze. Każdy chciał wyjechać do miejsca, gdzie wszystkim dobrze się wiedzie. Myśleliśmy, że trotuary są tam ze złota. Ameryka była naszym celem, a jak tam dotrzeć – naszym głównym problemem.

W pierwszych latach XX wieku, gdy świat niepowstrzymanie zmierzał ku wojnie, a Rosja ku rewolucji bolszewickiej, ideologie szerzące się w Europie zaczęły przenikać do Trochenbrodu. W mieście pojawili się komuniści, syjoniści lewicowi, przedstawiciele Bejtaru (prawicowa syjonistyczna organizacja młodzieżowa kładąca nacisk na samoobronę), syjoniści centrowi i zwolennicy innych świeckich ruchów. Trochenbrod stawał się trochę bardziej nowoczesny, działały w nim rozmaite stowarzyszenia religijne i kulturalne oraz organizacje społeczne, prężnie rozwijała się przedsiębiorczość. Do wybuchu pierwszej wojny światowej liczni mieszkańcy wielokrotnie w ciągu roku odwiedzali pobliskie miasta w interesach, w sprawach urzędowych, aby pójść do lekarza, kupić rzeczy niedostępne w Trochenbrodzie, zrobić zdjęcia, zobaczyć się z krewnymi. W mieście wiedziano, co dzieje się na świecie i w Europie Wschodniej, orientowano się w kwestii żydowskiej. Nieprzerwany rozwój gospodarczy sprawił,

że Trochenbrod stawał się stopniowo regionalnym centrum handlowym dla polskich i ukraińskich wsi, choć nadal pozostawał stosunkowo odosobniony i głęboko przywiązany do religii.

Rozkwitała nie tylko przedsiębiorczość pozarolnicza, zmieniało się także rolnictwo. Podstawową uprawą i głównym pożywieniem pozostały jak zawsze ziemniaki, ale teraz w Trochenbrodzie uprawiano też pszenicę, żyto, owies i jęczmień, a także rozmaite warzywa – kapustę, rzodkiew, marchew, ogórki, fasolę, kukurydzę, pomidory i buraki. Hodowano krowy na mleko i produkty mleczne oraz kury, gęsi i kaczki na mięso, smalec i pierze potrzebne na poduszki i pierzyny. Pobliskie lasy dostarczały, tak jak dziś, jagód, borówek, malin. Ogólnie mówiąc, ponieważ mieszkańcy Trochenbrodu uprawiali ziemię, zawsze mieli pod dostatkiem jedzenia w przeciwieństwie do Żydów ze zwykłych miast i miasteczek, często cierpiących głód. Ci ostatni, jeśli mieli krewnych lub znajomych w Trochenbrodzie, wysyłali tam latem córki na wydaniu, aby utyły i stały się bardziej ponętne.

Dawid Szwarc pisał:

Jesienią zbierano kartofle i fasolę. Kartofle przechowywano pod łóżkami, a fasolę na strychu. Kartofle na Pesach i do sadzenia zakopywano w dole wykopanym w ogrodzie, z jednej strony te na Pesach, z drugiej – sadzeniaki. Kartofli, które przemarzły i nabrały słodkiego smaku, używano do wypieków na Pesach. Nie brakowało gęsiego smalcu, a od Purim gromadzono jaja w oczekiwaniu na Pesach. Każdy pan domu tuczył gęsi i indyki, tak że smalcu starczało na cały rok. Zimą, gdy trudno było o mięso, jedzono głównie ziemniaki i fasolę. Rodziny były liczne; aby je wyżywić, z ziemniaków robiono kluski, placki, zapiekanki. Żydzi z miasta nazywali nas „trochenbrodzkimi kartoflami".

Mieliśmy wszelkiego rodzaju małe wytwórnie, warsztaty i garbarnie. Byli szewcy, krawcy, nauczyciele, stolarze, kowale, ślusarze, malarze, murarze, leśnicy, kołodzieje, szklarze, rzeźnicy; pracowały cegielnie, tartaki, młyny, tłocznie oleju, wytwórnie kleju i szkła. Żydom dobrze się wiodło. W mieście były też najrozmaitsze sklepy i składy, handlowano drewnem i bydłem, tutejsi handlarze dostarczali gęsi, jaja i produkty mleczarskie do Równego, a nawet do Prus, a także konie, słomę i mięso dla wojska.

Wielu Żydów żyło tylko z ziemi, ale wszyscy wspomniani wyżej rzemieślnicy, kupcy i przedsiębiorcy również uprawiali swe pola, samodzielnie albo przy czyjejś pomocy. Prócz pszenicy i kukurydzy ziemia dawała wszystko.

Musieliśmy kupować tylko chleb i mięso. Najbiedniejsi, którzy nie mieli pieniędzy na chleb i mięso na szabat, jedli kartofle i fasolę, ale każdy był na swój sposób szczęśliwy i zadowolony z życia. Prowadziliśmy życie uporządkowane, całkowicie zgodne z żydowskimi obyczajami i prawami.

Od lat osiemdziesiątych XIX do trzydziestych XX wieku, z wyjątkiem pierwszej wojny światowej, z Trochenbrodu wyruszały fale emigrantów do Ameryki Północnej i Południowej, a między wojnami także do Palestyny. Najwcześniejsza wzmianka o emigrancie do Stanów Zjednoczonych pochodzi z 1880 roku. Podobnie jednak jak w całej Europie Wschodniej najpotężniejsza fala wychodźstwa z Trochenbrodu nastąpiła w pierwszej dekadzie XX wieku. Zachowało się mnóstwo opowieści rodzinnych i wspomnień opisujących doświadczenia imigrantów z Trochenbrodu w latach poprzedzających pierwszą wojnę światową.

Wielu mieszkańców miasteczka, zwłaszcza młodych mężczyzn, miało istotne powody, by wyjechać wówczas na obczyznę. Do Trochenbrodu wciąż docierały wieści o nadzwyczajnych możliwościach wzbogacenia się w Ameryce, podczas gdy miasto, mimo coraz większej liczby mieszkańców, nie mogło się rozrastać, ponieważ było otoczone lasami należącymi do bogatych polskich ziemian, dla których drewno stanowiło dobre źródło dochodów. Dzięki odosobnieniu miasteczko nie padało ofiarą antysemickich wybryków, ale doniesienia o pogromach i antysemickich ekscesach w całej Rosji można było potraktować jako zapowiedź kłopotów. W Rosji wciąż obowiązywały opresyjne antyżydowskie ustawy, ograniczające dostęp do nauki, zatrudnienia, możliwość robienia interesów i swobodnego poruszania się, a choć Trochenbrod mniej cierpiał z powodu tych restrykcji niż inne społeczności żydowskie, dla wszystkich Żydów perspektywy awansu materialnego i społecznego w państwie carów przedstawiały się ponuro. Ponadto w czasie wojny rosyjsko-japońskiej w latach 1904–1905 młodym mężczyznom z Trochenbrodu zagroził pobór do armii carskiej, nic więc dziwnego, że ogromna ich grupa zbiegła za granicę.

W Stanach Zjednoczonych przybysze z Trochenbrodu osiadali w dużych miastach, takich jak Nowy Jork, Boston, Baltimore, Cleveland, Pittsburgh, Detroit, Filadelfia, Waszyngton i Portsmouth. W Ameryce Południowej część imigrantów osiedliła się w Argentynie, część w Brazylii, ale także w Wenezueli i na Kubie. W Argentynie istniała kolonia żydowska o nazwie Rivera, założona przez de Hirscha, niemieckiego barona żydowskiego pochodzenia, który wysyłał tam po lepsze życie wielu Żydów rosyjskich, w tym liczne rodziny z Trochenbrodu. Niektórzy z wychodźców docierali najpierw do Ameryki Południowej, dokąd

opłacono im podróż albo gdzie mieli krewnych, a po pewnym czasie przenosili się do Stanów Zjednoczonych.

W 1910 roku rabin Mosze Dawid Plessner, który po spłodzeniu jednego czy dwojga dzieci zmienił nazwisko na Mosze Dawid Perlmutter, aby jego synowie uniknęli poboru do wojska, został rabinem w Trochenbrodzie. Pochodził z Werby, miasteczka oddalonego o około 70 kilometrów od Trochenbrodu; jego ojciec był tamtejszym rabinem i uczonym, potomkiem znanego na Wołyniu rodu rabinów. Mosze Dawid, zwolennik odłamu chasydów z Bereźnego, skorzystał z szansy przeniesienia się do miasta uważanego wśród wołyńskich Żydów za miejsce, gdzie – nie do wiary – Żyd mógł być po prostu sobą. Synagoga rabina Perlmuttera znajdowała się na południowym krańcu miasta, po zachodniej stronie ulicy, rabin zaś zamieszkał w sąsiednim domu z żoną Bellą i ośmiorgiem dzieci. W 1912 roku Bella urodziła dziewiąte i ostatnie dziecko, syna, któremu dano imię Jomtow – święto, dzień radości. Aby zapisać w aktach urodzin także tego syna jako pierworodnego, a zatem nieobjętego poborem do wojska, Mosze Dawid, mój dziadek, znów zmienił nazwisko, tym razem na Beider.

W artykule napisanym w 1945 roku w Palestynie przez imigranta z Trochenbrodu Mosze Dawid Beider wspomniany jest jako naczelny rabin tego miasta – choć oficjalnie tytuł taki nie istniał – niezwykle szanowany przez mieszkańców „wybitny uczony i wielki znawca spraw tego świata". Rabin Beider był żarliwym syjonistą, a przy tym człowiekiem wielkiego serca, wrażliwym na potrzeby bliźnich i kochającym zwłaszcza dzieci.

Wojna światowa przyniosła Trochenbrodowi spustoszenie i nędzę, jak większości europejskich miast i wsi. Między oddziałami austriackimi i rosyjskimi toczyły się ciężkie walki, biegnąca w pobliżu linia frontu przesuwała się to w przód, to w tył. Zniszczona została wytwórnia szkła i kilka innych małych zakładów, wojsko skonfiskowało inwentarz żywy, splądrowało domy i sklepy; przestały przychodzić przekazy pieniężne od krewnych z zagranicy. Miasto podupadło, mieszkańcy byli zastraszani i gnębieni.

W końcu 1915 roku Austriacy zajęli Trochenbrod, wyrzucając Rosjan, którzy pozwalali Kozakom grabić, gwałcić i mordować. Okupacja austriacka zaczęła się od zarekwirowania całej żywności na potrzeby wojska, dla mieszkańców zostały resztki. Potem wprowadzono system pracy przymusowej – ludzie gotowali, prali, szyli, wykonywali wyroby ze skóry, zajmowali się końmi i wykonywali inne prace potrzebne armii, nawet w szabat. Podczas dziewięciu miesięcy okupacji rabin Beider nadal nauczał, aby wdrożyć dzieci do wytrwałej

pracy, dać im zajęcie i cel, do którego mają dążyć. Jednocześnie utrzymywał dobre stosunki z austriackim dowódcą, z którym dyskutował po niemiecku o wydarzeniach na świecie. Przekonał komendanta, że wydajność wzrośnie, jeśli pozwoli mieszkańcom Trochenbrodu obchodzić szabat i żydowskie święta, zmniejszy obciążenie pracą, a zwiększy przydziały żywności. Zabiegi dyplomatyczne rabina Beidera i w miarę cywilizowany sposób zachowania się żołnierzy austriackich sprawiły, że Żydzi z Trochenbrodu uznali, że lepiej traktowano ich „za Niemców" niż za rządów rosyjskich. Przypomniano im o tym w czasie drugiej wojny światowej.

Pod koniec wojny, gdy Trochenbrod zaczynał mozolnie podnosić się z upadku, znów znalazł się w rękach rosyjskich. W roku 1917, roku rewolucji bolszewickiej, szerząca się w Europie Wschodniej epidemia tyfusu dotarła do miasta. Po latach niedostatku i ciężkich wojennych doświadczeń mieszkańcy łatwo poddawali się chorobie, a ci, którzy jej nie ulegli, resztkami sił walczyli o życie swoich bliskich. Panowały przerażenie i rozpacz. Udręczeni rodzice bezradnie patrzyli, jak na ciele ich dzieci pojawia się wysypka, jak zaczynają gwałtowne kaszleć, wymiotować i krzyczeć w męczarniach, a w końcu plują krwią i umierają. Domy, które nawiedziła choroba, zabijano deskami w nadziei, że zapobiegnie to rozprzestrzenianiu się zarazy. Rabin Mosze Dawid Beider również się zaraził. Chłodnego jesiennego wieczoru, gdy na miasto spadł pierwszy śnieg, wyszedł z domu rodziny dotkniętej chorobą, przewrócił się na ulicy i umarł.

[1] Nieliczne żydowskie kolonie rolnicze, które przetrwały do powstania Związku Radzieckiego, zostały włączone do kołchozów i słuch po nich zaginął. Nie dotarłem do żadnych źródeł świadczących, że w okresie międzywojennym takie wsie istniały na polskich kresach.

[2] Chasydyzm, ruch religijny w judaizmie, rozprzestrzenił się w połowie XVII wieku na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Chasydyzm kładł nacisk na duchowość i radość jako zasadnicze cechy judaizmu, przeciwstawiając się rygorystycznie pojmowanej tradycji judaizmu rabinicznego. Wspólnoty chasydzkie skupiały się wokół charyzmatycznych przywódców zwanych cadykami („sprawiedliwymi"). Ubiór chasydów składał się zwykle z ciemnego kaftana, białej koszuli i czarnego kapelusza lub czapki z futrzanym otokiem. Chasydyzm stopniowo zdobywał wpływy w Europie i Stanach Zjednoczonych, ale na początku XIX wieku jego wyznawcami byli przede wszystkim Żydzi z Podola i Wołynia.

Rozdział drugi
MIĘDZY WOJNAMI

Zniszczenia spowodowane przez pierwszą wojnę światową przerwały szybki rozwój gospodarki Trochenbrodu, zakończyły okres prosperity i osłabiły pozycję miasta jako regionalnego ośrodka handlu.

Szajndele Gluz urodziła się w 1913 roku, ale w niewydanych wspomnieniach spisanych w roku 2002 obrazowo przedstawiła życie miasta podczas wojny:

Moi przodkowie ze strony ojca byli dmuchaczami szkła. Gdy fabryka szkła przestała istnieć, dziadek został burmistrzem, poborcą podatkowym i naczelnikiem poczty w Trochenbrodzie. Miał również rzeźnię. Prowadzili ją mój ojciec Srulik i dziadek Icek.

W 1914 roku, gdy zaczynałam raczkować, babcia i część jej rodziny wyjechali do Ameryki. Sytuacja była bardzo napięta. Krążyły pogłoski o wojnie i nagle stało się – wypowiedziano wojnę. Przerwano wszelką łączność. Wojna wybuchła, stała się rzeczywistością. Nie można było od niej uciec [...] na nic plany emigracji. Wyjazdy wstrzymano, nie działała poczta, nie było komunikacji [...] tylko ból i cierpienie.

Wojsko konfiskowało mieszkańcom pieniądze, biżuterię, srebro i wszystkie wartościowe przedmioty. Gdy wojna się wreszcie skończyła, zapanował spokój. Skończyły się grabieże i mordy. Młode dziewczęta wyszły z kryjówek, nie było już gwałtów i zabijania bez powodu. Oddziały wycofały się z Trochenbrodu. Dom mojego dziadka został ogołocony ze wszystkich sprzętów należących do rodziny od pokoleń, ale przynajmniej żyliśmy.

Wojna odcisnęła piętno na moich rodzicach, zwłaszcza na matce. Była poważnie chora, unieruchomiona w łóżku. Sprzętów w naszym domu nie czyszczono, już nie lśniły. Nie pachniało słodko i przyjemnie. Zniknęły też zapachy z kuchni. Chodziliśmy w podartych, brudnych ubraniach. Brakowało jedzenia. Często byliśmy głodni. Matka była zbyt słaba, by przygotować jakikolwiek posiłek z nędznych resztek, które jeszcze zostały. Mój mały brat Josel i ja większość czasu spędzaliśmy z matką w łóżku, żeby nie marznąć, ale wiecznie dręczył nas głód.

Co pewien czas bawiliśmy się w łóżku matki „w udawanie", służyły do tego

podniszczone pocztówki. Pocztówki przedstawiały Statuę Wolności i zatłoczoną nowojorską Lower East Side. Przysłała je nam rodzina matki po przyjeździe do Ameryki. Z tych pocztówek matka wysnuwała wspaniałe opowieści o wolności, pokoju, szczęściu i dostatku.

Wkrótce po odejściu matki spadło na nas kolejne nieszczęście. Zachorowali ojciec i Josel. Brat, z którym spałam z jednym łóżku, pewnego ranka leżał na nim zimny i sztywny. Jego młode życie zgasło, zanim miał szansę je przeżyć. Zmarł na ospę wietrzną. Przypuszczam, że to śmierć Josela doprowadziła ojca do całkowitego załamania i przyczyniła się do jego śmierci.

Nadszedł czas, gdy naprawdę nie mieliśmy ani kawałka chleba. Szukaliśmy w lesie jagód i szczawiu. Brzuchy nam opuchły. Byliśmy tak osłabieni z głodu, tak obolali i udręczeni przez wszy, że nic już nas nie obchodziło. Ale nie tylko my znajdowaliśmy się w takiej sytuacji. Głodował cały Trochenbrod. Zamieniliśmy się w zwierzęta, polowaliśmy na ochłapy i niczym zwierzęta bez skrupułów walczyliśmy o przeżycie.

Właśnie w chwili, gdy życie stało się już nie do zniesienia, gdy byliśmy gotowi się poddać, los się odmienił i przyszła pomoc. Pewnego dnia Trochenbrod zaczął aż kipieć z podniecenia. Do miasta przybył bogaty Amerykanin, przysłany przez zaniepokojonych krewnych mieszkańców, aby dowiedzieć się o ich losy. Przywiózł listy i pieniądze dla niektórych rodzin. Miał również pomóc niektórym mieszkańcom w wyjeździe do Ameryki. Dotarłam z bratem do centrum miasta dokładnie w momencie, gdy Amerykanin wywoływał nasze nazwiska.

Państwo austro-węgierskie upadło ostatecznie w 1918 roku, ale kończący pierwszą wojnę światową traktat wersalski nie określał jednoznacznie granicy między odrodzoną Polską a nowo powstałą Rosją Radziecką. Od razu zaczęła się walka o ziemie pograniczne, gdzie leżał również Trochenbrod. Front znów przesuwał się to w jedną, to w drugą stronę. Miasto ponownie zostało spustoszone. Gdy zajmowali je Polacy, okazywali swój wstręt do Żydów biciem, zmuszaniem do pracy, gwałtami i konfiskatą żywności. Sowieci woleli konfiskować dobytek zamożniejszych mieszkańców, przejmować ich przedsiębiorstwa i polować na wyimaginowanych polskich szpiegów. Wojna zakończyła się w 1920 roku, a w rok później podpisano traktat ryski ustalający granicę między Polską a Rosją Radziecką. Właśnie wtedy Szajndele Gluz usłyszała swoje nazwisko wywoływane w centrum Trochenbrodu, a gdy płynęła do Ameryki, miasto należało już do Polski.

Dla tego okresu dziejów miasta zachowało się mnóstwo materiałów

źródłowych – choć nigdy ich za wiele, a poza tym niektóre są ze sobą sprzeczne. Znalazłem dobre mapy, ręcznie pisane dokumenty miejskie Zofiówki, rozmaite spisy, między innymi rejestry gruntów i budynków, wspomnienia oraz wzmianki o Trochenbrodzie, najczęściej krótkie, w różnych książkach. Dzięki tym źródłom mogłem naszkicować zarys sytuacji Trochenbrodu w okresie międzywojennym, ale nie potrafiłem wypełnić go treścią. Jak wyglądała główna ulica? Jak ubierali się ludzie? W jaki sposób wspólnota wpływała na życie jednostek? Jak układały się stosunki między bogatymi a biednymi? W czym wyrażała się żydowskość tego miejsca? Krótko mówiąc, jakie nastroje panowały w międzywojennym Trochenbrodzie, tym „ostatnim" Trochenbrodzie. Jak wyglądała tam codzienność?

Miałem szczęście, że uległem fascynacji tym miasteczkiem w czasie, gdy żyła jeszcze garstka osób, które je znały. Rozmawiałem z ludźmi urodzonymi tam w latach 1912–1932, którzy opuścili Trochenbrod dopiero w 1942 roku. Poznałem różne punkty widzenia; dowiedziałem się, jak postrzegali mieszkańców miasteczka Polacy i Ukraińcy z sąsiedztwa, wciąż tam mieszkający i pamiętający z dzieciństwa wizyty w Trochenbrodzie. Wspomnienia, choć pamięć bywa zawodna i może wypaczać prawdziwy obraz, zebrane razem pozwalają wypełnić kontur, odtworzyć atmosferę i ducha miejsca. Mój ojciec wyjechał stąd w 1932 roku; starałem się uchwycić to, co mógłby mi opowiedzieć.

Mieszkańcy Trochenbrodu zwykle wybierali się do fotografa do Łucka, odległego o ponad 30 kilometrów i ponad pół dnia drogi, albo robili sobie zdjęcia u wędrownych fotografów, którzy od czasu do czasu zakładali prowizoryczne pracownie w miasteczku. Dlatego właśnie zachowały się setki zdjęć, na których można obejrzeć twarze i sylwetki, zwykle sztywno upozowane, ale już nie widoki miasta. W latach trzydziestych XX wieku skrzynkowe aparaty fotograficzne i aparaty 35 mm były coraz łatwiej dostępne, toteż niektórzy z odwiedzających Trochenbrod, zwykle emigranci przybyli z wizytą do krewnych, robili zdjęcia na wolnym powietrzu. Aparaty mieli też mieszkańcy miasta, ale te zdjęcia przepadły w czasie Holokaustu. Jedyną osobą, która fotografowała sceny na wolnym powietrzu i przeżyła wojnę, nie utraciwszy zbioru zdjęć ani dobytku, była naczelniczka poczty, Polka i katoliczka Janina Lubińska. Spotkałem się w Radomiu z jej synem, Ryszardem, który chętnie przekazał mi reprodukowane w tej książce zdjęcia Trochenbrodu lat trzydziestych. Przybliżają one ówczesną rzeczywistość lepiej niż wszystko inne; pozwoliły mi zobaczyć miasto, w którym dorastał mój ojciec.

Na początku lat dwudziestych, gdy ojciec przechodził bar micwę, populacja Trochenbrodu i Łożyszcza liczyła tyle samo co dwadzieścia lat wcześniej około

1600 mieszkańców. Emigracja, choroby i wojenny niedostatek zahamowały naturalny wzrost. W pierwszych trudnych latach powojennych odrabiano straty. W początkowym okresie władzy polskiej miejscowi dowódcy zmuszali Żydów z Trochenbrodu do pracy – budowania w okolicy dróg, budynków rządowych, magazynów; do dostarczania wojsku żywności, odzieży i wyrobów skórzanych, do transportu materiałów budowlanych i dostaw dla wojska, wykonywania wyposażenia dla urzędów. Te uciążliwości zostały wkrótce zastąpione przez odgórnie zarządzoną dyskryminację. Żydzi nie mieli dostępu do stanowisk rządowych. Pewne dziedziny handlu, w których udział Żydów był znaczny, takie jak handel wódką czy solą, zostały zmonopolizowane przez państwo i przejęte przez katolickich weteranów wojennych. W okresie międzywojennym sytuacja Żydów systematycznie się pogarszała. Regularnie wybuchały zamieszki antyżydowskie, ignorowane, a czasem nawet inspirowane przez polskie władze. Mimo to – a także dlatego, że na wsi łatwiej było sobie poradzić niż w mieście, a Polacy, Ukraińcy i Żydzi tworzyli tam zwarte wspólnoty – gospodarka Trochenbrodu znów zaczęła się rozwijać.

Na przełomie XIX i XX wieku miasteczko utrzymywało już coraz żywsze kontakty ze światem zewnętrznym, a mieszkańcy osiągnęli pewien stopień świadomości politycznej, jednak to pierwsza wojna światowa i wojna polsko-bolszewicka otworzyły szybszą ścieżkę ku nowoczesności w dziedzinie techniki, handlu, w kulturze, w życiu społecznym i politycznym. W latach wojen przez Trochenbrod przetaczały się armie rosyjska, austriacka, polska i radziecka. Młodzi mężczyźni uciekali do odległych miast, aby uniknąć kłopotów, czasem też nauki w jesziwie, a potem wracali bardziej obyci w świecie. Ci, których wcielono do armii, musieli prowadzić życie świeckie i jeść niekoszerną żywność. Wszystko to sprawiło, że w okresie międzywojennym w Trochenbrodzie pojawiało się coraz więcej ruchów politycznych o charakterze świeckim, od skrajnie lewicowych po skrajnie prawicowe; zaczęli również działać przedsiębiorcy prowadzący interesy na szeroką skalę.

Nie należy jednak popadać w przesadę. Trochenbrod wciąż był miasteczkiem otoczonym przez lasy, daleko od dróg dostępnych dla pojazdów zmotoryzowanych, całkowicie żydowskim i cokolwiek zaściankowym. Niepodzielnie rządziły obyczaje żydowskie – niezmiennie świętowano szabat i obchodzono żydowskie święta; przestrzegano zasad koszerności i wynikających z nich ograniczeń; chodzono do synagogi i zawsze uroczyście witano odwiedzających miasto żydowskich uczonych. Dla Żydów, którzy znali to miasto, a przede wszystkim dla jego mieszkańców wszystko to, w połączeniu z rolniczym charakterem Trochenbrodu, nadawało temu miejscu jakiś ponadczasowy, niemal

magiczny wymiar.

Pod koniec lat dwudziestych Trochenbrod znów rozkwitł. Wracał do roli ośrodka handlu, rzemiosła, produkcji rolniczej i drobnej wytwórczości dla regionu rozciągającego się w promieniu ponad 16 kilometrów. Często podkreślano, i słusznie, wyjątkowość żydowskich rolników z Trochenbrodu. Jednym z najbardziej wymownych świadectw fascynacji tym zjawiskiem są słowa izraelskiego pisarza Jacopa Banai z wydanej w 1978 roku książki *Anonymous Soldiers* (Nieznani żołnierze):

Zofiówka to nazwa małego miasteczka na Wołyniu, gdzie jesienią 1938 roku odbył się pierwszy kurs Ecel, w którym wziąłem udział. Żydzi żyli w Zofiówce jak we własnym królestwie. Tam po raz pierwszy spotkałem Żydów uprawiających ziemię. W Zofiówce widziałem Żydów idących za pługiem; Żyda, który wyprowadza krowy na pastwisko, a gdy przychodzi pora modlitwy, stoi na tym pastwisku i modli się jak w synagodze.

Obraz ten głęboko zapadł mi w pamięć i tak zaczęła się kształtować nasza wizja Żyda we własnej ojczyźnie. Widziałem też dzieci, nie dzieci przymuszone do jakiejś pracy, ale prawdziwe małe dzieciaki bawiące się na polach, tańczące i śpiewające hebrajskie piosenki. Cóż za magiczne miejsce, ta Zofiówka!!!

Tego rodzaju wspomnienia, a także wspomnienia osób, które opuściły Trochenbrod jako dzieci lub na długo przed pierwszą wojną światową, ukształtowały częsty dziś obraz tego miejsca jako w zasadzie wsi czy miasteczka rolniczego. W rzeczywistości w latach trzydziestych XX wieku, a zapewne już o wiele wcześniej, żaden z mieszkańców Trochenbrodu nie utrzymywał się z rolnictwa. Wszystkie rodziny uprawiały ziemię, ale znaczna większość zarabiała na życie handlem detalicznym i drobną wytwórczością.

Na polach należących do mieszkańców, w ich domach, a nawet w przedsiębiorstwach pracowało teraz coraz więcej Ukraińców i Polaków z okolicznych wsi. Coraz więcej chłopów z sąsiedztwa nie tylko robiło w Trochenbrodzie zakupy, ale też prowadziło tam sprzedaż obnośną lub obwoźną. Trochenbrod pozostał, jak wcześniej, jedną długą ulicą z domami, sklepami, warsztatami, małymi fabryczkami i synagogami, teraz jednak mieściły się wzdłuż tej ulicy również budynki użyteczności publicznej, takie jak szkoły, dom kultury, urząd pocztowy, posterunek policji. Wiele domów zostało przebudowanych, odnowionych i rozbudowanych, a większość sklepów miała już witryny, w których wystawiano coraz więcej różnorakich towarów. Na początku lat trzydziestych

miasto odgrywało znaczącą rolę w skali regionu.

Świadectwem tego było pojawienie się jego nazwy w wydanym w 1929 roku pierwszym *Ilustrowanym przewodniku po Wołyniu*, wymieniającym tylko miejsca ważne ze względu na gospodarkę lub turystykę. Wśród nich znalazł się Trochenbrod/Zofiówka, o którym pisano:

Jedenaście kilometrów na wschód od Trościańca leży Zofiówka, osada przemysłowa o kilkuset mieszkańcach, do której najdogodniejszy dojazd prowadzi wprost z Kiwerzec (22 kilometry). Rozwija się tu szczególnie przemysł garbarski i istnieje przeszło 20 niewielkich garbarni. Poza tym zamieszkuje ją dużo Żydów trudniących się rolnictwem. Osada zbudowana jest na palach wśród moczarów, a w czasie roztopów wiosennych domy stoją jak gdyby w wodzie. Nowy kościół drewniany, z drzewa sosnowego i dębowego, fundacji Radziwiłłów, dość znacznych rozmiarów.

Tak, kościół! Więcej o nim później.

W 1929 roku Zofiówka znalazła się również w *Księdze adresowej Polski*, przewodniku po polskim biznesie. Wymieniono tam około dziewięćdziesięciu działających w tym mieście firm nierolniczych różnych branż – sklepów, warsztatów, małych wytwórni, składów. Podano też nazwiska właścicieli, dziś występujące w Ameryce Północnej i Południowej oraz w Izraelu, a także pojawiające się na kartach tej książki: Antwarg, Blitzstein, Bulmasz, Drossner, Fiszfader, Gelman, Gilden, Gluz, Halperin, Kerman, Kessler, Potasz, Rojtenberg, Szafran, Schuster, Szpielman, Szwarc, Szames, Wajner. Jedynymi typowo polskimi nazwiskami na długiej liście przedsiębiorców z Zofiówki są nazwiska właścicieli sklepów handlujących wódką i papierosami, czyli towarami objętymi monopolem państwowym.

Rozległość interesów prowadzonych w mieście już w 1929 roku może początkowo zaskakiwać, zważywszy na straty materialne i w ludziach spowodowane przez wojny. Po ustabilizowaniu się sytuacji, nadrobieniu podstawowych strat i przystosowaniu do osobliwości polskiej administracji mniej więcej w połowie lat dwudziestych Trochenbrod zaczął jednak ze zdwojoną energią odzyskiwać swą pozycję regionalnego ośrodka handlu. I podczas gdy niektóre rodziny nigdy nie osiągnęły ponownie przedwojennego poziomu zamożności, a inne z trudem sobie radziły, najczęściej dzięki pieniądzom przysyłanym przez krewnych zza granicy, u progu lat trzydziestych wielu mieszkańcom Trochenbrodu zaczynało się stosunkowo nieźle powodzić, a widoki

na przyszłość przedstawiały się całkiem dobrze.

Z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że koncepcja celowej dywersyfikacji gospodarki dla wspierania rozwoju i stabilności Trochenbrodu nie przemknęła przez głowę żadnego z mieszkańców, ale chcąc nie chcąc koncepcja ta została zrealizowana w praktyce. Podejmowanie różnego rodzaju działań, aby zagwarantować sobie pewny dochód, to obyczaj uświęcony tradycją zwłaszcza na wsi. Jeśli dodać do tego niezwykłe bogactwo możliwości wynikające z łączenia zajęć rolniczych z typowo miejskimi, ducha przedsiębiorczości odziedziczonego po miejskich przodkach, potencjalny rynek zbytu w licznych wsiach regionu, nie mówiąc już o trzech miastach, otrzymujemy wyjątkowy zestaw czynników sprzyjających pomyślnemu gospodarowaniu. Mieszkańcy Trochenbrodu natychmiast go wykorzystali.

Dobrym przykładem jest tu Mojsze Szejnberg, rzeźnik. Mojsze zauważył, że podobnie jak Żydzi, Polacy nie jadają wołowiny zadniej i doszedł do wniosku, że tę masę niepotrzebnego mięsa można by sprzedać Ukraińcom. Tak też zrobił. Kupował te części tuszy stosunkowo tanio, a potem sprzedawał je na targu w Kiwercach. Mojsze przestrzegał oczywiście wymogu koszerności i nigdy nie jadał sprzedawanego przez siebie niekoszernego mięsa.

Abram Bass z kolei był rolnikiem, który ponieważ miał konie i wóz, sprzedawał na targu płody swej ziemi. Często przywoził produkty rolne, aby je sprzedać w Trochenbrodzie, stał się więc również handlarzem. Znał się na koniach, jednego sprzedawał, drugiego kupował, wkrótce został więc również handlarzem koni. Czasem przywoził do Trochenbrodu chleb na sprzedaż. Dlaczego więc nie piec chleba i nie sprzedawać świeżego, który mogliby kupować chłopi z okolicznych wsi? Dość szybko Abram Bass stał się stosunkowo zamożnym przedsiębiorcą, który uprawiał ziemię i handlował płodami rolnymi, handlował końmi i miał w Trochenbrodzie piekarnię.

Właściciele trochenbrodzkich mleczarni wozili mleko i masło na sprzedaż do Łucka, Równego i Kołek. Po co wracać do miasta pustymi wozami? Zaczęli przywozić stamtąd cukier, olej, a w końcu wiele innych towarów, które sprzedawali w miasteczku. Zamieniali sklepiki przy swoich mleczarniach w sklepy spożywcze i uważali się już nie za mleczarzy, ale sklepikarzy i kupców artykułów spożywczych.

Eli Potasz zaczynał od robienia butów i sprzedawania ich w małym sklepiku, podobnie jak wielu innych szewców. Aby zdobyć przewagę nad konkurencją, kupił

konia i wóz i zaczął jeździć po wsiach, zbierał zamówienia od klientów i sprzedawał im buty bezpośrednio. Klienci pytali go o inne wyroby ze skóry, przede wszystkim buty z cholewami, pasy i uprząż. Eli systematycznie powiększał swe przedsiębiorstwo „eksportowe", tak że w połowie lat trzydziestych miał w należącym do siebie domu (obok poczty) warsztat produkujący szeroki asortyment wyrobów skórzanych dla stałej klienteli z okolicznych wsi. Warsztat przynosił tak dobre dochody, że Eli wybudował sobie ładny nowy dom. Nie mógł przypuszczać, że zaledwie kilka lat później Niemcy wybiorą między innymi ten dom na magazyn mienia żydowskiego, a potem na swą kwaterę, on zaś będzie walczył wraz rodziną o przetrwanie zimy, kryjąc się w lasach Radziwiłłów.

Na podstawie *Ilustrowanego przewodnika po Wołyniu* z 1929 roku można przyjąć, że jeśli w Trochenbrodzie dominowała jakaś gałąź wytwórczości, była nią produkcja wyrobów ze skóry. Biznes skórzany obejmował kupno skór oraz krów na skóry, garbowanie, wyrób różnego rodzaju artykułów, przede wszystkim butów zwykłych i z wysokimi cholewami, sklepy z wyrobami skórzanymi i obuwnicze, naprawę butów oraz wysyłkę towarów do okolicznych miast, sprzedaż na targach, sprzedaż obwoźną od wsi do wsi i sprzedaż hurtową dla małych sklepów w innych miasteczkach. Największa garbarnia, a zarazem prawdopodobnie największe przedsiębiorstwo w Trochenbrodzie, należała do rodziny Szwarców i zatrudniała siedmiu pracowników. Z tej rodziny pochodził Dawid Szwarc, autor wspomnień przytoczonych w pierwszym rozdziale książki.

Garbarze z Trochenbrodu wyprawiali się regularnie do okolicznych wsi w poszukiwaniu krów, których skóra odpowiadała ich wysokim wymaganiom. Wysokie buty z Zofiówki uważano za najlepsze tego typu obuwie dostępne w promieniu dziesiątków kilometrów ze względu na najwyższą jakość zarówno skóry, jak wykonania. Ponieważ w błotnistym wiejskim regionie wysokie buty były niezbędne, w Trochenbrodzie namnożyło się szewców i sklepów obuwniczych, do których zjeżdżali klienci z całej okolicy, nawet z miast. W końcu lat trzydziestych w Trochenbrodzie działało około trzydziestu kwitnących firm związanych z produkcją wyrobów skórzanych. Sława miasta jako centrum obuwniczego przyciągała tak wielu klientów, że założono tu nawet sklep Baty, w którym można było kupić dość tanie buty z rozrzuconych po całym świecie zakładów firmy.

W końcu lat trzydziestych przy tętniącej życiem ulicy Trochenbrodu działały:

- Piekarnie

• Zakłady fryzjerskie

• Piwiarnia

• Skład materiałów budowlanych

• Jatki – im tłustsze mięso, tym więcej kosztowało!

• Sklep ze słodyczami

• Stolarnie

• Kantory handlu bydłem

• Sklep z odzieżą gotową

• Mleczarnie, skupujące mleko od mieszkańców Trochenbrodu i sprzedające produkty mleczne w tutejszych sklepach oraz w Łucku, Równem i Kołkach

• Zakład krawiectwa damskiego

• Sklep z tkaninami, bardzo popularny w regionie, ponieważ noszono głównie odzież szytą na miarę

• Sklep wielobranżowy

• Zakłady szklarskie

• Młyny, z których największy znajdował się po wschodniej stronie ulicy, na północnym skraju miasta, gdzie okoliczni chłopi oddawali zboże do zmielenia lub słomę do posiekania na paszę dla zwierząt

• Sklepy spożywcze

• Zakłady meblarskie

• Pasmanteria

• Zakład kapeluszniczy

• Zakład zduński

• Zielarnia

• Kantory handlu bydłem

• Przedsiębiorstwo budowlane

• Lodownia – lód wycinano ze stawu na północnych obrzeżach miasta

• Zajazd

• Zakład kowalstwa artystycznego

• Tartaki

• Wytwórnia macy (w sezonie)

• Fabryczka drobnych wyrobów żelaznych, takich jak gwoździe

• Gabinet akuszerki

• Tłocznie oleju

• Apteki prowadzone przez miejscowych felczerów leczących lżejsze dolegliwości i urazy; poważnie chorych zawożono do szpitali w Łucku, Równem, a nawet w Kijowie; podróż była długa, uciążliwa i często niebezpieczna

• Sklepy z produktami rolnymi

• Restauracja

• Rzeźnia koszerna

• Zakłady krawieckie

Były ponadto rzeźnia i łaźnia, ale nie przy głównej ulicy.

Ojcowie wielu rodzin zajmowali się handlem i regularnie jeździli na regionalne targi wozami konnymi, dowożąc towary do Ołyki, Kołek czy

Kiwerców, gdzie w określone dni tygodnia handlowano różnymi towarami. Niektórzy sprzedawali produkty rolne, takie jak kartofle czy kapusta z pól należących do mieszkańców Trochenbrodu, a kupowali na sprzedaż w mieście towary takie jak mąka czy cukier. Inni sprzedawali na targach towary wytworzone w Trochenbrodzie, przede wszystkim wyroby skórzane; jeszcze inni handlowali bydłem lub końmi.

Fachowcy z Trochenbrodu – szklarze, cieśle, zduni, malarze, murarze, dekarze – pracowali we wsiach położonych w promieniu 24 kilometrów od miasta. Dystans ten mężczyzna mógł pokonać w ciągu dnia i wrócić do miasta następnego dnia po zakończeniu pracy, unikając podróży nocą i narażania się na niebezpieczeństwo ze strony rabusiów, chuliganów i dzikich zwierząt.

Rozmach, z jakim rozwijał się Trochenbrod – przyprawiająca o zawrót głowy różnorodność przedsięwzięć w tym położonym wśród lasów miasteczku, rozległe kontakty handlowe – często był przywoływany w rozmowach, które prowadziłem z dawnymi mieszkańcami. Także Ukraińcy mieszkający nadal w tej okolicy mówili o nim z podziwem. Gdy podczas pierwszej wizyty próbowaliśmy znaleźć miejsce, gdzie leżał Trochenbrod, we wsi Domaszów zobaczyliśmy starszą kobietę okopującą coś motyką na polu. Zapytaliśmy, czy mogłaby nam pokazać, gdzie była kiedyś Zofiówka. Powoli się wyprostowała i przez chwilę przyglądała się nam bacznie, jakby zastanawiając się, któż to pyta o takie rzeczy. A potem na jej ogorzałej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, który zdawał się mówić: „Aha, jesteście cudzoziemcami, szukacie tego miejsca... a to dopiero!”. Kobieta odwróciła się i wskazała: „Tam. Idźcie w tamtą stronę przez pola po drugiej stronie tego lasku, aż zobaczycie mały czarny pomnik, który oznacza północny skraj Zofiówki. Gdyby nie było tu Niemców, nie musielibyście pytać, bo byście sami ją zobaczyli. Byłaby dziś dużym miastem, większym niż Łuck”.

Ciekawa myśl do rozważenia. Co by było, gdyby nie druga wojna światowa? Czy Trochenbrod naprawdę mógłby stać się dużym miastem, z kamienicami, siatką brukowanych ulic z trotuarami, z tramwajami i samochodami, z dworcem kolejowym, z eleganckimi restauracjami i drogimi sklepami – całkowicie żydowskim miastem, Tel Awiwem w Polsce lub na Ukrainie?

W końcu lat trzydziestych szybko rozwijający się Trochenbrod miał własny urząd pocztowy i posterunek policji, działały tam również różne urzędy państwowe. Przez krótki czas w Zofiówce znajdowała się gminna komenda policji, którą po reformie administracji przeniesiono do odległego o kilkanaście kilometrów Silna, wsi o wiele mniejszej od Trochenbrodu. Tam też przeniesiono

wszelkie urzędy gminne. Miejscowa władza docierała jednak do Trochenbrodu, najlepiej prosperującego miasteczka w gminie Silno, na rozmaite sposoby, zwłaszcza gdy chodziło o podatki.

W Polsce obowiązywały rozmaitego rodzaju podatki i opłaty. Przedsiębiorcy, na przykład właściciele sklepów, musieli co roku opłacać koncesje na ich prowadzenie, a następnie podatek od obrotów. Gospodarstwa domowe musiały obowiązkowo wykupywać ubezpieczenie od pożaru, mające ponoć pokryć koszty ochrony przeciwpożarowej i odbudowy po pożarze. Płaciło się akcyzę od zapałek, wysokoprocentowego alkoholu, tytoniu, nafty i innych podstawowych artykułów niespożywczych. A do tego trzeba było płacić naczelnikowi policji. W końcu lat trzydziestych był nim potężny mężczyzna – jak wspominał jeden z dawnych mieszkańców Trochenbrodu, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i bez mała metr w barach. Naczelnik regularnie pojawiał się w podlegającej mu Zofiówce. Wchodził do takiego czy innego sklepu, wyciągał rękę do sklepikarza i rzucał przyjaźnie: „Szolem alejchem". Wszyscy wiedzieli, że przyszedł po „podatek policyjny" i że podając mu dłoń, należy mieć w niej kilka złotych, które niepostrzeżenie znikały w ręce policjanta. Trochenbrod miał wszystkie cechy tętniącego życiem miasta handlowego.

Oprócz handlu poważną rolę odgrywało rolnictwo. Ziemia dostarczała większości trochenbrodzkich rodzin nie tylko jedzenia, ale też produktów na sprzedaż. Za każdym domem znajdowały się stodoła, obora i inne zabudowania gospodarcze, dalej przydomowy ogródek, za nim pole, na którym sadzono kukurydzę, fasolę, kartofle, kapustę i inne warzywa, a jeszcze dalej, aż do lasu ciągnęło się pastwisko. Ten typ gospodarstwa funkcjonował w Trochenbrodzie niemal bez zmian od ponad stu lat.

Wiele rodzin trzymało krowy, a większość również kury, kozy i konie. Codziennie pracownicy trzech miejskich mleczarni krążyli od domu do domu, aby kupić mleko; jego sprzedaż była jednym z rozlicznych pomniejszych źródeł dochodów mieszkańców.

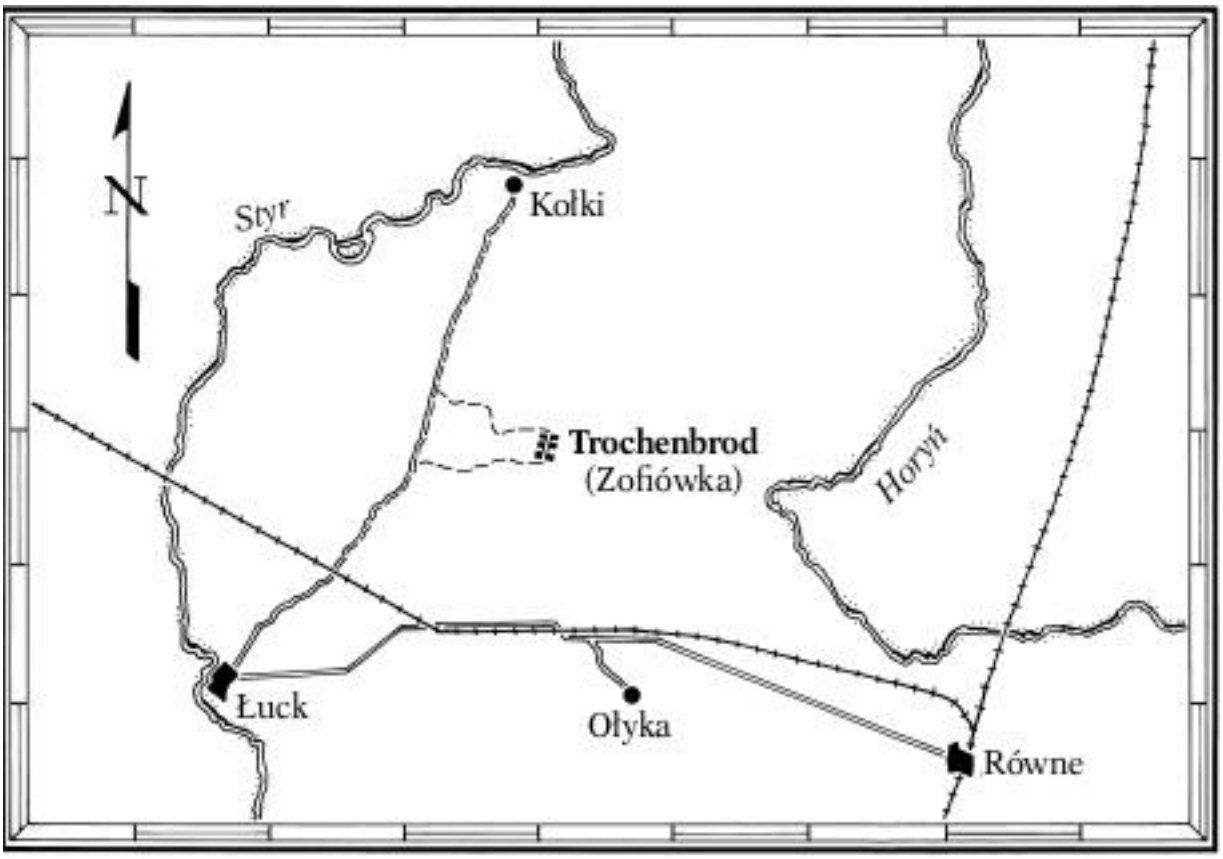

Większe miejscowości w okolicach Trochenbrodu

Trochenbrodzianie utrzymywali bliskie kontakty handlowe z okolicznymi miastami, a wielu miało krewnych w Łucku, Równem czy Kołkach. Poprawiała się komunikacja – droga ze stacji kolejowej w Kiwercach do Łucka została wybrukowana, między Kołkami a Łuckiem zaczęły jeździć autobusy, a Łuck i Równe miały zarówno połączenie kolejowe, jak i autobusowe. Podróż do dużego miasta stawała się coraz łatwiejsza. Dzieciństwo Basii-Ruchli Potasz, córki Eliego, przypadło na lata trzydzieste. Pamięta, jakie wrażenie robiło na małej dziewczynce z rolniczego miasteczka zetknięcie się z prawdziwym miastem:

Lubiłam wyjeżdżać z ojcem do dużego miasta, Łucka, gdzie ojciec kupował skóry i inne rzeczy. Zabierał mnie ze sobą. Przyglądałam się domom i ludziom, wystawom sklepowym i samochodom; to było takie ekscytujące! Marzyłam, że gdy dorosnę, będę mieszkała w dużym mieście.

Rozwój gospodarczy Trochenbrodu trwał nieprzerwanie do końca lat trzydziestych, a jedną z jego konsekwencji był znaczny wzrost liczby mieszkańców w okresie międzywojennym – z 1600 do ponad 5 tysięcy (według danych dla

połączonych Zofiówki i Ignatówki).

Wzrost ten wynikał po części z napływu do Trochenbrodu mieszkańców okolicznych miast, którzy zawierali małżeństwa z miejscowymi. A ponadto było to miejsce wyjątkowe, gdzie można było zarabiać na życie, cieszyć się urokami wsi, korzystając zarazem z miejskich udogodnień, no i mieszkało się w żydowskim mieście. Zmniejszyła się też skala emigracji – trudniej było uzyskać wizę imigracyjną do wielu krajów, w tym również Stanów Zjednoczonych, a jednocześnie w tak prężnym ośrodku handlowym, jakim stał się Trochenbrod, istniało wiele możliwości zdobywania środków do życia; ziemia, której areał się przecież nie powiększał, nie stanowiła już jak dawniej podstawy bytu. W mieście rodziło się także więcej dzieci, ponieważ wzrosła zamożność mieszkańców, a perspektywy wydawały się obiecujące, może nawet wspaniałe.

W połowie lat dwudziestych znacznie ożywiło się życie społeczne, rodziły się kolejne inicjatywy polityczne i kulturalne. Jak wszędzie w Europie Wschodniej tamtych czasów duże wpływy zyskał syjonizm. W organizacjach syjonistycznych o rozmaitych odcieniach politycznych, od skrajnej lewicy do skrajnej prawicy, działała praktycznie cała młodzież. Wśród młodzieży trochenbrodzkiej najsilniejsze wpływy miała organizacja Bejtar, kładąca duży nacisk na kwestię samoobrony. Związki z nią miał nawet Ryszard Lubiński, jedyny goj urodzony w Trochenbrodzie.

Żydowskie organizacje działające w Trochenbrodzie czasem ze sobą walczyły. Słyszał pan o Bejtarze? Byłem blisko z ludźmi z tej organizacji. Jej przywódcą był Anszel Szpielman. Organizacja chciała walczyć o Palestynę, o państwo żydowskie w Palestynie. Inne organizacje wolały negocjować w sprawie ziemi, co prowadziło do konfliktów między nimi.

Grupy syjonistyczne spotykały się regularnie. Czasem oddzielnie, czasem ze sobą współpracując, realizowały programy kształceniowe, organizowały zabawy, wieczorki muzyki i tańca hebrajskiego, obchody ważnych wydarzeń; propagowały używanie współczesnego języka hebrajskiego, a także wyekspediowały do Palestyny ponad setkę żydowskich „pionierów". Powrót do hebrajskiego, który miał stać się językiem nowego państwa żydowskiego, traktowany był przez młodych syjonistów jako jedno z najważniejszych zadań. W połowie lat trzydziestych w domach i na niektórych zgromadzeniach publicznych słyszało się już w Trochenbrodzie hebrajski; sprawnie organizowano naukę tego języka. Trochenbrod, małe, odizolowane miasto pośród ukraińskich wsi i lasów, wydał nawet poetów i felietonistów, którzy publikowali swe prace zarówno w języku

jidysz, jak i hebrajskim.

Wielu mieszkańców Trochenbrodu dumą napawał fakt, że w 1938 roku właśnie w ich mieście odbył się pierwszy poza Palestyną obóz szkoleniowy dla działaczy Ecelu, żydowskiej organizacji nacjonalistycznej, z którą młodzi syjoniści z Bejtaru utrzymywali kontakty. Członkowie Ecelu wierzyli, że drogą do utworzenia państwa żydowskiego w Palestynie jest walka zbrojna. Przywódcą organizacji był Menachem Begin, który najpierw walczył z Brytyjczykami w Palestynie, a potem został premierem Izraela. W Trochenbrodzie warunki do przeprowadzenia szkolenia wojskowego były wyjątkowo sprzyjające – względne odosobnienie, pozwalające nie rzucać się w oczy niechętnym władzom polskim; wiejska okolica, czyli otwarte tereny i lasy; duża grupa młodzieży syjonistycznej oraz przyjaźnie nastawione żydowskie miasto, które mogło gościnnie przyjąć obozowiczów.

Popularność syjonizmu, ideologii świeckiej, tylko w niewielkim stopniu wpłynęła na życie religijne Trochenbrodu, który pozostał wierny nakazom judaizmu. Wszyscy jego mieszkańcy, z którymi rozmawiałem, w latach trzydziestych byli młodymi, żarliwymi syjonistami, ale mężczyźni uczyli się również w jesziwach w Ołyce, Równem, Międzyrzecu Podlaskim, Lublinie i Warszawie. Mówiono mi, że w małym przecież Trochenbrodzie działało w owym czasie dziewięć synagog. Wszyscy przestrzegali żydowskich praw i obyczajów. Jak stwierdził jeden z dawnych mieszkańców miasta, „Albo byłeś ortodoksyjnym Żydem, albo nazywali cię gojem". Skrupulatnie przestrzegano zakazów związanych z szabatem, wszystkie żydowskie święta obchodzono wspólnie, modlono się trzy razy dziennie.

Żydowscy chłopcy uczyli się w Talmud Tora, dużej szkole zatrudniającej wielu nauczycieli, i w kilku chederach. Większość dzieci przychodziła do chederu na kilka godzin dziennie, po lekcjach w polskiej państwowej szkole podstawowej. Zamożniejsze rodziny zatrudniały ponadto prywatnych nauczycieli, którzy w domach uczyli dzieci hebrajskiego.

Trochenbrodzianie, którzy w latach trzydziestych byli młodymi ludźmi, opowiadają dziś o szabacie takimi samymi słowami, jak autorzy wspomnień starsi o dwa lub trzy pokolenia. Na ten dzień pieczono słodkie chałki i długo gotowano na wolnym ogniu czulent; kąpano się i sprzątano domy; dzieci chodziły od drzwi do drzwi, zbierając wypieki dla ubogich. Ubierano się odświętnie na przywitanie Królowej Szabat, jak nazywano ten szczególny dzień. W szabat przyjmowano gości, zwykle byli to kupcy, którzy przyjechali w interesach i nie zdążyli wrócić do

domu, a podróżowanie w szabat było zabronione. Po piątkowych modłach kto mógł, z radością przyprowadzał do domu gościa na szabasową kolację.

Kobiety, gdy mężowie modlili się w synagodze, wraz z córkami przygotowywały kolację, którą zjadano wspólnie po powrocie mężczyzn i chłopców. Po kolacji i krótkim odpoczynku przychodził czas na rodzinny spacer, odwiedziny u krewnych, spotkania w małym parku, na plotki i rozmowy o polityce; latem dzieci biegły do lasu w poszukiwaniu jagód. Szabat był dniem spokoju, odpoczynku, modlitwy, dobrego jedzenia, rozmów z rodziną i przyjaciółmi, wycieczek do radziwiłłowskich lasów, śpiewania pieśni i powstrzymywania się, zgodnie z Boskimi przykazaniami, od ciężkiej pracy. Trochenbrod tak właśnie celebrował dzień święty.

Ryszard Lubiński, choć Polak i katolik, też miał swój udział w świętowaniu szabatu:

W Trochenbrodzie byli szabes goje; ja też pomagałem przy rozpalaniu ognia w piecu i utrzymywaniu w cieple jedzenia. Po przyjacielsku pomagaliśmy naszym sąsiadom podtrzymywać ogień. W Zofiówce i Ignatówce były jednak setki domów, toteż ludzie z sąsiednich wsi przychodzili pilnować Żydom ogień i zarobić w ten sposób parę groszy. Większość domów wyglądała podobnie – w każdej kuchni stał piec do gotowania i piec do pieczenia chleba. Pamiętam, że w piątek, gdy wszystko już było przygotowane na szabat, wkładano jedzenie do pieca chlebowego, żeby pozostało ciepłe do następnego dnia. Doskonale pamiętam zapach tego jedzenia.

Podczas gdy poczęstunek z okazji bar micwy składał się w Trochenbrodzie najczęściej z ciasta biszkoptowego, owoców i kieliszka wódki dla mężczyzn po modlitwach, śluby to była całkiem inna sprawa. Uczestniczyła w nich większość miasta. Dzieci recytowały wiersze i śpiewały piosenki, któraś z kobiet piekła ogromną chałkę i tańczyła z nią przed młodą parą. Zapominano o wszystkim i bawiono się. Oblubieńcy odprawiali ceremonię pod baldachimem – łyk wina, obrączka, czytanie obrzędowej formuły, siedem błogosławieństw, rozdeptanie kieliszka. Na weselu pito wódkę, wznoszono toast za toastem, śpiewano i tańczono, mężczyźni z mężczyznami, przy żywiołowych melodiach w wykonaniu zespołu klezmerskiego. Na każde wesele sprowadzano trio klezmerów z Kołek. Calik grał na bębnie, Chaim – na klarnecie, a Peszi z długą, białą brodą – na skrzypcach. Nic nie mogło się równać z weselem w Trochenbrodzie, tak przynajmniej uważali mieszkańcy miasta.

W okresie międzywojennym powstała w Trochenbrodzie – a właściwie

w należącej do Trochenbrodu osadzie między Zofiówką a Ignatówką – państwowa szkoła podstawowa, w której uczono języka polskiego, matematyki i innych przedmiotów świeckich, a także historii żydowskiej. Do szkoły tej chodziły również dzieci ukraińskie z okolicznych wsi. Wspólnie uczono się i bawiono. Niektórzy do dziś dobrze pamiętają swój udział w przedstawieniu *Czerwonego Kapturka* wystawianego w języku polskim, choć w miejskim domu kultury grali w sztukach w języku jidysz, a w grupach syjonistycznych – w hebrajskim.

Właścicielem ogromnych połaci ziemi w okolicach Trochenbrodu był książę Janusz Radziwiłł (jego syn poślubił później Caroline Lee Bouvier, młodszą siostrę Jackie Kennedy). Należał do niego między innymi graniczący z polami po wschodniej stronie Trochenbrodu las, w którym miejscowi Żydzi często wypasali bydło, chodzili w szabat na spacery, zbierali jagody, od czasu do czasu cichcem wycinali drzewo czy dwa na własny użytek; w pewnym sensie uważali ten las za swój. Mimo nieustającej zabawy w kotka i myszkę z leśniczymi księcia stosunki mieszkańców miasta z samym księciem w zasadzie były bardzo dobre. Janusz Radziwiłł miał pałac w Ołyce, małym mieście niecałe 20 kilometrów od Trochenbrodu. Do dziś na południe od miejsca, gdzie niegdyś znajdował się Trochenbrod, znajduje się ścieżka zwana drogą do Ołyki.

W końcu lat dwudziestych książę Radziwiłł wybudował na skraju lasu, trochę na wschód od północnego krańca Trochenbrodu, kościół, który miał służyć około trzydziestu katolickim rodzinom mieszkającym na południowy wschód od miasta. Nie wiadomo, dlaczego akurat wybrał to miejsce, w rezultacie jednak w każdą niedzielę procesja odświętnie ubranych Polaków z księdzem na czele szła do kościoła jedyną ulicą Trochenbrodu.

Dawni mieszkańcy wspominają, że młodzi ludzie, przechodząc przez miasto, zaczepiali miejscowych, jakby chcieli pokazać, kto tu rządzi. Urodzony w Trochenbrodzie Tuwia Drori, który w 1939 roku uciekł do Palestyny, mówił: „Tak, bili Żydów po drodze do kościoła; to była dla nich micwa [dobry uczynek]!”. Inni uważali jednak, że przepychanki prowokowała miejscowa młodzież, jawnie czasami drwiąc z Polaków idących do kościoła. Szmulik Potasz (niespokrewniony z Elim i Basią-Ruchlą), który również wyjechał do Palestyny w 1939 roku, wspomina te procesje jako dobrą rzecz, ponieważ ich uczestnicy często zatrzymywali się w sklepie, aby coś kupić.

Basia-Ruchla Potasz doświadczyła poważnych przykrości ze strony antyżydowsko nastawionych katolików.

To było w niedzielę. Wracający z kościoła goje musieli przejść przez nasz sztetl i wtedy grupa Polaków zaatakowała grupę żydowskich chłopców. Był wśród nich mój wujek. Został ciężko pobity, cały posiniaczony, naprawdę było z nim źle. Wszyscy zaczęli uciekać, zamykać drzwi i chować się w domach, bali się o dzieci i o siebie. Widziałam to na własne oczy. Krzyczałam z całych sił, płakałam. Tego rodzaju rzeczy zdarzały się wiele, wiele razy. Najczęściej w niedziele, gdy oni szli do lub z kościoła przez nasze miasto. Wykrzykiwali: „Brudny Żyd!" albo wołali do nas po nazwisku, bili. Próbowaliśmy schodzić im z drogi. Nie działo się nic tak naprawdę strasznego, ale byłam dzieckiem i to, co widziałam, zrobiło na mnie wrażenie – uświadomiłam sobie, że jestem Żydówką i że oni nas nie lubią. Zdałam sobie sprawę, że muszę być ostrożna i trzymać się od nich z daleka.

Pesi Gotman kościół kojarzy się bardziej z przygodami niż z procesjami:

Pamiętam ten kościół, i to jak! Matka sprawiła mi lanie, ponieważ pobiegłam na odpust – taki wielki piknik przed kościołem, coś w rodzaju święta. Miałam wtedy dziesięć lat. Poszliśmy całą gromadą dzieci. Zawsze były tam lody i rozmaite zabawki; wszyscy gromadzili się na świeżym powietrzu. Mocno za to oberwałam, bo nie wolno mi było chodzić do kościoła.

Być może książę Radziwiłł miał dobre intencje, budując kościół w takim miejscu, że mieszkańcy Trochenbrodu musieli co tydzień patrzeć na procesję, na sam kościół i na to, co działo się na kościelnym dziedzińcu. Można to oceniać w różny sposób, ale jedno nie ulega wątpliwości – w latach trzydziestych polski kościół katolicki i cotygodniowe procesje jego wiernych wywarły wpływ na życie tego żydowskiego miasta.

W połowie lat trzydziestych wielu mieszkańców Trochenbrodu, którzy wyemigrowali przed pierwszą wojną światową, przede wszystkim do Stanów Zjednoczonych, mimo kryzysu przyjeżdżało w odwiedziny do krewnych. Dawid Szwarc zapamiętał wizytę w rodzinnym mieście, do którego przyjechał wraz z żoną w 1934 roku. Basia-Ruchla Potasz po siedemdziesięciu pięciu latach wciąż doskonale pamięta wizytę amerykańskich krewnych:

W 1933 roku przyjechali do nas w odwiedziny ciotka i wuj. Nasz dom był duży i otwarty, zaproszono całe miasto i wszyscy przyszli na przyjęcie na cześć ciotki z Ameryki, która w wieku szesnastu czy siedemnastu lat wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Dziś wydawali się wielkimi osobistościami. To było bardzo zabawne. Wypytywałam ciotkę o Amerykę. Byłam taka ciekawa; pamiętam, jak opowiadała o czarnych ludziach, a ja nie mogłam zrozumieć, o czym

ona mówi. Na przyjęciu robiliśmy sobie wspólne zdjęcie i co się wydarzyło? Na podwórko przyszła krowa i zostawiła po sobie pamiątkę. Wszyscy się śmialiśmy, było naprawdę wesoło.

Większość gości czuła wzruszenie, wręcz rozrzewnienie i żal za utraconą więzią ze wspólnotą żydowską i jej prostym, choć na swój sposób bogatym życiem. Byli już jednak Amerykanami i dla wielu z nich względna zamożność Trochenbrodu oznaczała ubóstwo, prymitywne warunki nie do przyjęcia w porównaniu z nowoczesnym życiem miejskim. Goście z zagranicy często wręczali koperty z dolarami swoim krewnym i krewnym swych znajomych ze Stanów Zjednoczonych. Dziadkowie jednego z moich rozmówców przywieźli nawet dodatkowe walizki w nadziei, że uda im się przekonać rodzinę do emigracji.

Trochenbrod nigdy nie zyskał rozgłosu nawet wśród Żydów. Jednak jego wyjątkowy charakter sprawił, że wiedziano o nim więcej niż o tysiącach innych wschodnioeuropejskich sztetle. Niejeden Żyd dotarł tam, szukając swojego miejsca do życia, a znacznie większa liczba – żeby odetchnąć atmosferą prawdziwie żydowskiego miasta, a także dobrym wiejskim powietrzem. Być może ta jego wyjątkowość przyczyniła się do wyolbrzymienia zasług tamtejszych osobistości dla świata żydowskiego. Urodzony w Trochenbrodzie Eliezer Burak, który w latach dwudziestych wyjechał do Palestyny jako żydowski pionier, opublikował w 1945 roku w Tel Awiwie artykuł w języku hebrajskim o swym ukochanym rodzinnym mieście. Wspominał w nim „sławnych ludzi" mieszkających tam przed pierwszą wojną światową i w okresie międzywojennym, zwłaszcza zasłużonych dla kultury żydowskiej.

Rabin Jecheskel Potasz, długoletni starosta [mianowany przez władze „Starszy"] miasta za czasów carskich. Człowiek wykształcony, erudyta, dobrze służył mieszkańcom Trochenbrodu swą uczciwością i wiedzą.

Hirsz Kantor, artysta komediowy, bardzo utalentowany, mistrz w swym zawodzie. Na weselach i przy innych okazjach przynosił wszystkim radość swymi rymami i swą pomysłowością.

Rabin Mosze Hirsz Rojtenberg, uczony, prowadził w mieście cheder, był kantorem i bardzo utalentowanym komikiem. Jego dowcipy drukowano w gazetach „Heint" i „Moment", co wielce go cieszyło. Dziennikarze przyjeżdżali nawet z Warszawy, aby przeprowadzić z nim wywiad.

Komuniści wysokiego szczebla – Motel Szwarc, znany komisarz z floty

odeskiej, i Jakow Burak, admirał na rosyjskim okręcie wojennym, absolwent uniwersytetu. W okresie sowieckich czystek Szwarc zniknął, Burak natomiast zatonął wraz ze swym okrętem koło Kronsztadu podczas wojny między bolszewikami a białymi. Obaj studiowali przez wiele lat w jesziwie w Słobodce, a Motel Szwarc był nawet rabinem.

Izrael Beider, syn rabina Moszego Dawida Beidera, był nauczycielem w pobliskiej Ołyce, a po przeprowadzce do Międzyrzeca Podlaskiego pisał poezje i eseje w językach hebrajskim i jidysz.

Icchak Aronski, młody, utalentowany dziennikarz, publikował w gazetach polskich i żydowskich. Założył „Wołyner Sztyme" („Głos Wołynia") wydawany w Równem oraz bibliotekę w Trochenbrodzie, realizując swe osobiste posłannictwo szerzenia czytelnictwa książek i gazet.

Tymczasem na europejską scenę polityczną wkroczył krokiem defiladowym Hitler – w 1933 roku został kanclerzem niemieckim, w 1934 podpisał polsko-niemiecki pakt o nieagresji. W drugiej połowie lat trzydziestych również w Polsce dochodziło do pogromów i wystąpień antyżydowskich. Krewni z zagranicy naciskali na mieszkańców Trochenbrodu, nakłaniając ich do wyjazdu. Miasteczka nie dotykały jednak poważniejsze ekscesy antyżydowskie, sporadycznie zdarzały się burdy niedzielne; rozwijało się i unowocześniało jak nigdy wcześniej, życie gospodarcze kwitło. Decyzja o emigracji nie była więc łatwa.

Pod koniec lat trzydziestych nigdzie w regionie nie robiło się tak dobrych zakupów i tak korzystnych interesów jak w Trochenbrodzie. Wielu starszych Ukraińców do dziś pamięta wyprawy z rodzicami do tego miasta, gdzie wielkie wrażenie robiły na nich najrozmaitsze towary, okazałe domy („takie jak nasze, tylko większe, lepsze, ładniejsze i z pięknymi rzeczami w środku"), zgiełk i tłumy na ulicy. W dni robocze Trochenbrod przypominał wieżę Babel – słyszało się ukraiński, polski, hebrajski, jidysz, niemiecki, czasem rosyjski, a gdy przyjeżdżali goście ze Stanów Zjednoczonych, także angielski. W takim gwarnym wielogłosie można było niemal zapomnieć, że jest się w żydowskim mieście.

Pewna starsza kobieta z Horodyszczy, ukraińskiej wsi leżącej około 4 kilometrów na południowy wschód od Trochenbrodu, opowiadała mi, że jako dziecko błagała swego ojca, aby zabierał ją ze sobą na zakupy do Zofiówki, dla niej była to wyprawa do dużego miasta. Ukrainiec ze wsi Jaromel, oddalonej o około 3 kilometrów, pamiętał „piękne sklepy, mnóstwo różnego rodzaju sklepów".

Wspominał też życzliwych i uprzejmych tamtejszych sklepikarzy.

Kupowaliśmy tam tkaniny, ubrania, buty i inne rzeczy. Jeśli musieliśmy coś kupić, a nie mieliśmy pieniędzy, żydowscy sklepikarze mówili: „Nie martwcie się, wszystko w porządku; zapłacicie, jak będziecie mieli pieniądze. To byli dobrzy ludzie. Wszystkim ufali".

Pewien weteran z pobliskiej wsi Domaszów wspominał:

Wynajmowali Ukraińców z sąsiednich wsi do pracy na polach. Ukraińcy chodzili tam w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia. Mogli dostać dwa złote za pomoc w polu, a do tego jeszcze herbatę. Ci z Trochenbrodu wynajmowali też Ukraińców do koszenia trawy dla krów, bo sami byli zbyt zajęci handlem. Sprzedawali wszelkiego rodzaju towary ze skóry i kupowali zwierzęta na skóry, żeby mieć z czego robić te rzeczy.

Przed wojną wszyscy żyli zgodnie. Żydzi, Ukraińcy, Polacy mieli różne zawody i robili ze sobą interesy. Ludzie krążyli od wsi do wsi. Szyli ubrania albo naprawiali coś po domach. Każdy miał zajęcie, panował więc spokój i zgoda, a do tego każdy miał własny kawałek ziemi i na nim pracował.

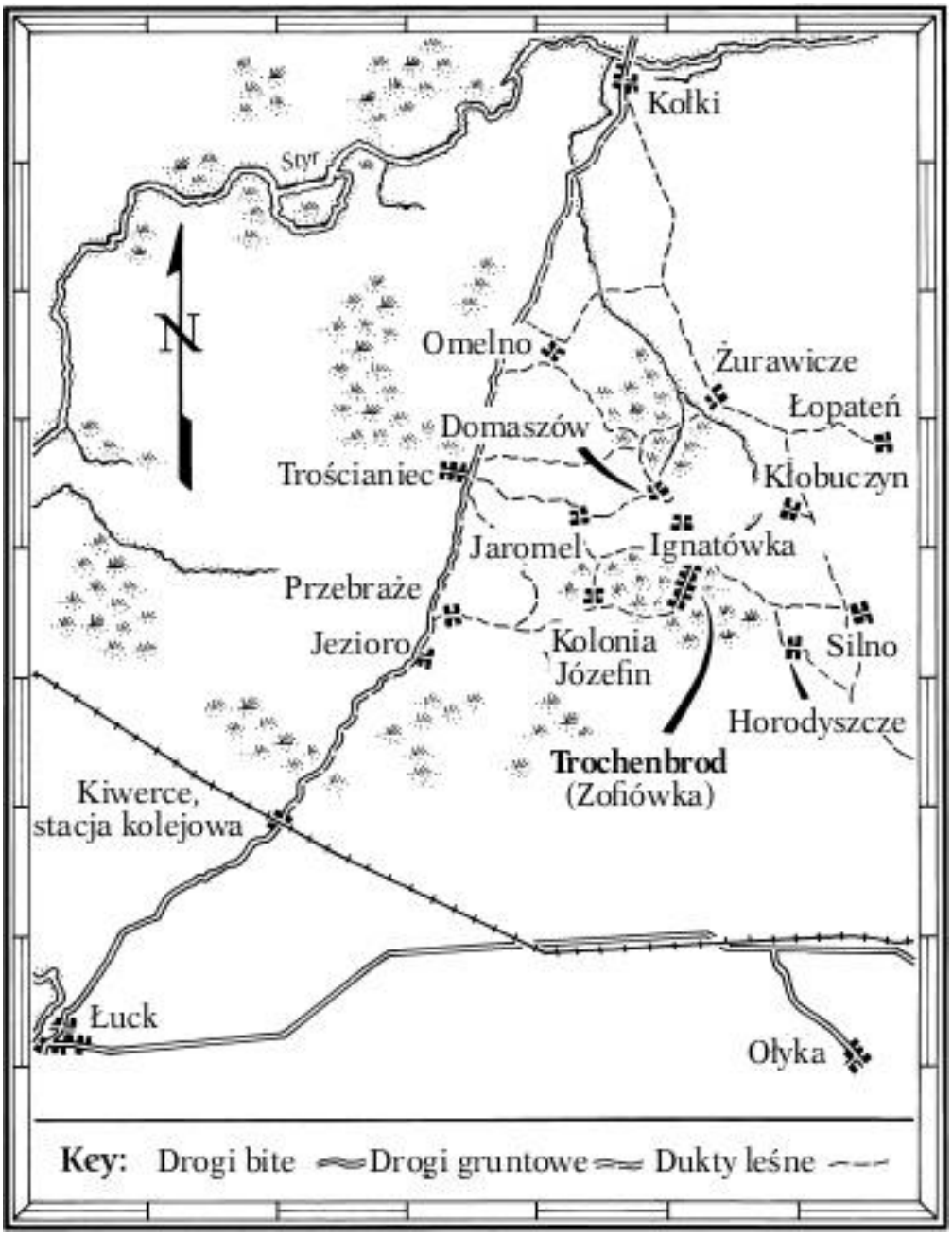

Między wojnami. Droga bita prowadzi z Łucka, w lewym dolnym rogu, około 13 kilometrów do stacji kolejowej w Kiwercach. Stamtąd biegnie droga gruntowa długości około 30 kilometrów, do o wiele mniejszego miasta Kołki. Jadąc drogą z Kiwerców, zaraz za wsią Jezioro skręcamy w prawo, mijamy Przebraże, kolonię Józefin po lewej stronie, i wjeżdżamy do Trochenbrodu od południa. Na południowy wschód od Trochenbrodu leży Horodyszcze, nieco na północny wschód – Silno, siedziba gminy. W południowo-wschodnim rogu mapy znajduje się Ołyka. W czasie okupacji niemieckiej z Kłobuczyna, wsi na północny wschód od Trochenbrodu, robili wspólne wypady partyzanci ukraińscy i żydowscy. Na północny wschód od Kłobuczyna leży Łopateń, gdzie znajdowała się kwatera

Miedwiediewa i jego partyzantów. Na północny wschód od Trochenbrodu/Zofiówki leży jego siostrzane miasteczko Łożyszcze/ Ignatówka, na północny wschód od Ignatówki – wieś Domaszów, a na południowy zachód od niego wieś Jaromel. Prosto na zachód od Domaszowa, w Trościańcu, skręca się w lewo, jeśli jedzie się do Zofiówki i Ignatówki od strony Kołek. Z Łucka utwardzana droga na wschód prowadzi do Równego.

Kobieta z polskiej dawniej wsi Przebraże, leżącej przy głównej drodze z Kołków do Kiwerców i Łucka, dobrze znała Trochenbrod i wielu jego mieszkańców:

Rodzice zabierali mnie do Zofiówki, ponieważ było tam dużo sklepów, w których można było kupić mnóstwo rzeczy. Chłopi z okolicznych wsi przychodzili tam kupować wszystko, czego potrzebowali.

Mieliśmy pszczoły i latem sprzedawaliśmy tam miód. Zawoziliśmy go na wozie. Ludzie przychodzili ze słoikami i najróżniejszymi pojemnikami, a mój dziadek nalewał do nich miód. Miód z wiadra, a także truskawki, sprzedawaliśmy na ulicy.

W końcu lat trzydziestych do Trochenbrodu zaczęły docierać zdobycze techniki – elektryczność, rowery, radio, a nawet kino objazdowe. Basia-Ruchla Potasz pamięta seans, na którym oglądała *Poszukiwaczki złota*. Regularnie dostarczano gazetę w języku jidysz „Forwerts" („Naprzód"). Władze gminne z Silna otrzymały samochód, dzięki czemu urzędnicy mogli wizytować podlegające im wsie i miasta tam, gdzie drogi gruntowe były przejezdne. W urzędzie pocztowym w Trochenbrodzie działał już telefon i telegraf. Lepsze (choć nieutwardzane) drogi ułatwiały podróż do stacji kolejowej w Kiwercach i do Łucka, jeżeli nie jechało się w dzień po deszczu.

10 listopada 1938 roku. Noc kryształowa. Większość spośród ponad 5 tysięcy Żydów z Trochenbrodu nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, że pogrom był naprawdę tak straszny, jak opowiadano – albo że mógłby zdarzyć się w ich miłym, przyjaznym, pracowitym mieście, służącym dobrze całej okolicy i niewadzącym nikomu.

Ponieważ Trochenbrod był regionalnym centrum handlu i wytwórczości, władze gminne zasadziły w mieście drzewa, zainstalowały pachołki przy rynsztokach wzdłuż jedynej ulicy miasta, często jednak błotnistej i nieprzejezdnej

dla wozów. Aby ułatwić ruch, zaczęły kłaść nową nawierzchnię z płyt chodnikowych. Prace zaczęły się w 1938 roku. Pesia Gotman przyglądała im się jako siedemnastolatka, przygotowując się jednocześnie do wyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Wyjechała, choć jak wspomina, rozpaczliwie pragnęła zostać.

Trochenbrod wyglądał dla mnie niczym ulica z dużego miasta rzucona gdzieś w dziczy, tyle że ta ulica była błotnista. Widok ulicy wykładanej płytami przekonał mnie, że zaczyna dziać się to, na co wszyscy czekaliśmy, że Trochenbrod staje się miastem, żydowskim miastem. Dlaczego miałabym stąd wyjeżdżać?

Wiosną 1939 roku przecięto wstęgę na pierwszym krótkim wykonanym odcinku ulicy. I na tym się skończyło.

23 sierpnia 1939 roku Niemcy i Związek Radziecki podpisały pakt Ribbentrop-Mołotow. 1 września Niemcy najechały na Polskę z zachodu. Rozpoczęła się druga wojna światowa. Dwa tygodnie później Związek Radziecki wkroczył od wschodu, zagarniając terytoria, których nie udało mu się zająć dwadzieścia lat wcześniej. Trochenbrod znów znalazł się pod władzą radziecką.

Wszystko zaczęło się wówczas zmieniać. Nadszedł więc odpowiedni moment, by przytoczyć słowa Szmulika Potasza, ukazujące, czym w istocie był Trochenbrod, zanim zapadł zmierzch:

Mimo że w Trochenbrodzie było mnóstwo ludzi biednych, wszyscy byli bogaci. Dlaczego? Ponieważ czuli, że ich życie jest bogate i byli zadowoleni. Jest takie powiedzenie: Chciej, tego, co masz, a wtedy będziesz miał to, czego chcesz. Tak postępowało dziewięćdziesiąt pięć procent mieszkańców Trochenbrodu. Byli solą ziemi, jak się mówi. Nie znali w ogóle pojęcia kradzieży – zabrać coś, co należy do kogoś innego, a cóż to jest?

Chcę powiedzieć czytelnikom pana książki, że było kiedyś żydowskie miasto dobrych ludzi, ciężko pracujących, uczciwych, ufnych. Wszyscy pragnęli wychować dzieci także na dobrych ludzi. Taki właśnie był Trochenbrod.

Rozdział trzeci
ZMIERZCH

W październiku 1939 roku Trochenbrod znów znalazł się w rękach radzieckch. Tym razem jednak nową władzę przywitała i współpracowała z nią miejscowa komórka partii komunistycznej. W Polsce komuniści działali nielegalnie, teraz – już otwarcie – dołączyli do nich towarzysze, zarówno Żydzi, jak i goje, uwolnieni przez Sowietów z polskich więzień. Natychmiast rozpoczęło się wprowadzanie komunizmu.

Większość informacji o tym mrocznym okresie dziejów Trochenbrodu zebrałem od żyjących świadków wydarzeń. Dowiedziałem się od nich rzeczy niezwykłych i ważnych – świadectwa z pierwszej ręki są bezcenne. Ludzie, którzy uciekli i przeżyli Holokaust, opowiedzieli mi, co się działo w Trochenbrodzie i jak żyło miasto w ostatnich dniach swego istnienia.

Miejscowy komunista, Żyd, został burmistrzem, jego towarzysze objęli stanowiska w policji i różnych urzędach. Zamknięto pocztę. Sowieci przejmowali małe zakłady, warsztaty, nawet niektóre sklepy. Powierzali kierowanie przedsiębiorstwem pracownikom – jednemu albo większej grupie – a właściciela zamieniali w pracownika. Większości rodzinnych firm niezatrudniających pracowników pozwolono działać, kilka jednak przejęli wyżsi rangą komuniści – „dla ludu". Mieszkańcy byli wpędzani w ubóstwo, zaczynało brakować towarów na rynku. Racjonowano żywność sprzedawaną w sklepie spółdzielczym. Ludzie ukrywali swój dobytek i zapasy jedzenia, kwitł czarny rynek artykułów pierwszej potrzeby. Pieniędzy było coraz mniej, ale coraz mniej było również towarów.

Sowieci nie żywili szczególnej niechęci do Żydów; po przejęciu szkoły publicznej pozwolili, aby nauka odbywała się w języku jidysz, choć obowiązkowa była również nauka rosyjskiego. Wprowadzając w życie idee komunizmu, usilnie odwodzili natomiast wiernych od praktyk religijnych, przeszkadzali modlącym się w synagogach i próbowali zmusić ich do pracy w szabat. Ostatecznie jednak, ponieważ o sprawach życia codziennego w dużym stopniu decydowali miejscowi działacze, często znajdowano sposoby obchodzenia nakazów ideologii. Atmosferę tamtego czasu oddają wspomnienia Tuwii Droriego, przywołane w rozmowie ze mną i spisane w książce *Ani Ma'amin* (Wierzę):

W naszym małym miasteczku wszyscy się znali. Razem się bawiliśmy, a dorastając, rozmawialiśmy i dyskutowaliśmy ze sobą. My, członkowie Bejtaru,

znaliśmy sekrety komunistycznego podziemia, czasami pomagaliśmy komunistom w walce z polską policją, a oni wiedzieli o szkoleniach prowadzonych przez Ecel w naszym mieście (ostatnie odbyło się na początku 1939 roku). Widzieli, że mamy broń i że używamy podczas ćwiczeń ostrej amunicji.

Gdy w październiku 1939 roku przyszli Sowieci, na początku próbowali wciągnąć nas do działalności komunistycznej, co zresztą ułatwiłoby nam życie; próbowali namówić nas do wstępowania do swoich stowarzyszeń, działalności społecznej, uczestnictwa w imprezach kulturalnych, ale nie było to obowiązkowe.

Potem postanowili (prawdopodobnie wskutek nacisków z góry) wsadzić nas do więzienia. Mnie przyszedł aresztować jeden z moich byłych uczniów. Podczas pierwszego przesłuchania pytano nas o broń i o to, czy młodzieżówka Bejtaru nadal działa. Nie braliśmy tych przesłuchań zbyt poważnie. Byliśmy ze sobą zbyt związani, żeby mogli nam zaszkodzić.

W końcu zostaliśmy zwolnieni i wróciliśmy do domów, było jednak oczywiste, że nie możemy siedzieć bezczynnie, czekając na następne aresztowanie. Nadzieje na koniec wojny i wznowienie działalności syjonistycznej słabły coraz bardziej. Zostaliśmy całkowicie odcięci od kontaktów ze światem zewnętrznym. Świadomość, że znajdujemy się pod władzą reżimu stalinowskiego, była nie do zniesienia.

Pod koniec jesieni nasza grupa z Bejtaru postanowiła opuścić miasto, znaleźć drogę do Erec Israel (Ziemi Izraela). Wiedzieliśmy, że trzeba będzie przekradać się przez granice, i nie mieliśmy żadnej pewności, dokąd dojdziemy, poruszając się tylko nieoznaczonymi drogami.

Wkrótce po wkroczeniu Sowietów dwudziestu do trzydziestu młodych ludzi z Trochenbrodu, takich jak Tuwia i jego przyjaciele z Bejtaru, wykradło się z miasta z zamiarem dotarcia do Palestyny. Zwykle wychodzili nocą, po bolesnym pożegnaniu z rodziną, albo wymykali się bez pożegnania, jeśli rodzice nie chcieli zgodzić się na eskapadę synów. Żaden z nich już nigdy nie zobaczył swoich bliskich.

Większość kierowała się w stronę Wilna, gdzie działał tak zwany internat, tajne schronisko dla uciekających do Palestyny młodych ludzi z całej Europy Wschodniej. Z Wilna uciekinierzy wyruszali do Palestyny różnymi szlakami, przez Turcję, Rosję, Kazachstan, Uzbekistan, Afganistan, Iran, Irak, Syrię, Egipt, Transjordanię. Podróż przez Europę była już niemożliwa. Większości podróżników

droga ta zabrała rok lub dwa, niektórym o wiele więcej. O sporej liczbie uciekinierów słuch zaginął. Nieliczni utknęli w Moskwie i wtopili się w społeczeństwo radzieckie.

Granica radziecko-niemiecka w 1940 roku

Oto opowieść Hanny Ciporen, która jako osiemnastoletnia dziewczyna opuściła Trochenbrod w 1939 roku.

Należałam do Bejtaru, naszym przywódcą był Anszel Szpielman. Gdy wybuchła wojna i przyszli Sowieci, wiedzieliśmy, że nie ma innego wyjścia, jak tylko próbować uciec do Erec Israel, do Palestyny. Anszel zbadał możliwe drogi i powiedział, że jeśli zdołamy przedostać się do Wilna, być może uda się stamtąd dotrzeć do Palestyny. Droga do Wilna też nie była łatwa, ale nie warto o tym wspominać.

Poszłam z kolegą, Machli Schusterem. W Wilnie spaliśmy w jednym łóżku, była tylko jedna toaleta dla wszystkich i jeden prysznic; mieliśmy wspólną kuchnię. Miejscowi Żydzi dawali pracę uciekinierom takim jak my, można było więc zarobić trochę pieniędzy.

W Wilnie znalazła się grupa ludzi z Trochenbrodu i wielu innych próbujących dostać się do Palestyny. Musieliśmy znaleźć jakąś pracę. Przyjął nas bogaty Żyd nazwiskiem Goldberg, który miał gospodarstwo rolne niedaleko Kowna. Mężczyźni pracowali na polach, przy tytoniu, kobiety pomagały w domu.

Chcieliśmy dotrzeć do Moskwy, mówiono bowiem, że stamtąd można wyjechać do Palestyny. Pewnego dnia zawiadomiono nas, że jest na to sposób. Z Pińska przyjechał kolega imieniem Abram, aby pomóc nam w podróży. Potrzebowaliśmy pieniędzy i wiz. Ktoś został wysłany do Łucka i jakoś zdobył 100 dolarów od naszych rodziców na podróż do Moskwy, a potem może trochę dalej.

W Moskwie ludzie chodzili do konsulatu tureckiego, aby dostać pozwolenie na przejazd do Palestyny. W tym czasie uchodźców było jednak tak wielu, że Brytyjczycy poprosili Turków, by odmawiali pozwoleń, żeby zbyt wielu Żydów nie przyjeżdżało do Palestyny. Wędrowaliśmy po Moskwie, nie wiedząc, co robić. Pewien Żyd poradził nam, abyśmy poszli do ambasady perskiej. Poszłam więc, wraz z ludźmi z wszelkiego rodzaju partii politycznych, nie tylko z Bejtaru. Dostałam fałszywą wizę wjazdową do Iranu. W grupie ponad trzydziestu osób pojechaliśmy tam.

W Teheranie spędziliśmy kilka miesięcy. Potem kazano nam opuścić miasto, wyjechaliśmy więc do Meszhedu. Czekaliśmy, zastanawiając się, co się z nami stanie, jak dotrzemy do Erec Israel. Iran prowadził wówczas wojnę z Irakiem, przejazd przez Irak był niemożliwy. Pojechaliśmy więc koleją przez pustynię i dojechaliśmy do Suezu. W pociągu dowiedzieliśmy się, że wybuchła wojna radziecko-niemiecka, że Niemcy zajęli wschodnią Polskę, a więc i Trochenbrod, który dotąd znajdował się w rękach radzieckich.

Kanał Sueski przepłynęliśmy statkiem towarowym i znaleźliśmy się w Hajfie, gdzie Brytyjczycy aresztowali nas i zamknęli w więzieniu. Siedzieliśmy za kratami kilka miesięcy, w końcu nas wypuścili. Nie mieli dokąd nas odesłać. W ten sposób dotarliśmy do Erec Israel.

Inne były losy Szmulika Potasza. Szmulik wyjechał z Trochenbrodu w 1939 roku, by pracować w prowadzonym przez organizację syjonistyczną gospodarstwie

szkoleniowym niedaleko Łodzi. Przyjeżdżała tam żydowska młodzież z całej Europy Wschodniej, by nauczyć się uprawy ziemi i przygotować do życia w żydowskich osadach rolniczych w Palestynie. Gdy Niemcy najechały na Polskę, Szmulik szybko postanowił wrócić przez Warszawę do rodzinnego miasta, aby pożegnać się z rodziną i przyjaciółmi i wyjechać do Palestyny.

Kilka dni po tym, jak dotarł do Warszawy, miasto zostało otoczone przez wojska niemieckie. Przez trzy tygodnie Niemcy prowadzili ostrzał artyleryjski i bombardowali stolicę, praktycznie zrównali z ziemią około jednej trzeciej jej powierzchni. Szmulik utknął w Warszawie. Nie znał tam nikogo. Włóczył się bez celu, wokół padały bomby, ale jakimś cudem przeżył. Później, jak mówi, w przededniu święta Sukkot, Niemcy weszli do Warszawy. Zaczęła się okupacja miasta.

Szmulik uciekł przez resztki mostu na Wiśle do Warszawy prawobrzeżnej, na Pragę. Niemcy byli i tam, ale pewni siebie po zdobyciu stolicy – a właściwie całej zachodniej Polski – pozwalali mieszkańcom w miarę swobodnie się poruszać. Przez trzy dni Szmulik wędrował po Pradze, próbując znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Nie miał nic do jedzenia. W pewnym momencie natknął się na niemieckiego żołnierza, z którym porozumiał się łamanym niemieckim, podobnym przecież do jidysz. Młody, około dziewiętnastoletni żołnierz, zauważył go na polu po pomidorach, gdzie Szmulik grzebał w ziemi, szukając czegoś do zjedzenia. Żołnierz zrobił kanapkę z kiełbasą ze swojej racji z plecaka, dał ją Szmulikowi i kazał trzymać się z daleka od pola, które było zaminowane.

Następnego dnia Niemcy zlikwidowali zasieki z drutu kolczastego rozciągnięte wokół miasta, gdy wkraczały oddziały niemieckie, uciekinierzy na wschód mogli więc się wymknąć. Szmulik wykorzystał szansę.

Szedł pieszo albo jechał okazją na furmankach. Ku jego zdumieniu drugi kontakt z żołnierzem niemieckim również okazał się niegroźny.

Szliśmy drogą, którą przejeżdżał wóz z dwoma Niemcami, jeden powoził. Podniosłem rękę, podjechali do mnie, a woźnica powiedział: „Jasne, wskakuj”. Żołnierze rozmawiali. Nie słyszałem, o czym, bo wszystko zagłuszał stukot kół. Nagle ten, który nie powoził, odwraca się, patrzy na mnie i gwałtownie pokazuje ruchem głowy pobocze drogi, dając mi znak, że powinienem wyskoczyć z wozu. Ten drugi tego nie widział. Zrozumiałem znak i wyskoczyłem. Woźnica chciał prawdopodobnie obrabować mnie albo pobić. Drugi żołnierz pomógł mi przeżyć.

Sowieci bardzo czujnie pilnowali granicy – obsadzili ją kawalerią, piechotą, oddziałami w łazikach, wartownikami z psami – ponieważ bali się infiltracji szpiegów niemieckich. Szmulik przez kilka dni podejmował nieudane próby przedostania się przez granicę, aż pewnej nocy postanowił zapomnieć o ostrożności i gdy zobaczył otwartą przestrzeń, pognał co sił w nogach i ku własnemu zaskoczeniu udało mu się. Kilka dni później był już w Trochenbrodzie, gdzie hucznie go powitano. Zastał przy władzy komunistów.

Wkrótce do miasta dotarły wieści o działającym w Wilnie punkcie przerzutowym do Palestyny. Szmulik pojechał więc do Wilna. Nie było poważniejszych problemów na granicy, ponieważ całą trasę na północ przez Litwę kontrolowali Sowieci. Z Wilna Szmulik udał się do Moskwy, a stamtąd rozpoczął długą i pełną nieoczekiwanych zwrotów podróż, w czasie której trafiał z jednego dziwnego miejsca, takiego jak Taszkient, do drugiego. Dopiero po dziesięciu latach, w roku 1949, dotarł do Erec Izrael.

W okresie władzy radzieckiej, mimo coraz większego ubóstwa, utraty przedsiębiorstw, nacisków na wstępowanie do partii komunistycznej lub organizacji młodzieżowych, presji na odrzucenie judaizmu, nieustannej obserwacji i strachu przed donosami, częstych przesłuchań – mieszkańcy Trochenbrodu wciąż mogli poruszać się stosunkowo swobodnie i do pewnego stopnia zachować swój styl życia. Jednocześnie wielu Żydów z ziem polskich zajętych przez Niemców uciekało na tereny pod władzą radziecką; do Trochenbrodu i Łożyszcza dotarło około tysiąca uciekinierów.

O tym, co działo się w owym czasie w Trochenbrodzie i okolicach, opowiada w książce *A Voice from the Forest: Memoirs of a Jewish Partisan* (Głos z lasu. Wspomnienia żydowskiego partyzanta) Nachum Kohn. Nachum urodził się i dorastał w zachodniej Polsce. Wkrótce po najeździe niemieckim uciekł na wschód i trafił do Łucka. Odnalazł tam brata, znajomego z rodzinnego miasta i jego starszego brata.

Nachum był z zawodu zegarmistrzem i znalazł na kilka miesięcy pracę u poznanego przypadkiem zegarmistrza, który miał w Łucku mały zakład. W Związku Radzieckim osoba prywatna nie mogła zatrudniać pracowników, a ponieważ na początku 1940 roku administracja działała już na tyle sprawnie, by skutecznie wymuszać stosowanie się do zasad socjalizmu, Nachum musiał w końcu podjąć pracę w państwowym zakładzie zegarmistrzowskim. Kilka miesięcy później władze zorganizowały łapankę na uciekinierów z zachodniej Polski, którzy zatrzymali się w Łucku. W ciągu jednego dnia wyłapano ich i załadowano do

pociągu z zamiarem wywiezienia na Syberię, prawdopodobnie w obawie, że są między nimi szpiedzy niemieccy. Wkrótce po tym, jak pociąg ruszył, Nachum i kilku innych aresztantów wyskoczyli z wagonu. Wśród uciekinierów znaleźli się między innymi wspomniany już przyjaciel Nachuma i jego starszy brat oraz nowy znajomy, także zegarmistrz. Przez kilka dni wszyscy ukrywali się w lesie – prawdopodobnie lesie Radziwiłłów – po czym Nachum i jego przyjaciele wrócili do Łucka.

Znaleźli schronienie w dużej stajni, której właściciel był Żydem. Musieli jednak pracować i zarabiać na życie, dlatego po tygodniu ukrywania się Nachum zaryzykował i poszedł do miejscowego urzędu, aby zapytać, jak może znaleźć pracę. Urzędnik, obejrzawszy jego papiery, zorientował się, że Nachuma nie powinno tu być, ale był uprzejmy. Nieudolnie udawał, że wszystko jest w porządku, i powiedział, że Nachum nie może pracować w Łucku, ale może znaleźć zajęcie w podupadłym miasteczku leżącym 40 kilometrów na wschód. Gdy Nachum opowiedział to po powrocie do stajni, wszyscy zrozumieli, że trzeba natychmiast uciekać z miasta.

Właściciel stajni miał lepszy pomysł. Powiedział, że niedaleko od Łucka są „dwa miasteczka żydowskich chłopów" i że wkrótce odwiedzi go przyjaciel stamtąd nazwiskiem Schuster, on zaś zobaczy, czy „da się coś załatwić". Okazało się, że można coś załatwić, i niedługo potem Nachum i jego przyjaciele patrzyli ze zdumieniem na ulicę o wiele biedniejszego teraz Trochenbrodu.

Gdy tam dotarliśmy, po raz pierwszy w życiu zobaczyłem żydowskich rolników. Nigdy sobie tego nie wyobrażałem i bardzo mnie to ucieszyło. Wszyscy mieli w domach prymitywne narzędzia i wyrabiali rzeczy ze skór. Żyli ze swojej ziemi, z krów, koni. Byli całkowicie otoczeni lasami; najbliższa droga leżała w odległości dwudziestu czy trzydziestu kilometrów. Zaciekawiony wypytywałem najstarszych mieszkańców, jak powstało to miasto. Mówili mi, że ten teren był zupełnie bezludny i dziki, gdy przybyli tu ich przodkowie [...].

Umieliśmy naprawiać zegary, mogliśmy więc trochę zarobić. Mieszkańcy Trochenbrodu-Ignatówki nie mieli zegarków na rękę, ale mieli stare zegary ścienne, a przed naszym przybyciem nie było tu zegarmistrza. Przynosili więc nam te starocie i płacili jedzeniem za naprawę [...].

Kilka miesięcy po osiedleniu się Nachuma w Trochenbrodzie miasto zajęli Niemcy. Zaraz potem Nachum poszedł do lasu i zebrał mały oddział partyzancki, złożony w większości z mieszkańców Trochenbrodu. Partyzanci nękali oddziały

niemieckie, wysadzali pociągi z zaopatrzeniem i brali odwet na Ukraińcach, którzy zdradzili swych sąsiadów, torturowali i mordowali Żydów albo wydawali ich Niemcom. Ostatecznie oddział został wybity przez Niemców i kolaborantów. Nachum i dwóch jego ocalałych towarzyszy dołączyli do radzieckiego oddziału partyzanckiego dowodzonego przez słynnego Dimitrija Miedwiediewa, mającego kwaterę w lasach wokół Łopatenia, kilka kilometrów na północny wschód od Trochenbrodu.

Basia-Ruchla Potasz wspomina swoje dzieciństwo jako wspaniałe mimo niedzielnych chuligańskich wybryków katolickiej młodzieży w drodze do lub z kościoła. Szczęśliwe dni dobiegły kresu wraz z wkroczeniem Sowietów. We wspomnieniach Basi-Ruchli daje się wyczuć narastające napięcie, ponieważ coraz realniejsze stawało się niebezpieczeństwo, że po Sowietach wejdą Niemcy.

Pamiętam, jak w 1939 roku Rosjanie zajęli nasz sztetl. W szkole musieliśmy się uczyć rosyjskiego; chcieli, żebyśmy wszyscy wstąpili do ich organizacji młodzieżowej – dali nam małe chusty i nazywali pionierami.

Kazali nam donosić na każdego, kto mówi coś przeciw Rosjanom. Ale wpływ rodziców był silniejszy niż ich gadanie. Wiedzieliśmy, że musimy siedzieć cicho, nie mówić pewnych rzeczy, zachowywać się w określony sposób. Kto zrobił zły ruch, mógł skończyć na Syberii. A do tego mieliśmy wśród nas lewicowców, choć niewielu gotowych nas wydać. Ci socjaliści byli tak podnieceni, myśleli, że Rosjanie zabiorą nam i dadzą im. To tak nie działało. Rosjanie zatrzymali przedsiębiorstwa i zrobili tych ludzi kierownikami czy czymś w tym rodzaju, ale nie podzielili się z nimi zabranym bogactwem. Niektórzy z nich poszli za Rosjanami, gdy ci opuszczali miasto. Poszli za nimi do Rosji.

Gdy w 1941 roku wybuchła wojna z Niemcami, chcieli powołać mojego ojca do Armii Czerwonej. Ojciec nie chciał iść do wojska. Mamy z tatą pewien sekret. Ojciec kazał mi nazbierać kwiatów, chyba mleczy; potem poszliśmy na strych, a ojciec wtarł te kwiaty w skórę na ramieniu i owinął nimi ramię. Powstały od tego okropne rany na ręce, naprawdę paskudne. Myślę, że tu, w Ameryce, amputowaliby mu tę rękę. Ojciec zrobił to, żeby nie pójść do wojska. Tylko ja o tym wiedziałam, nie wiedzieli moi bracia ani nikt inny. Gdy ręka była już dojrzała i gotowa, Rosjanie opuścili miasto i weszli Niemcy, hitlerowcy.

Pierwszą rzeczą, jaką pamiętam, były przelatujące samoloty i spadające bomby. Pojawiły się nie wiadomo skąd; ludzie zaczęli uciekać do lasu. Las Radziwiłłów otaczał nasz sztetl, dlatego ludzie pobiegli tam albo ukryli się

w ogrodach, albo pokładli się, gdzie się dało. Nie wiem, ile bomb spadło, nigdy nie słyszałam czegoś takiego jak dźwięk tych bomb i krzyki, histeryczne wrzaski kobiet, niemowląt, dzieci. Schowałam się w sąsiednim ogrodzie i widziałam, jak bomba spada i zabija kozę mojego brata. Zniszczyła nasz ogród i kilka domów, raniła ludzi. Samolot latał bardzo nisko, tuż nad dachami domów. Tak nisko, że patrząc w górę, widzieliśmy w środku żołnierzy niemieckich. To było straszne. Dlaczego zrzucali bomby? Najwyraźniej chcieli zabić cywilów, ponieważ w Trochenbrodzie nie było nic do zbombardowania, były tylko domy.

Zgodnie z warunkami radziecko-niemieckiego paktu o nieagresji Kreml zakazał prasie przekazywania prawdziwych informacji o poczynaniach nazistów w stosunku do ludności żydowskiej. Co prawda wieści napływały wraz z uchodźcami z terenów okupowanych przez Niemcy, trochę doniesień przenikało przez radio, ale mieszkańcy Trochenbrodu nie wiedzieli dużo i wypierali ze świadomości wagę tego, co działo się z Żydami pod rządami III Rzeszy. Ta niewiedza i wyparcie powstrzymywały ludzi od ucieczki wraz z Sowietami po najeździe niemieckim. Wielu mieszkańców miasta pamiętało łagodniejsze ich traktowanie przez „Niemców" niż Rosjan w czasie pierwszej wojny światowej i po prostu nie wierzyło – nie mogło uwierzyć – że Niemcy postąpią z mini tak potwornie, jak niektórzy przepowiadali.

Gdy 22 czerwca 1941 roku Niemcy najechali ziemie radzieckie, w Trochenbrodzie i siostrzanym Łożyszczu mieszkało ponad 6 tysięcy Żydów. W pierwszych dniach po wkroczeniu do Trochenbrodu Niemcy oznaczyli ich domy żydowskimi gwiazdami, mordowali na chybił trafił i zachęcali ukraińskich chłopów, którzy po ucieczce Sowietów poczuli się bezkarni, do niszczenia i grabieży mienia żydowskiego. Natychmiast zorganizowano nową administrację, której częścią był Judenrat, czyli Rada Żydowska; zadaniem Judenratu była pomoc w wypełnianiu zarządzeń władz niemieckich, takich jak dostarczanie przymusowej siły roboczej czy zbieranie „podatków". Niemieckiej administracji podlegały także ukraińska policja pomocnicza i ukraińska milicja, których zadaniem było pilnowanie Żydów, ściganie uciekinierów i pomoc w akcjach likwidacji.

Wielu funkcjonariuszy policji pomocniczej, Schutzpolizei (niem. *Schutz* – ochrona, prewencja), traktowało swoje nowe zajęcie przede wszystkim jako okazję do grabieży, wymuszeń i pastwienia się nad Żydami. Do milicji z kolei wstępowali głównie członkowie Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), zwani banderowcami od nazwiska swego przywódcy, Stepana Bandery, zajadli antysemici. Współpracowali blisko z Niemcami, bo doraźnie odpowiadało to ich celom – banderowcy dążyli do oczyszczenia Ukrainy z Żydów, Polaków, Rosjan,

a w końcu również Niemców i do utworzenia wymarzonej, niepodległej, „czystej” Ukrainy. Ludzie, z którymi mieszkańców Trochenbrodu łączyły wcześniej przyjazne stosunki, chłopi z okolicznych wsi, okazali się nagle współpracownikami Niemców i bezwzględnymi wrogami swoich żydowskich sąsiadów.

Niemcy niemal natychmiast uczynili terror i śmierć nieodłącznymi atrybutami swej władzy. Na początku lipca szucmani załadowali na ciężarówkę 150 mężczyzn wskazanych przez Judenrat i wywieźli ich do Kiwerców, gdzie, jak przypuszczano, mieli pracować na kolei. W Kiwercach mężczyzn przekazano żołnierzom niemieckim, którzy zaprowadzili ich na dziedziniec miejscowego więzienia i wymordowali. Wieści o tym błyskawicznie dotarły do Trochenbrodu.

Podobnie jak inne miejscowości Trochenbrod musiał dostarczać określoną liczbę robotników; wysyłano ich głównie do Kiwerców. Wybierał ich Judenrat, ale szucmani łapali też ludzi do ekip roboczych wprost z ulicy. Każda ekipa pracowała około tygodnia, potem zastępowała ją następna. Robotnicy spali na podłodze w pustych magazynach lub stajniach w pobliżu stacji kolejowej. Najczęściej pracowali przy załadunku lub rozładunku wagonów, ale wykonywali też inne ciężkie prace, takie jak kopanie rowów, przenoszenie materiałów budowlanych czy stawianie budynków. Wieczorami byli bici i zastraszani przez ukraińskich strażników i niemieckich nadzorców; niektórzy nigdy nie wrócili do domów.

W październiku skonfiskowano trochenbrodzkie gospodarstwa rolne, zabrano mieszkańcom futra i ciepłą odzież oraz inne wartościowe przedmioty, a także narzędzia rolnicze. Na Żydów nałożono bardzo wysokie podatki, a szucmani i banderowcy rabowali im złoto i kosztowności. Dla niektórych Ukraińców pokusa wykorzystania okazji i ograbienia żydowskich sąsiadów okazała się nie do odparcia.

Wkrótce potem Niemcy rozkazali spędzić całe bydło z Trochenbrodu na stację kolejową w Kiwercach, skąd miało pojechać do Niemiec. Szucmani na koniach ochoczo wykonali ten rozkaz. Żydzi nie mogli opuszczać miasta, pracować w polu, handlować z kimkolwiek z zewnątrz – dla większości oznaczało to głód. Czarny rynek rozkwitł na jeszcze większą skalę, tym razem jednak wiązało się to z jeszcze większym ryzykiem niż za władzy radzieckiej. Do Trochenbrodu szmuglowano mleko, zboże, mąkę, ziemniaki i tłuszcze, które wymieniano na ubrania, kosztowności lub pieniądze. Wymiana odbywała się nocą, przyłapanym na handlu groziła natychmiastowa śmierć. Na utrzymanie mogli wciąż zarobić kowale, szewcy i niektórzy inni rzemieślnicy, ale wielu mieszkańców miasta głodowało, próbując żywić się zepsutymi, wygrzebanymi ze śmietników resztkami.

W ciągu kilku miesięcy od wkroczenia Niemców kwitnące, dumne ze swoich osiągnięć miasto zamieniło się w siedlisko skrajnej nędzy, głodu, terroru, niewolnictwa, grabieży, upokorzeń, okrucieństwa i wszelkich innych nieszczęść – a nad tym wszystkim unosiło się jeszcze widmo śmierci, która mogła spotkać każdego, o każdej porze dnia i nocy, z jakiegokolwiek powodu albo i bez powodu. Tak wyglądało życie Żydów z Trochenbrodu aż po kres ich dni.

Mieszkańcy, którzy przeżyli wojnę, a także ich dzieci opowiadają o nieco tajemniczym doktorze Klingerze. W końcu 1941 roku, tuż przed atakiem na Pearl Harbor i przystąpieniem Ameryki do wojny na początku grudnia, doktor Klinger, niemiecki Żyd z Łucka, zaczął podawać się za goja. Nikt nie wiedział na pewno, w jakiej dziedzinie Klinger otrzymał doktorat i czy w ogóle go otrzymał. Doktor nawiązał kontakty z władzami niemieckimi i zorganizował w Trochenbrodzie produkcję wyrobów skórzanych, przede wszystkim wysokich butów, na potrzeby armii niemieckiej. Tym mieszkańcom, którym udało się znaleźć tam zatrudnienie, nie groziło skierowanie do pracy przymusowej.

Wielu szucmanów podejrzewało, że doktor Klinger jest Żydem, ponieważ nikt go wcześniej nie widział ani o nim nie słyszał, a ponadto nie uszło ich uwagi, że Niemiec Klinger życzliwie odnosi się do swych żydowskich pracowników. Pewnej nocy w połowie 1942 roku wśród pijackich śmiechów i odgłosów zabawy szucmanów dał się słyszeć pojedynczy strzał. Rano znaleziono na ulicy ciało doktora Klingera z kulą w głowie. Mieszkańcy Trochenbrodu pochowali go jak Żyda na miejscowym cmentarzu.

Na przełomie zimy i wiosny 1942 roku w mieście coraz powszechniej zdawano sobie sprawę, że prędzej czy później wszystkich czeka śmierć – albo z przepracowania, albo z głodu, albo bezpośrednio z rąk Niemców lub Ukraińców. Niektórzy trochenbrodzianie budowali kryjówki w domach, zabudowaniach gospodarczych lub w ich pobliżu albo w lesie; niektórym udawało się zdobyć fałszywe papiery i cichcem opuszczali miasto; młodzi mężczyźni uciekali do lasu – tak jak zrobił Nachum Kohn – i wstępowali do partyzantki. Większość mieszkańców walczyła o przetrwanie, pogrążając się w coraz większej rozpaczy i posłuszna wyrokom losu. Jedni nie wierzyli w to, co widać było gołym okiem, inni kurczowo trzymali się nadziei, że ochroni ich przydatność dla Niemców, jeszcze inni czekali na interwencję Boską, a resztę obezwładniało poczucie bezradności.

W opowieściach o wojennych dziejach Trochenbrodu bodaj najbardziej

uderzające są dwa wątki: wrogość okazywana mieszkańcom miasta przez Ukraińców i w mniejszym stopniu Polaków z okolicznych wsi, a jednocześnie niezwykła życzliwość i wiążąca się z ogromnym ryzykiem gotowość niesienia pomocy ze strony garstki rodzin ukraińskich i polskich. Ukrainiec z pobliskiej wsi Jaromel opowiadał mi na przykład, że jego ojciec przez kilka dni ukrywał „bardzo dobrego człowieka imieniem Icek" z Trochenbrodu. Ale gdy Niemcy zaczęli gruntownie przeszukiwać wszystkie domy, rodzinie groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, więc ojciec nie miał wyboru – musiał pożegnać się z Ickiem.

Jedna z ocalałych mieszkanek Trochenbrodu opowiedziała mi o polskiej rodzinie, która ukrywała jej rodzinę, a później przynosiła jej jedzenie do kryjówki w lesie. Mówiła też o Ukraińcach, którzy zimą pozwalali ukrywającym się w lesie Żydom ogrzewać się w swoich domach, żywili ich i dawali warzywa ze swych ogrodów. Ukrainiec z polskiej wsi Przebraże wspominał przyjaciela rodziny, rudowłosego Żyda z Trochenbrodu, który zdobywszy fałszywy aryjski paszport, zatrzymał się w ich domu na jeden dzień, aby się pożegnać, po czym ruszył do Łucka i tam zniknął w tłumie. Gdy rodzina Basi-Ruchli Potasz ukrywała się w lesie, pewien Polak, dawny klient jej ojca, przynosił im od czasu do czasu jedzenie i ostrzegał o niebezpieczeństwie. Mieszkańcy ukraińskiej wsi Kłobuczyn pomagali przetrwać w lesie Żydom z Trochenbrodu, w tym młodym mężczyznom, którzy utworzyli oddział partyzancki.

Nazistowska machina śmierci przygotowywała się do wypełnienia swego makabrycznego zadania sprawnie i metodycznie. Plan zakładał, że do 10 października 1942 roku Ukraina będzie *Judenrein* – oczyszczona z Żydów. Zgodnie z tym 9 sierpnia miała stracić życie większość żydowskich mieszkańców Kołek; 10 sierpnia – większość Żydów z Ołyki, a 11 sierpnia przypadała kolej na Trochenbrod. Wstępem do masowego mordu w Trochenbrodzie były akcje wyprzedzające, które miały zagwarantować, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Naziści i ich ukraińscy pomocnicy zabijali Żydów w domach i na ulicy, zastraszali ludzi na różne sposoby, aby zmusić ich do uległości i zniechęcić do prób ucieczki. Mamili ich nadzieją, że spędza się ludzi w jedno miejsce, aby wysłać ich do pracy.

Rozdział czwarty

CIEMNOŚĆ

Wczesnym rankiem w sobotę 9 sierpnia 1942 roku licząca dwudziestu żołnierzy Einsatzgruppe C (Grupa Operacyjna C) wjechała na motocyklach do Trochenbrodu. W ślad za nimi jechało jedenaście ciężarówek wojskowych wiozących około stu szucmanów. Szucmani rozsypali się po domach i przekazali wszystkim mieszkańcom rozkaz natychmiastowego udania się do centrum na zebranie, na którym będą wydawane karty pracy. Zaganiając oszołomionych ludzi śpieszących na miejsce domniemanego zebrania, zabijali jednocześnie kogo popadnie; zastrzelili dziesiątki osób.

Po długim, strasznym oczekiwaniu przybył niemiecki dowódca, który oznajmił, że odtąd wszyscy będą musieli mieszkać w getcie, czyli w centrum Trochenbrodu, gdzie właśnie stoją. Około pięćdziesięciu rzemieślników wykonujących wyroby ze skóry oraz specjalistów potrzebnych Niemcom miało przeprowadzić się z rodzinami do skupiska domów na północnym skraju miasta, w pobliżu młyna. Żołnierze Einsatzgruppe ustawili zebranych w szeregach, aby ich policzyć i ustalić głębokość dołu o określonej szerokości i długości. Ludziom pozwolono wrócić do domów po odzież i przedmioty osobistego użytku – mogli zabrać tyle, ile zdołają unieść – ale za dwie godziny mieli się stawić w getcie.

Szucmani ustawili się po obu stronach ulicy, po której ciągnął sznur mężczyzn, kobiet i dzieci, dźwigających na plecach toboły z dobytkiem. Od czasu do czasu otwierali ogień, zabijając tych, którzy znaleźli się na linii strzału. Sprawdzali też domy, wyciągali na zewnątrz i mordowali wszystkich znalezionych w środku. Ulica Trochenbrodu rozbrzmiewała strzałami i krzykami konających. Niektórzy próbowali uciec przed kulami i dobiec do getta najszybciej, jak to możliwe. Getto stało się upragnionym schronieniem. Spora grupa porzuciła toboły i pobiegła do lasu, kryjąc się po drodze w rowach melioracyjnych. Wielu udało się w ten sposób uciec, ale równie wielu zginęło. Przez resztę dnia i noc w całym mieście słychać było strzały i krzyki; szucmani chodzili od domu do domu, polowali na Żydów i zabijali, a przy okazji plądrowali i grabili. Następnego rana ulica Trochenbrodu była zasłana ciałami.

Tego dnia, 10 sierpnia, w mieście panował spokój. Oznaki życia dało się zauważyć tylko w getcie i w koszarach niemieckich żołnierzy i szucmanów. Zbiegowie ukrywający się w lesie zdawali sobie sprawę, że Niemcy i ich pomocnicy nie przestają szukać i zabijają każdego znalezionego. Wielu

uciekinierów uznało, że nie mają w lesie szans na przeżycie, i postanowiło prześliznąć się nocą do getta i tam spróbować przetrwać wraz z przyjaciółmi i znajomymi z miasteczka. Niemało z nich wciąż wierzyło lub chciało wierzyć, że dostaną przydziały do ekip robotników i na tym się skończy.

Następnego dnia Żydom z getta rozkazano przygotować się do transportu; mieli zabrać ze sobą jedzenie na trzy dni. Załadowano ich na ciężarówki w dwustuosobowych grupach i zawieziono do odległego o około 3 kilometrów lasu jaromelskiego, gdzie szucmani kilka dni wcześniej przygotowali doły – każdy miał pomieścić pojedynczy rząd ofiar ułożonych jedna na drugiej. W pobliżu dołów Żydom rozkazano wysiąść z ciężarówek. W luźnych szeregach poszli ku swemu przeznaczeniu. Niemcy kazali im się rozebrać. Jeden z szanowanych rabinów trochenbrodzkich stał w pierwszym szeregu tych, którzy mieli zostać rozstrzelani. Zapewnił swych towarzyszy niedoli, że powinni być posłuszni niemieckim panom, i rozebrał się. Został natychmiast zastrzelony, a jego nagie ciało wpadło do dołu.

Ludzie widzieli, co dzieje się w rzędach przed nimi, z przerażenia i rozpaczy wielu wpadło w histerię. Co pewien czas gdy kolejny rząd ofiar spychano na skraj dołu, ktoś rzucał się na strażnika, krzycząc, że trzeba uciekać, a inni rzucali się do ucieczki. Większość uciekinierów ginęła od strzałów, ale niektórym udawało się ujść kulom i dobiec do lasu. Ci uniknęli śmierci tylko na krótko. Polowali na nich wszyscy – Niemcy, szucmani, banderowcy i okoliczni chłopi. Szybko ich wyłapano i zabito, przeżyli nieliczni.

Gdy kolejny rząd zbliżał się do dołu, skazańcy musieli wrzucać pierścionki i pieniądze do kubła, a ubrania składać na coraz większą stertę. Kazano im układać się w dole, na ciałach tych, którzy weszli wcześniej. Potem Szucmani i żołnierze Einsatzgruppe chodzili wzdłuż krawędzi dołu, strzelając ofiarom w tył głowy, tak jak zrobili z ludźmi leżącymi pod spodem. Wyrywające się małe dzieci również zabijano strzałem w głowę. Późnym popołudniem pierwsza *Aktion* (akcja) została zakończona. Ciężarówki zrobiły ostatni kurs z ubraniami i resztą dobytku pomordowanych; rzeczy te miały zostać złożone w tymczasowych magazynach zorganizowanych w opustoszałych domach w Trochenbrodzie.

Tego dnia, 11 sierpnia 1942 roku, w dołach w lasach jaromelskich zamordowano ponad cztery i pół tysiąca mieszkańców Trochenbrodu i Łożyszcza. W następnych tygodniach w lasach tych zginęło jeszcze ponad trzy tysiące Żydów z Trochenbrodu i innych okolicznych miejscowości.

Tuwia Drori był już w Palestynie w czasie, gdy Niemcy mordowali jego

rodzinę w jaromelskich dołach. Podczas rozmowy o tym, co się wówczas wydarzyło, zastanawiał się:

Moja matka była bystrą, ciężko pracującą kobietą; nigdy nie narzekała i nie pamiętam, by kiedykolwiek płakała czy krzyczała. Czy wygrażała niebiosom?

Słyszeliśmy od ocalałych, że gdy do dołów prowadzono głównego rabina miasta, w tałesie i z rodziną u boku, podniósł ręce ku niebu i zawołał: „Gdzie jest Bóg miłosierny, najwyższy sędzia, opiekun wdów i sierot? Czy może być, że niebiosa w rzeczywistości są puste?”.

Gdy po raz pierwszy usłyszałem, co się stało, też się zastanawiałem, czy niebo nie jest naprawdę puste.

W trochenbrodzkim getcie pozostało przy życiu od pięciuset do tysiąca mieszkańców, przeżyli też w swoim getcie rzemieślnicy pracujący przy skórach. Zabijanie chwilowo przerwano. W ciągu następnych kilku tygodni do getta w centrum Trochenbrodu napływał nieustający strumień uciekinierów, którzy wygłodzeni, wyczerpani i ścigani w lasach nie widzieli innego wyjścia niż wrócić z dziczy do miasta i dzielić los z krewnymi i przyjaciółmi, z którymi dorastali. W okresie po pierwszej *Aktion* liczba mieszkańców getta wzrosła do około tysiąca pięciuset. W jednym domu gnieździło się ponad pięćdziesiąt osób. Nie można było wychodzić na zewnątrz. Ludzie nie mieli pojęcia, co ich czeka, ale doskonale zdawali sobie sprawę, że każdy dzień może być ostatnim dniem ich życia. Jedli warzywa z przydomowych ogrodów i zdobywane wszelkimi sposobami resztki. Większość trwała pogrążona w żalu po stracie zamordowanych bliskich, żon, dzieci, sióstr i braci, matek i ojców.

W tym roku Jom Kipur, Dzień Pokuty, najważniejszy dzień w kalendarzu żydowskim, przypadał 21 września. Im bliżej było tej daty, tym więcej uciekinierów wracało z lasu do getta, aby po raz ostatni, jak przeczuwano, spędzić z krewnymi i przyjaciółmi to święto. Około trzech tygodni wcześniej trzydziestu rzemieślników z Trochenbrodu pomaszerowało do lasu jaromelskiego, aby wykopać nowe doły w pobliżu pierwszych. Jeden z nich, podobno garbarz Mosze Szwarc, nagle rzucił się na trzech strażników z łopatą, krzycząc do towarzyszy, aby się ratowali. Niektórzy zaczęli uciekać do lasu, ale większość z nich, podobnie jak Mosze Szwarca, zastrzelili Niemcy i szucmani.

W Jom Kipur zakończono drugą *Aktion* – niemal wszyscy mieszkańcy getta w Trochenbrodzie zostali wywiezieni do lasu i zamordowani w ten sam sposób, jak

półtora miesiąca wcześniej pierwszy transport. Mimo to w getcie znów uchowały się jakoś resztki mieszkańców. Rzemieślników przeniesiono do największej synagogi na północnym skraju miasta, gdzie nadal wykonywali niewolniczą pracę. W grudniu wszystkich Żydów z Trochenbrodu wywieziono do lasu i zastrzelono. Na znak ostatecznego zakończenia likwidacji Żydów naziści podpalili synagogę, w której trzymano rzemieślników. W tym miejscu stoi dziś skromny pomnik z czarnego marmuru.

Wiele domów w Trochenbrodzie zniknęło wkrótce po zamordowaniu ich mieszkańców. Niemcy żądali przynajmniej po jednym robotniku na pięć dni z każdego gospodarstwa w okolicznych wsiach do pracy przy rozbiórce domów mieszkalnych i innych budynków w mieście. Mury rozbierano, aby pozyskać materiały budowlane, wyposażenie domów i odzież sprzedawano miejscowym chłopom. Część materiałów budowlanych wykorzystano przy budowie obiektów wojskowych na miejscu, resztę wywieziono ciężarówkami do Kiwerców, skąd zostały wysłane do Niemiec. Później partyzanci podpalili niektóre opuszczone budynki, aby nie mogli wykorzystywać ich Niemcy, szucmani czy banderowcy. Po wypędzeniu Niemców przez Armię Czerwoną w 1944 roku Ukraińcy z okolicznych wsi wywieźli z miasta wszystko, co dało się wywieźć, z płytami chodnikowymi z ulicy włącznie.

Trochenbrod zniknął z powierzchni ziemi.

Z ponad sześciu tysięcy mieszkańców Trochenbrodu i Łożyszcza przeżyło może sześciuset. Przeżyli ci, którzy wyszli razem z Sowietami albo później uciekli przez granicę radziecką; ci, którzy zdobyli fałszywe papiery i opuścili miasto, tak jak rudowłosy przyjaciel kobiety z Przebraża; ludzie tacy jak Label Szafran, których ukrywały rodziny polskie lub ukraińskie, a w niektórych przypadkach cała wieś; ludzie, którzy tak jak Basia-Ruchla Potasz i jej rodzina uciekli do lasu i jakoś tam przetrwali; czy wreszcie ci, którzy jak Chaim Wotczyn wstąpili do partyzantki, zanim Niemcy schwytali ich w pułapkę, i nie zginęli w walce. Znacznie więcej mieszkańców miasta, być może kilkaset osób, uniknęło śmierci w masowych mordach, ale nie przeżyło wojny.

Opowieść o dziejach Trochenbrodu zakończą wspomnienia tych świadków tamtych strasznych czasów: Basi-Ruchli Potasz, Chaima Wotczyna i Ryszarda Lubińskiego, nielicznych mieszkańców miasta, którzy mogli opowiedzieć o tym, co się wydarzyło. Pozostali świadkowie tamtych dni zostali zmuszeni do milczenia.

Niemcy zręcznie wykorzystali nacjonalistyczne nastroje wśród Ukraińców,

aby zwrócić ich najpierw przeciwko Żydom, a potem przeciwko Polakom. Rękami banderowców, szucmanów i komunistów, polskich grup samoobrony i partyzantów, niemieckich oficerów różnych rang i z różnych jednostek oraz zwykłych żołnierzy rozpalili ogień pod kotłem, w którym mieli ugotować się niewinni Polacy, Ukraińcy, a przede wszystkim Żydzi. Dopiero znajomość tego kontekstu pozwoli zrozumieć relacje trojga świadków. Każdy akt oporu czy odwetu na mordercach i ich pomocnikach, wszelka pomoc udzielona stawiającym opór lub biorącym odwet, każda odważna próba przetrwania i pomoc tym, którzy próbowali przeżyć, wiązały się z narażeniem własnego życia i wymagały niezwykłego bohaterstwa.

Basia-Ruchla Potasz nazywa się dziś Betty Gold i mieszka na University Heights, przedmieściu Cleveland. Urodziła się w Trochenbrodzie w 1930 roku i jak wspomina, spędziła tam cudowne dzieciństwo w otoczeniu dużej, kochającej się rodziny i mnóstwa przyjaciół, przeżyła wiele pięknych chwil, cieszyła się swobodą wiejskiego dziecka i bogatym życiem wspólnoty. Gdy miała dziewięć lat, jej dzieciństwo skończyło się nagle wraz z wkroczeniem do Trochenbrodu Sowietów. Jeszcze gorzej i groźniej zrobiło się po zajęciu miasta przez Niemców. Nic nie da się jednak porównać z tym, co przeżyła wraz z rodziną, ukrywając się w lasach Radziwiłłów przed śmiercią i szaleństwem sprowadzonymi przez nazistów do Trochenbrodu. Ta szczęśliwie zakończona straszna przygoda zaczęła się, gdy Basia-Ruchla miała dwanaście lat.

Mój ojciec i jego kuzyn mieli dużą drewnianą szopę na tyłach domu, długą i wąską; trzymali tam drewno, narzędzia i inne rzeczy. Po tym, co usłyszeli od uciekinierów z zachodniej Polski, postanowili na wszelki wypadek wybudować w szopie fałszywą ścianę, żebyśmy mogli schować się za nią, gdyby przyszli po nas Niemcy. Budowali w tajemnicy, nocą.

Później – pamiętam, że był to gorący letni dzień – Niemcy i Ukraińcy otoczyli sztetl i wygarniali wszystkich z domów. Musieliśmy zabrać to, co zdołaliśmy unieść, i przenieść się do centrum miasta, do getta. Byłam z moją najbliższą rodziną – ojcem, matką, dwoma braćmi i matką ojca, która w tym czasie mieszkała z nami. Moja druga babcia, mieszkająca po drugiej stronie ulicy, nie chciała iść go getta, więc się ukryła. Widzieliśmy przed wyjściem, że ją znaleźli, wyciągnęli na zewnątrz i zastrzelili. Myślę, że spędzili do getta nas wszystkich, z całego Trochenbrodu.

Jak tylko znaleźliśmy się w getcie, moja rodzina i rodzina kuzyna ojca wróciły do domu, ponieważ pozwolono nam zabrać potrzebne rzeczy pod

warunkiem, że wrócimy do getta. Mnie zostawiono z babcią, abyśmy pilnowały naszego dobytku. Siedziałam tam, a nikt z mojej rodziny nie wracał. Od razu pomyślałam, że musieli ukryć się za fałszywą ścianą. Wpadłam w przerażenie i złość, że mnie zostawili. Zupełnie nie wiedziałam, co robić. Babcia siedziała tam ze swoimi rzeczami, ja siedziałam obok niej. Chciałam żyć, chciałam wrócić do domu. Babcia nie mogła iść, więc ją zostawiłam. To był dla mnie bardzo trudny dzień.

Zaczęłam biec do naszego domu na południowym skraju miasta. Gdy biegłam ulicą, wszyscy ludzie szli w stronę getta, a ja – w przeciwną stronę; ulicy pilnowali uzbrojeni Niemcy i Ukraińcy. Jeden z Niemców czemuś się przyglądał, stojąc na rozstawionych nogach; prześliznęłam się między nimi. Gdy znalazłam się w pobliżu domu, zobaczyłam z daleka żołnierzy, przepełzłam więc między krzakami rosnącymi przy bocznej ścianie.

Dotarłam do fałszywej ściany, a oni nie chcieli mnie wpuścić! Bali się, że Niemcy posługują się mną, aby ich znaleźć, dlatego nie odpowiadali na moje wołanie. W końcu zaczęłam płakać i powtarzać: „Nikogo ze mną nie ma, jestem sama, nikogo ze mną nie ma, jestem zupełnie sama". Przekonałam ich, żeby otworzyli ukryte drzwi i wpuścili mnie do środka.

W kryjówce za ścianą schowało się siedemnaście osób. Troje małych dzieci. Najmłodsze dziecko kuzynki płakało. Matka udusiła swoją córeczkę; chciała ocalić dwóch synów i nas wszystkich. Nie mogliśmy kasłać ani nawet głośniej oddychać, ponieważ wszędzie byli Niemcy. Dorośli zatkali nam usta szmatami, żebyśmy nie kasłali, nie kichali, nie mówili.

Fałszywa ściana zrobiona była ze zbitych pionowo desek. Patrzyłam przez szpary między nimi i w pewnym momencie zobaczyłam ciężarówkę pełną dzieci. Otwartą ciężarówkę. Widziałam dwóch żołnierzy, którzy prowadzili ludzi do getta, ale dzieci łapali za ręce lub nogi i wrzucali na ciężarówkę. A matki nie chciały oddać swoich dzieci, krzyczały. Widziałam to i nic z tego nie rozumiałam. Nie mogłam zrozumieć, co się dzieje, nie mogłam w to uwierzyć. Widziałam mojego małego kuzyna wrzucanego na ciężarówkę jak kawałek mięsa... Jak dziecko może się opanować, nie płakać i nie krzyczeć, gdy widzi takie rzeczy? Znałam te twarze, znałam te dzieci, widziałam je każdego dnia swojego życia. Gdy każą ci być cicho i nie otwierać ust, a ty patrzysz na takie rzeczy... Nic nie mogliśmy zrobić. Gdybym wyszła, mnie też wrzuciliby na ciężarówkę. Myślałam: „Może po prostu zabierają je do getta, może nie chcą, żeby same szły, nie mają cierpliwości czekać, aż te raczkujące maluchy i kilkulatki same tam dojdą, dlatego zabrali je na ciężarówkę,

a potem zawiozą je prosto do getta i oddadzą rodzicom". Oczywiście nie o to chodziło.

Minął dzień. Następnego dnia słyszeliśmy mnóstwo strzałów. Wciąż ukrywaliśmy się za fałszywą ścianą. Nie widziałam, co się działo, ale wyraźnie słyszeliśmy strzały, może jakiś kilometr czy dwa dalej, było naprawdę głośno. Później dowiedzieliśmy się od kogoś, komu udało się uciec, że zawieźli rabina, rodziców, dzieci do dużego dołu i ich zastrzelili. Niektórzy uciekli, niektórzy zginęli podczas próby ucieczki. Część uciekła do lasu i gdy spotkaliśmy ich kilka miesięcy później, opowiedzieli nam, co się stało.

Nie mogliśmy wyjść z naszej kryjówki następnego dnia, ponieważ nasz dom wybrano na magazyn rzeczy wartościowych i ubrań wyniesionych z innych domów i zabranych zamordowanym. Kręciło się za wielu żołnierzy, rozładowujących, pakujących, przenoszących rzeczy, nie mogliśmy więc uciekać. Musieliśmy czekać jeszcze jedną noc i dzień. Kolejnej nocy wyczołgaliśmy się do ogrodu. Padało, a my byliśmy wdzięczni losowi za ten deszcz; mieliśmy nadzieję, że nikt nas nie usłyszy. Doczołgaliśmy się do rowów odwadniających, długich na prawie kilometr, i dopełzliśmy nimi do lasu Radziwiłłów.

Po pewnym czasie wydawało się, że sytuacja się uspokoiła, wróciliśmy więc do getta. Prawie wszyscy chcieli wrócić na Jom Kipur. Niemcy i Ukraińcy otoczyli wtedy getto, wyciągali ludzi z domów i wszystkich zabijali. Jak się stamtąd wydostaliśmy? Ojciec wyrzucił nas przez okno i krzyknął: „Biegnijcie, spotkamy się w takim a takim miejscu w lesie!". Dorośli mieli uciekać na końcu. Moja kuzynka i jej mąż byli tam z dwojgiem dzieci, trzecie kuzynka udusiła w kryjówce, moi rodzice – z trojgiem. Dwaj synowie kuzynki zostali zabici, my przeżyliśmy. Ona została z niczym, moi rodzice uratowali całą trójkę.

Biegnąc do lasu rowem odwadniającym, natrafiłam na ciało mojego wuja, który wykrwawił się na śmierć, i na ciała moich kuzynów, mojej przyjaciółki i rabina. Nie tylko ja, ale wszyscy przeskakiwali w biegu przez martwe ciała i rannych krewnych i przyjaciół; niektórzy ranni wołali o pomoc. Ojciec krzyczał: „Szybko, szybko, nie zatrzymywać się!", skakaliśmy więc przez martwych, półmartwych i rannych ludzi, których dobrze znaliśmy, z którymi łączyły nas więzy krwi, bo chcieliśmy ocalić życie. Nie sposób sobie wyobrazić, jak było to bolesne i jak bardzo czuliśmy się winni.

Las wciąż dawał schronienie, ponieważ na drzewach były jeszcze liście. Ojciec, jego kuzyn i kilku innych mężczyzn postanowiło zbudować kryjówki na

zimę w różnych miejscach [...], tak że gdyby znaleźli jedną, moglibyśmy uciekać do innej. W ciągu paru miesięcy wykopali dziewięć kryjówek. Przykryli je dużymi i mniejszymi gałęziami, zostawiając bardzo małe wejścia, przez które trzeba było się wczołgiwać. Z zewnątrz stropy kryjówek nie odróżniały się na tle poszycia lasu.

Dopóki było ciepło, pozostawaliśmy na zewnątrz. W pewnym momencie ojciec i inni mężczyźni uznali, że najbezpieczniej będzie na moczarach, gdzie drzewa miały grube pnie. Zbudowali nad wodą pomost z konarów i tam spędzaliśmy dzień i noc. Wychodziliśmy tylko nocą – najczęściej ja, ponieważ mój brat był obrzezany i gdyby go złapali i ściągnęli mu spodnie, zobaczyliby, że jest Żydem. Zakładałam więc chustkę na głowę i wychodziłam, aby szukać czegoś do jedzenia w chłopskich sadach i obejściach.

Aby znaleźć z powrotem drogę do swoich, klaskałam w ręce – mogło to przypominać odgłosy jakichś zwierząt – a oni również klaskaniem naprowadzali mnie na podest. Przynosiłam jabłka albo kawałek chleba, cokolwiek, co udało mi się zdobyć. Tak żyliśmy i tak jedliśmy. Piliśmy deszczówkę zbieraną do małego garnka, a czasami, gdy byliśmy bardzo spragnieni, a nie było innej możliwości – wodę z bagna, choć mogła nam zaszkodzić. I po prostu siedzieliśmy tam bezczynnie.

W tym czasie ojciec opowiedział o nas pewnej rodzinie gojów, swoich dawnych klientów. Nie mieliśmy już nic do jedzenia ani do ubrania, byliśmy głodni, opowiedział im więc, co się z nami dzieje, licząc, że nam pomogą. I pomogli. Moja matka, uciekając, ukryła na piersi kilka złotych rosyjskich monet. Gdy wybiegała z domu, jedną z nich przekupiła niemieckiego żołnierza; pozwolił jej biec, a potem do niej strzelił. Chybił – może celowo, któż to wie.

Daliśmy tym gojom całe złoto, jakie nam zostało – nie było tego dużo – oni zaś dali nam trochę chleba i rozrzucali tu i tam paczki z jedzeniem. Byliśmy ogromnie wdzięczni. To nam uratowało życie. A ci ludzie okazali się porządni, nie donieśli na nas.

Potem przyszła zima i zaczęliśmy ukrywać się w ziemiankach. Nie pytajcie mnie, jak i dlaczego, ale moi rodzice, uciekając z domu w getcie, zabrali ze sobą nie tylko złote monety, ale i podbity futrem płaszcz mojego ojca. To była nasza jedyna ochrona przed zimnem oprócz resztek ubrań, które się jeszcze nie rozleciały, i bardzo ją sobie ceniliśmy. Gdy spadł śnieg, sytuacja zrobiła się tragiczna, ponieważ nie można było wychodzić po jedzenie – ślady na śniegu doprowadziłyby do nas chłopów. Czasem przez trzy dni nic nie jedliśmy. Trzeba

było czekać na zamieć albo roztopy.

Pewnego razu zdarzyło się coś cudownego – mój najstarszy brat przyniósł siedem bochenków chleba. Ukradł je z polskiego domu. Pieczono tam chleb, a on ukradł te bochenki. Gdy przyszedł, niemal rzuciliśmy się na niego, każdy chciał najeść się chleba. Ojciec wydłubał małą półkę w ścianie ziemianki i schował tam bochenki. Wygłosił do nas mowę, że jest zima, nie możemy wychodzić teraz po jedzenie, dlatego ten chleb musi wystarczyć na jak najdłużej. Wszyscy dostawaliśmy tylko po kawałku dziennie. Każdego dnia ojciec palcem pokazywał, ile możemy zjeść. Miałam legowisko koło półki. Nie potrafiłam się opanować – oderwałam mały kawałek chleba i ssałam go jak lizak. I następny kawałeczek. I jeszcze jeden. Nazajutrz odkryto ubytek chleba i uznano, że w ziemiance musi być mysz. Potem jednak skłoniono mnie do przyznania się, że to ja byłam tą myszą. Musiałam spać po drugiej stronie ziemianki. Chleba wystarczyło na miesiąc.

W ziemiance ukrywało się dziewięć osób. Leżeliśmy jedno przy drugim tak ściśnięci, że gdy ktoś chciał się odwrócić, pozostali też musieli zmienić pozycję. Dół był płytki, mogliśmy siedzieć, ale nie mogliśmy wstać. Po prostu leżeliśmy dzień i noc, patrząc na siebie i prawie nic nie mówiąc. Do tego w płaszczu podbitym futrem zalęgły się wszy, musieliśmy więc się ich pozbyć. Wszy zalęgły się również w naszych włosach. Miałam bardzo długie warkocze. Ojciec i kuzyn mieli noże; usiedli i obcięli mi włosy kosmyk po kosmyku.

Byliśmy zmarznięci, głodni i zrozpaczeni. Nie wiem jak, ale zdobyliśmy malutki piecyk, który dawał trochę ciepła. Gdy mojemu bratu udało się znaleźć obierki ziemniaków, lizało się je i przyklejało do zewnętrznej ścianki tego piecyka; w ten sposób się gotowały i można było je zjeść. Potem oczywiście chorowaliśmy, bo to były odpadki, wygrzebywaliśmy je ze śmieci lub chlewów. Śmierdziały, były zgniłe i nadawały się tylko do wyrzucenia. Ale szybko wypełniały nam żołądki, więc tak czy inaczej je jedliśmy.

Pewnego razu pojawił się jakiś goj, a my myśleliśmy, że to Niemcy albo Ukraińcy nas znaleźli. Słyszeliśmy kroki tuż obok wejścia do ziemianki, ale nikt nie chciał zobaczyć, kto to jest. Mój młodszy brat spał, ale go obudzono i powiedziano: „Idź zobaczyć, kto to”. Nie wiedział, co się dzieje, wyszedł więc. I zawołał: „Ach, to Józef!”. To był nasz polski znajomy, który przyszedł powiedzieć, że słyszał w swojej wsi, iż w tym lesie ukrywają się Żydzi i że tej nocy Niemcy zamierzają ich schwytać. Przyszedł nas ostrzec.

Wiedzieliśmy, że inna grupa uciekinierów z Trochenbrodu ukrywa się jakieś trzy i pół kilometra dalej, ojciec poszedł więc do nich błagać, żeby przyjęli nas do swojej ziemianki, ponieważ musimy uciekać z naszej, bo nas zabiją, a na zewnątrz zamarzniemy na śmierć. Odmówili, twierdząc, że nie ma miejsca, i rzeczywiście nie było. Ojciec wrócił i powiedział, jak się sprawy mają.

Powiedział też, że nie możemy uciekać, że już dość, co ma być, będzie. Usiadł i ciągnął: „Słuchajcie, gdy przyjdą tu nas zabić, zrobimy tak: nie czekamy, tylko wybiegamy i uciekamy. Zastrzelą nas, ale przynajmniej zginiemy w biegu. Jeśli znajdą nas żywych, potną nas na kawałki". Tak właśnie robili Ukraińcy. Jak znaleźli ludzi w lesie, obcinali im piersi, języki, ręce i nogi i wieszali na drzewach.

Zostaliśmy więc w kryjówce, gotowi do ucieczki, gdyby przyszli nas zabić. Leżeliśmy i czekaliśmy, ale nikt nie przychodził! Nagle usłyszeliśmy wybuchy i strzały. Granaty i karabiny, okropne, naprawdę straszne dźwięki. Co się stało? Odkryli inną kryjówkę, tę, w której nie było dla nas miejsca, i wszystkich zabili. Gdyby ci ludzie nas przyjęli, gdyby znalazło się dla nas miejsce...

Mieliśmy szczęście. Wyobraźcie sobie. Cudem przeżyliśmy. Byliśmy tak przekonani, że czeka nas śmierć, iż ucałowaliśmy się wszyscy na pożegnanie. Zabawna rzecz, gdy mój ojciec całował matkę, powiedział w jidysz: „Niech ci się wiedzie". Roześmialiśmy się, naprawdę zaczęliśmy chichotać. Myślę, że nie przetrwalibyśmy, gdyby nie poczucie humoru; to była jedyna rzecz, która trzymała nas przy życiu. Śmialiśmy się z siebie i krzyczeliśmy na siebie, bo po prostu nic już nie czuliśmy.

Później zrobiło się jeszcze gorzej. Spadło dużo śniegu, nie mogliśmy wychodzić. Zostaliśmy w kryjówce, której nie znaleźli, ale tak bardzo potrzebowaliśmy jedzenia. Polacy nie mogli przychodzić z powodu śniegu. Byliśmy tacy głodni, przemarznięci, zdesperowani; nie mieliśmy ubrań, stopy owijaliśmy liśćmi. Cierpiałam bardzo, ponieważ odmroziłam sobie palce u nóg. Matka trzymała moje stopy między swymi piersiami, próbując je rozgrzać. Ojciec oklepywał mi dłonie i stopy, żeby były cieplejsze. Myśleliśmy, że w sztetlu wciąż jest getto i postanowiliśmy tam pójść i zdać się na los. Mieliśmy dość. Dłużej nie dało się tego wytrzymać. Bez ubrań, bez jedzenia, bez niczego.

Ruszyliśmy więc w drogę. Wszyscy dziewięcioro urodziliśmy się w Trochenbrodzie i wydawało się, że trafilibyśmy tam z zawiązanymi oczami. Szliśmy godzinami, przez całą noc. Ojciec nie potrafił pojąć, dlaczego się zgubił, dlaczego nie mogliśmy znaleźć drogi powrotnej do miasta. Byliśmy przecież

niedaleko, zaledwie kilka kilometrów od Trochenbrodu. Najpierw poszliśmy jedną drogą, potem drugą. „To chyba jest ta droga; nie, to tamta".

Byliśmy wyczerpani, zdezorientowani, osłabieni głodem, postanowiliśmy więc usiąść w rowie, odpocząć chwilę, a po wschodzie słońca zobaczyć, gdzie jesteśmy. Siedząc tam, usłyszeliśmy strzały, dużo strzałów. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Gdy zrobiło się jasno, zobaczyliśmy pola za domami w Trochenbrodzie. Byliśmy tak blisko i nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Mężczyźni poszli poszukać ludzi. Podczołgali się do jakiegoś domu i weszli do środka przez okno. Dom był pusty. Później dowiedzieliśmy się, że wszyscy mieszkańcy getta zostali zabici, a strzały, które słyszeliśmy, to była egzekucja ostatnich rzemieślników przetrzymywanych w synagodze. Znowu cud. Gdybyśmy się nie zgubili i wcześniej dotarli do miasta, zginęlibyśmy razem z nimi.

Nie wiem, dlaczego nie popełniliśmy samobójstwa. Nikomu nie chciało się dłużej żyć. Nie wiedzieliśmy, co począć, brakowało nam sił. Poczekaliśmy, aż zapadnie noc, i ruszyliśmy do innej kryjówki. Nie mieliśmy nic do jedzenia. Przez trzy dni głodowaliśmy, dosłownie przymieraliśmy głodem. Bladzi, z wywieszonymi językami... To cud, że się nawzajem nie pozjadaliśmy. Jedliśmy liście, po których zwykle wymiotowaliśmy, jedliśmy śnieg.

Miałam dwanaście lat. Dostałam okres i zupełnie nie rozumiałam, co się stało. Leżałam blisko taty, w kryjówce wszyscy leżeliśmy blisko siebie. Obudziłam się i zobaczyłam, że leżę w krwi od szyi po kolana i mój ojciec też leży w krwi. Nie wiedziałam, czy to on krwawi, czy ja. Skąd to się wzięło? Czy ktoś go zranił? Albo zabił? Wpadłam w histerię, zaczęłam krzyczeć i płakać. Matka zabrała mnie i kuzynkę na zewnątrz, pod drzewo, gdzie stała kałuża. Umyły mnie i opowiedziały o ptaszkach i pszczółkach. Nie miałam żadnego towarzystwa, a mimo to zaczęły mnie ostrzegać przed ciążą i tak dalej.

Niedaleko nas znajdowała się inna ziemianka. Ukrywali się w niej ojciec z dzieckiem i jeszcze kilka osób, wszyscy z Trochenbrodu. Dziewczynka, która miała najwyżej trzy lata, zachorowała i umarła. Ci ludzie musieli opuścić kryjówkę, ponieważ ktoś ich zauważył. A oni zauważyli nas. Wszyscy opuściliśmy więc nasze ziemianki i zostawiliśmy dziewczynkę pod stertą liści, myśląc, że może następnej nocy, gdy się uspokoi, wrócimy i ją pogrzebiemy. Gdy do niej wróciliśmy, oddychała! Ledwie, ledwie. Moja matka przytuliła ją do piersi, mój ojciec robił jej sztuczne oddychanie, a ojciec dziewczynki... Myślę, że była to scena nawet nie jak z filmu, ale z dżungli, z życia zwierząt. Wszyscy dorośli wpuszczali dziecku do ust krople wody, czasem nawet śliny, ogrzewali ją własnymi ciałami,

wynajdywali dla niej jedzenie i... dali jej nowe życie. Wszyscy razem przywrócili ją do życia. Przeżyła wraz z ojcem wojnę – pozostało ich dwoje z siedmioosobowej rodziny – a po wojnie wspaniale jej się powodziło.

W końcu zrobiło się ciepło i przenieśliśmy się do innej części lasu, ponieważ obawialiśmy się, że wraz z wiosną w lesie pojawią się pasterze i chłopi z okolicznych wsi i nas zauważą. Słyszeliśmy dużo hałasów, więc się baliśmy. Poszliśmy do ziemianki jakieś pięć czy sześć kilometrów dalej. Gdy drzewa pokryły się liśćmi, zaczęliśmy więcej przebywać na świeżym powietrzu, a pewnego razu rozpaliliśmy małe ognisko. Nikt z nas nie miał pojęcia, co dzieje się na zewnątrz, nie wiedzieliśmy nawet, czy wojna się skończyła.

Pewnego razu ukrywaliśmy się w pobliżu czegoś w rodzaju sadu. Na drzewach wisiały tam jabłka, jeszcze zupełnie niedojrzałe. Mój brat wybrał się na te jabłka. Czekaliśmy na niego przed ziemianką, ponieważ, jak powiedziałam, na drzewach były już liście, które nas kryły. Wyglądaliśmy go i nagle zobaczyliśmy konie. Na pierwszym koniu siedział żołnierz, na drugim ktoś w cywilnym ubraniu, ale z karabinem, na trzecim też żołnierz. Jeden z tych mężczyzn prowadził mojego brata. Złapali go na kradzieży jabłek i kazali zaprowadzić tam, skąd przyszedł. Brat był małym chłopcem, doprowadził ich do nas. Gdy zobaczyliśmy tych Niemców, Ukraińców czy kimkolwiek byli, wiedzieliśmy, że to koniec. Postanowiliśmy, że gdy tylko dotrą tu z moim bratem, wszyscy zaczniemy uciekać. Znów ucałowaliśmy się wszyscy na pożegnanie. Cieszyliśmy się, że to już koniec. Było nam naprawdę wszystko jedno.

Ale okazało się, że to byli partyzanci! Rosjanie! Nareszcie wyzwolenie! Trzeci cud! Nigdy nie widziałam takich łez, śmiechu, krzyków, uniesienia. Byliśmy szczęśliwi, że najgorsze już za nami, a jednocześnie czuliśmy głęboki smutek z powodu tych, którzy zginęli, nie doczekali. Spojrzałam na ojca i zapytałam: „Jak to się stało? Jak przeżyliśmy?”. Byłam wtedy dzieckiem, ale nie mogłam w to uwierzyć. To nie miało sensu. Żyliśmy jak ścigane zwierzęta, przymierające głodem ścigane zwierzęta. Dlaczego przeżyliśmy?

Chaim Wotczyn, dziś mieszkaniec Hajfy, urodził się w wiosce w okolicy Równego. W dzieciństwie stracił ojca, matka ponownie wyszła za mąż i w 1920 roku przeprowadziła się wraz z sześcioletnim wówczas synem do Łożyszcza. Chaim był mocno zbudowanym, upartym chłopakiem, który chodził własnymi drogami. Miał zdolności do matematyki i języków i w stosunkowo młodym wieku poświęcił się nauczycielstwu. Temperament, umiejętności i zdolności przywódcze predestynowały go do roli dowódcy partyzantów.

Pewnego dnia w 1942 roku niemiecki żołnierz rozkazał Chaimowi złapać jedno z jego kurcząt na kolację, a potem, gdy Chaim ganiał za kurczakiem po podwórku, „stał tam z wypiętą piersią i kciukami wetkniętymi za pas, zaśmiewając się". To upokorzenie umocniło Chaima w postanowieniu, że należy przygotować się do walki partyzanckiej. Nie wiedział nic o metodach walki, o broni ani o życiu w lesie, ale zaczął układać plany.

Potem dołączyli do mnie inni, na przykład Gad Rosenblatt, dowódca Bejtaru, i zaczęliśmy rozmawiać o partyzantce, zastanawiać się, skąd wziąć broń, jak przeżyć w lesie, jak nauczyć się walczyć, ustrzec przed zdemaskowaniem przez Niemców i Ukraińców i tak dalej. To było na długo przed sierpniem 1942 roku. Ale nie poszliśmy jeszcze do lasu.

Założyliśmy komitet i przydzieliliśmy zadania – zdobycie broni, przekonanie młodych mężczyzn z Trochenbrodu, aby do nas dołączyli, sporządzenie planu wyprowadzenia mieszkańców miasta do lasu; nawiązanie kontaktu z żołnierzami rosyjskimi, którzy odłączyli się od swoich oddziałów podczas wielkiego odwrotu armii rosyjskiej; próba skontaktowania się z komunistami ukraińskimi. To ostatnie było bardzo ważne, ponieważ komuniści ukraińscy utrzymywali prawdopodobnie kontakty z Armią Czerwoną i dostawali od niej zaopatrzenie; słyszeliśmy też, że ich przywódca prowadzi działania w lasach Radziwiłłów i może będzie mógł nam powiedzieć, jak zdobyć broń.

Ukraińską partyzantką komunistyczną dowodził Aleksander Feliuk z Kłobuczyna, wsi oddalonej od Trochenbrodu kilka kilometrów. Porozmawialiśmy tam z jego matką, a potem spotkaliśmy się z nim w lesie Radziwiłłów. Lasu pilnowali uzbrojeni leśniczy. Feliuk powiedział więc: „Jeśli macie dość odwagi, zabierzcie broń tym leśniczym". Pracował z nami przez kilka miesięcy i zrobił z nas partyzantów. Był wspaniałym człowiekiem. Zmarł niedawno, ale przez wszystkie te lata utrzymywaliśmy kontakty; wysyłaliśmy mu pieniądze i paczki.

Pewnego dnia jeden z naszych chłopców znalazł na cmentarzu w Ignatówce pistolet. Nowy, z nabojami, prawdopodobnie pozostawiony przez jakiegoś żołnierza radzieckiego podczas ucieczki. Zaczęliśmy uczyć się nim posługiwać, a potem poszliśmy z tym pistoletem pod wieżyczkę strażniczą, poczekaliśmy, aż leśniczy zejdzie na dół, i odebraliśmy mu karabin.

Z jednym karabinem poszliśmy do lasu i zaczęliśmy zdobywać broń. Udało

nam się zdobyć jeszcze jeden karabin, potem jeszcze jeden i kolejny. Mieliśmy już trochę karabinów i amunicję, a nawet granaty. Tworzyliśmy dość duży, uzbrojony oddział partyzancki. Dowódcą byłem ja, a Gad Rosenblatt był moim zastępcą. Gdy dołączyło do nas sześciu radzieckich dywersantów, oddział liczył trzydziestu ludzi.

Zaczęliśmy działać. Przyszedł na przykład do nas pewien Żyd i powiedział, że Ukrainiec nazwiskiem Gapon znalazł Żyda i wydał go Niemcom. Od razu czterech z nas poszło do wsi Gapona, zabraliśmy go do lasu i zastrzeliliśmy.

Inna akcja – dowiedzieliśmy się, że Niemcy szykują transport bydła z Trochenbrodu do Niemiec. Odszukaliśmy stado gotowe do wysyłki na stację kolejową i rozpuściliśmy je.

Kolejny przykład – w ukraińskiej wsi Jaromel nieopodal Trochenbrodu, gdzie większość chat była kryta strzechą, mieszkał szucman zwyrodnialec, który pastwił się nad tamtejszymi Żydami. Zapukaliśmy w jego okno: „Jesteśmy Szucmanami, mamy dla was ważną wiadomość. Otwierajcie". Wpuścił nas, napiliśmy się z nim. Przechwalał się, ilu to Żydów zabił, także kobiet i dzieci, i ilu wydał Niemcom. W końcu powiedzieliśmy mu, kim jesteśmy. Jego żona zaczęła krzyczeć, a my zabraliśmy tego człowieka na wóz wynajęty wraz woźnicą, wywieźliśmy do lasu i zastrzeliliśmy. Woźnica, Polak, z ochotą wziął udział w akcji; był dobrym człowiekiem, podobało mu się to, co zrobiliśmy. Zemsta za wszystkie pomordowane przez tego szucmana dzieci, kobiety i mężczyzn była słodka.

Tak zaczynaliśmy. Nie wiedzieliśmy niczego o prawdziwej walce, o bitwach, przeprowadzaliśmy więc akcje takie jak te.

Naziści nabrali tak wielu ludzi. Oczywiście największymi głupcami byli ukraińscy nacjonaliści. Uznali, że powinni pomagać Niemcom w likwidowaniu Żydów i Polaków, ochoczo wykonywali więc za okupantów brudną robotę. Gdy Sowieci wypędzali Niemców, traktowali tych ukraińskich nacjonalistów jak wrogów. Zabawne jest to, że naziści uważali Ukraińców za podludzi, nadających się najwyżej do pracy niewolniczej. Gdyby Niemcy wygrali wojnę, wystrzelaliby ich lub wykończyli w obozach pracy.

Żydzi też dawali się oszukiwać. Wielu wierzyło, że Niemcy ich nie zabiją, choć wszędzie dookoła widzieli śmierć. Kiedyś planowaliśmy zaatakować Trochenbrod i zabić Niemców i szucmanów. Zamierzaliśmy wrzucić granaty do ich domów, a potem otworzyć ogień i zabijać tych, którzy wybiegną za zewnątrz. Inna

grupa miała podłożyć w różnych miejscach ogień i spalić, co się da. Wysłaliśmy do getta wiadomość, że wszyscy Żydzi powinni wymknąć się do lasu. Wkrótce potem przybył wysłaniec z getta z usilną prośbą, abyśmy nic nie robili. Żydzi nie chcieli opuszczać miasta. Uwierzyli w niemieckie obietnice, że nie będzie więcej zabijania. Błagaliśmy, by zmienili zdanie, ale nie chcieli słuchać. Ci Żydzi ocalili życie Niemcom i szucmanom. Zaraz potem zostali przez nich zamordowani.

Niektórzy Żydzi z Trochenbrodu uciekli do lasu i tam zostali. Robili, co mogli, ale ich położenie było bardzo ciężkie. Wykopali kryjówki w oddalonych zakątkach lasu, zamaskowali je ziemią, gałęziami, liśćmi. Niektóre z tych kryjówek znajdowały się na moczarach. Pomagaliśmy im, jak tylko to było możliwe. Po każdym wypadzie przynosiliśmy im jedzenie, ubrania, buty. Często ich odwiedzaliśmy i uczyliśmy, jak przeżyć w lesie. Oto jak daleko zaszliśmy przez miesiąc czy dwa – teraz my uczyliśmy innych sztuki przetrwania!

W październiku 1942 roku jeden z naszych chłopców, Józef, wracał do obozu po odwiedzinach u Żydów ukrywających się w pobliskim lesie. Po drodze natknął się na grupę spadochroniarzy z Armii Czerwonej. Trafił na nich przypadkiem, niemal się potknął o ukrytych w krzakach żołnierzy. Można sobie wyobrazić, jakie powstało napięcie, dopóki rzecz się nie wyjaśniła. Józef powiedział, że przyprowadzi dowódcę oddziału partyzanckiego. Czekali zaledwie kilometr czy dwa od naszego obozu. Poszliśmy spotkać się z nimi.

W naszą stronę ruszyło dwóch dowódców – starszy, niski, okołoczterdziestoletni i młodszy, jasnowłosy dwudziestopięciolatek. Mieli czerwone gwiazdy na czapkach i zupełnie nowe automatyczne karabiny. Gdy dzieliło nas od nich kilka kroków, zatrzymaliśmy się i przez chwilę obserwowaliśmy się nawzajem, a potem zaczęliśmy rozmawiać. Wyjaśnili, że są radzieckimi dywersantami, zrzuconymi po to, aby wysadzać niemieckie pociągi. Powiedziałem: „Jesteśmy małym oddziałem, ale dobrze zorganizowanym i będziemy zaszczyceni, z całej siły pomagając wam rozgromić faszystów". Starszy mężczyzna wyjął z kieszeni paczkę papierosów i nas poczęstował. Opowiedzieliśmy im o naszych działaniach, nadziejach, naszych ludziach. Poprosili nas o pomoc w akcjach sabotażowych, a my się zgodziliśmy. Zaczęli uczyć kilku z nas wysadzania pociągów, później niektórzy nasi chodzili z nimi na akcje. Zgodzili się towarzyszyć nam w ataku na Trochenbrod.

Była jesień. Bociany już odleciały, a nad naszymi głowami przelatywały stada innych ptaków zdążających do swych zimowych siedlisk. Spadochroniarze i nasi ludzie skutecznie prowadzili sabotaż; niemal noc w noc wykolejali pociągi.

Jaka zmiana! Jeszcze niedawno Niemcy czuli się bogami, a teraz co noc się bali, przynajmniej w pociągach. Kazali miejscowym chłopom pilnować torów. Każdy strażnik chodził tam i z powrotem wzdłuż wyznaczonego odcinka, i gwizdał, gdy zobaczył coś podejrzanego. Na stacji czekał oddział żołnierzy gotowych do wyjazdu w razie alarmu. Utrudniało nam to działania, ale nadal robiliśmy swoje. Podczołgiwaliśmy się do torów, czekaliśmy, aż strażnik pójdzie w drugą stronę, znów się podczołgiwaliśmy ostatnie sto lub dwieście metrów, zakładaliśmy ładunki, a gdy pociąg przejeżdżał, odpalaliśmy je.

Aleks wyjechał dwa tygodnie wcześniej, aby nawiązać kontakt z oddziałem partyzanckim, który, jak słyszeliśmy, walczył w lasach daleko na północ. Przed powrotem do nas zatrzymał się w swojej wsi, Kłobuczynie, gdzie mieszkała jego matka i reszta rodziny. Dowiedział się, że Niemcy wkroczyli do wsi i schwytali dużą grupę mężczyzn, kobiet i dzieci. Zawieźli ich do lasu, gdzie czekał wykopany dół, i zamordowali wszystkich, między innymi matkę, brata i córeczkę Aleksa. Naziści wzięli w ten sposób odwet za to, że dwudziestu mężczyzn z Kłobuczyna wstąpiło do partyzantki. Do tego byli komunistami. Z tych dwudziestu przeżył tylko Aleks, pozostali byli we wsi, gdy otoczyli ją Niemcy, i też zostali zamordowani.

W listopadzie stoczyliśmy z Niemcami dużą bitwę. Pobiliśmy ich. Po dwóch czy trzech miesiącach pokonaliśmy oddział niemieckich żołnierzy! Niemcy byli zaskoczeni, że mają do czynienia ze zorganizowanym i uzbrojonym przeciwnikiem; wiedzieliśmy, że będą próbować wybić nas do nogi. Nie ulegało wątpliwości, że szybko wrócą i tym razem być może sprowadzą ukraińską milicję. Co mogliśmy zrobić? Czy powinniśmy zostać i próbować ich przechytrzyć? Zaczął padać śnieg, a to oznaczało, że gdy będziemy przechodzili z jednej kryjówki lub składnicy zapasów do drugiej, zostawimy ślady i „zaproszenie" do ataku. Nie mieliśmy też dość amunicji do karabinów. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie damy dłużej rady działać w ten sposób. Postanowiliśmy opuścić okolice Trochenbrodu.

Aleks uważał, że powinniśmy pójść na północ, na Białoruś, na bagna nad Prypecią. Z tego, czego dowiedział się w czasie swej wyprawy, wynikało, że znajdziemy tam duże ugrupowania partyzanckie, do których będziemy mogli dołączyć, i że oddziały te otrzymują radzieckie wsparcie i broń. Nasi rosyjscy spadochroniarze nie chcieli iść, woleli zostać i nadal prowadzić akcje sabotażowe. Choć to Aleks rzucił pomysł pójścia na północ, sam zdecydował pozostać w okolicach Kłobuczyna i wstąpić do oddziału partyzanckiego Miedwiediewa. Baza tego radzieckiego oddziału znajdowała się w Łopateniu, niedaleko od Kłobuczyna i Trochenbrodu, a jego działalność skupiała się na eliminowaniu

wysokich funkcjonariuszy władz niemieckich i na akcjach w Równem, ośrodku administracji niemieckiej.

Podczas marszu na północ natknęliśmy się na grupę żydowskich partyzantów z Kołek, którzy również szukali dużego radzieckiego oddziału partyzanckiego. Poszliśmy dalej razem. Po drodze wciąż mijaliśmy wsie i miasteczka, których żydowscy mieszkańcy zostali zamordowani, ich domy zniszczone, a dobytek rozgrabiony. Choć uczyłem religii i historii żydowskiej, nigdy nie byłem zbyt religijny. Gdy zobaczyłem, co spotkało mieszkańców Trochenbrodu i tylu innych miasteczek i wsi, gdy doszły do mnie słuchy, co wydarzyło się w dużych miastach, wiedziałem, że nigdy w życiu nie będę już nawet myślał o Bogu, który widział i słyszał to wszystko, ale tylko siedział i patrzył.

Na Białorusi natrafiliśmy na zwiadowców radzieckiego oddziału partyzanckiego. Zaprowadzili nas do kwatery oddziału dowodzonego przez generała majora Kowpaka, sześćdziesięcioletniego weterana pierwszej wojny światowej, uczestnika walk z Niemcami i białogwardzistami. Po rozmowie z Kowpakiem zgodziliśmy się walczyć pod jego rozkazami jako żołnierze 3. batalionu. Tej grudniowej nocy 1942 roku nasz żydowski oddział partyzancki, oddział partyzantów z Trochenbrodu, zakończył swą działalność.

Kilka miesięcy później przyszedł rozkaz naczelnego dowództwa. Mieliśmy wyruszyć w Karpaty i przeprowadzić tam pewne operacje. Po drodze przechodziliśmy przez lasy Radziwiłłów. W Trochenbrodzie i Łożyszczu nie było już wówczas Żydów. Sformowaliśmy czterystuosobowy oddział i zaczęliśmy polować na szucmanów i ukraińskich nacjonalistów, którzy pomogli nazistom wymordować naszych braci. Zabiliśmy wielu i spaliliśmy ich domy.

Postanowiliśmy spalić wszystko, co jeszcze pozostało z Trochenbrodu, ponieważ nie chcieliśmy, aby hitlerowców czy Ukraińcy wykorzystywali żydowskie domy mieszkalne i inne budynki. W mieście był młyn, który po zabiciu Żydów przejęli Ukraińcy. Nie chcieliśmy, by im służył, więc go spaliliśmy. Rozsypaliśmy wszędzie słomę i rozlaliśmy benzynę – służyła jako paliwo do maszyn – a potem podpaliliśmy. Młyn spłonął. Było to bardzo smutne, ale napędzani przemożną chęcią odwetu czuliśmy radość.

Ryszard Lubiński, syn naczelniczki poczty Janiny Lubińskiej, jedyny nie-Żyd urodzony w Trochenbrodzie, mieszkał tam do dwunastego roku życia, tam chodził do szkoły, tam mieszkali wszyscy jego przyjaciele. Jest katolikiem, ale uważa Trochenbrod za swe rodzinne miasto. Ryszard i jego matka pozostali

w swym domu, w którym mieścił się zamknięty przez Sowietów urząd pocztowy, do zimy 1942 roku. Byli jedynymi ludźmi, którzy mieszkali w mieście przed, w czasie i po Holokauście, który się tam dokonał. Ryszard wspomina Trochenbrod z głębokim uczuciem i doskonale pamięta dni, gdy nad miastem gęstniała ciemność.

Znaleźliśmy się w Zofiówce dzięki Żydom. To Żydzi założyli Zofiówkę i zamienili małą osadę rolniczą w miasto, które potrzebowało urzędu pocztowego. Matka pochodziła z miasta, w którym mieszkało wielu Żydów, i dobrze się wśród nich czuła, dlatego przyjęła tę posadę.

Prawdopodobnie także dzięki Żydom z Zofiówki pozostaliśmy przy życiu, a ja żyję do dziś. Dlaczego tak myślę? Gdy w 1939 roku weszli Rosjanie, chcieli zesłać nas na Syberię, ponieważ uważali moją matkę za przedstawicielkę polskiej władzy. Żydzi z Zofiówki błagali jednak Rosjan, by pozwolili nam zostać. Rosjanie wysłuchali mieszkańców Zofiówki, a potem powiedzieli matce: „Wszyscy mówią, że jesteście osobą dobrą i godną zaufania, nie ześlemy więc was na Syberię. Możecie zostać".

Trochenbrodzcy Żydzi byli dobrzy dla matki. Na przykład nosili jej wodę. Ilekroć matka wyszła po wodę – musieliśmy nosić ją ze studni oddalonej o mały kawałek drogi – jakiś mężczyzna, który to zauważył, zatrzymywał ją i mówił: „Nie, nie, przyniosę pani wodę". Szli razem do studni, napełniali wiadro, a on odnosił je do naszego domu. Szanowano ją i chętnie jej pomagano.

Dzieci uczyły się w chederze. Wszyscy moi przyjaciele chodzili tam codziennie, nie miałem się z kim bawić, chodziłem więc pod cheder i podsłuchiwałem pod oknami, zwłaszcza latem, gdy okna były otwarte. Dzieci uczyły się hebrajskiego metodą pamięciową. Słuchałem i też uczyłem się na pamięć, choć nie potrafiłem czytać i nie rozumiałem znaczenia słów. Po prostu raz za razem powtarzałem słowa. Pewnego razu nauczyciel polecił jednemu z chłopców powtórzyć kilka zdań. Zaczął recytować, a w pewnym momencie się pomylił. Nauczyciel wpadł w złość i jak zwykle działo się w tej szkole, uderzył go, krzycząc: „Dlaczego nie mówisz, jak należy?". Czasem nauczyciel bił ucznia kijem, a czasem kazał mu za złą odpowiedź otworzyć usta i pluł w nie. Chłopiec odparł: „Ryszard mi podpowiedział".

Ale to nie była prawda. Znałem jidysz równie dobrze, jak wszyscy moi przyjaciele i znajomi – do dziś mówię w tym języku, zwłaszcza jak trochę wypiję – a podsłuchując pod oknem chederu, poznałem hebrajski lepiej niż niektórzy

z moich kolegów. Czasem gdy szedłem ulicą, ludzie mówili: „Spójrz, to ten, który pomaga żydowskim chłopcom w chederze", ponieważ często udawało mi się podrzucić przyjaciołom szeptem odpowiedź – ale zawsze poprawną. Wciąż pamiętam hebrajskie słowa. Proszę posłuchać: „*Baruch ata Adonaj Elohejnu melech ha-olam* [...]".

Pamiętam dwie olejarnie w Zofiówce. Jedna stała tuż za domem Eliego Potasza, druga, dokładnie po przeciwnej stronie ulicy, należała do rodziny Szamesów. Znajdowały się tam nader skomplikowane maszyny, dziś nadawałyby się do muzeum. Eli Potasz miał drugi dom, a w nim warsztat, obok urzędu pocztowego, przy którym mieliśmy mieszkanie. Żydowska szkoła, cheder, mieściła się prawie naprzeciwko naszego domu. Kilka domów dalej znajdowała się synagoga; tamtejszy rabin miał bardzo donośny głos, gdy się modlił, słychać go było w całym Trochenbrodzie.

Zna pan Tewje Mleczarza z opowieści Szolema Alejchema? We wstępie do jednej z jego książek znajduje się informacja, że Szolem Alejchem był prywatnym nauczycielem córki bardzo bogatych Żydów z Zofiówki, właścicieli dużego majątku ziemskiego. Ożenił się później ze swą uczennicą i przejął majątek jej rodziny, ale podzielił ziemię i sprzedał po kawałku. Zawsze zastanawiałem się, czy chodzi o naszą Zofiówkę.

Myślę, że Szolem Alejchem był w Trochenbrodzie, ponieważ za domem, w którym znajdował się urząd pocztowy i w którym mieszkaliśmy, leżało wielkie pole, dawniej należące do jednej rodziny, a później podzielone na mniejsze kawałki. Trzy kawałki w pierwszym rzędzie, jeden obok drugiego, należały do rodziny Potaszów. Drugi rząd, również z trzech kawałków, należał do spokrewnionych z Potaszami Szamesów. Może było to więc duże pole Szolema Alejchema podzielone na mniejsze części? Co pan o tym sądzi? Czy to możliwe? Chyba tak, skoro w swoich książkach Szolem Alejchem opisuje życie dokładnie tak, jak wyglądało życie w Zofiówce.

Pewnego razu, po najeździe niemieckim, w Zofiówce pojawiła się dziwna postać, doktor Klinger. Miał wówczas około pięćdziesięciu lat i wydawał mi się bardzo stary. Na twarzy i dłoniach miał mnóstwo blizn, brakowało mu kilku palców. Przyjechał do Zofiówki jako Niemiec. Ubierał się bardzo elegancko i wydawał się bardzo ważną osobistością. Niemcy okazywali mu wielki szacunek. Robił wrażenie Niemca z wyższych sfer. Zastanawialiśmy się, skąd pochodzi, gdzie zdobył te blizny i stracił palce. Czy to może weteran pierwszej wojny światowej?

Był częstym gościem w naszym domu, zaprzyjaźniliśmy się, zaczął nam ufać jak przyjaciołom i przyznał się, że jest Żydem. Opowiedział nam, skąd ma te blizny na twarzy i rękach. Studiował gdzieś w Niemczech, gdy przyszła noc kryształowa, napadli go uzbrojeni w noże Niemcy. Bronił się, osłaniając twarz dłońmi i wtedy stracił kilka palców. Dzięki bliznom mógł udawać weterana wojennego i zyskał szacunek u Niemców.

Doktor Klinger przekonał Niemców, że Żydzi są mu do czegoś potrzebni, i w ten sposób na pewien czas uratował im życie. Niektórzy szucmani, Ukraińcy, zaczęli jednak coś podejrzewać. Pewnego dnia uparli się, że wieczorem musi się z nimi napić. Upili go tak bardzo, że nie mógł się już bronić, a wtedy ściągnęli mu spodnie i zobaczyli, że jest obrzezany. Wyciągnęli go na ulicę i zastrzelili. Ciało doktora leżało tam całą noc, dopiero następnego dnia Żydzi zabrali je i pochowali.

Niemcy przygotowywali się do pierwszej akcji likwidacyjnej. Przyjechała jakaś gruba ryba i wygłosiła mowę, że nie stanie się krzywda nikomu, kto będzie słuchał rozkazów i dobrze się sprawował. Niemcy panoszyli się w mieście od dawna, zdarzały się zabójstwa, ale nie było masowych mordów. Pewnego dnia do Zofiówki przybyła specjalna niemiecka jednostka likwidacyjna w asyście ukraińskich szucmanów, otoczyła miasto. Nikt nie podejrzewał, że będą zabijać. Myślano: „Och, znowu jakaś fisza będzie miała mowę i na tym się skończy". Dlatego nie było oporu.

W czasie pierwszej *Aktion* moja matka ukryła na strychu urzędu pocztowego sześćdziesiąt osób. W naszym mieszkaniu ukrywała się jedna z przyjaciółek matki z chorym na gruźlicę synem. Szucmani chodzili od domu do domu, szukając Żydów, ale jakimś cudem nie weszli do nas, kobieta nie wpadła więc w ich ręce. Stan jej syna szybko się jednak pogarszał. Chłopiec zaczął mocno kaszleć, krztusił się, pluł krwią, robił się coraz słabszy, w końcu umarł. Jego matka wpadła w histerię, nie chciała jeść ani pić, bez przerwy płakała. Moja matka próbowała namówić ją, by ukryła się na strychu, ale ona odpowiadała, że nie chce żyć. Potem po prostu wyszła na ulicę i zaczęła iść. W chwilę później usłyszeliśmy strzał, od którego zginęła.

Na mocy traktatu Ribbentrop-Mołotow za czasów władzy radzieckiej folksdojcze mogli wyjeżdżać do Rzeszy. Wyjechali więc z pobliskiej wsi Józefin, a ich domy zajęli Polacy i Ukraińcy. W Józefinie mieszkał Polak, weteran wojny polsko-bolszewickiej, silny mężczyzna, który umiał obchodzić się z bronią i budził respekt. W czasie pierwszej *Aktion* pracował na swym polu. Wszystko widział

i słyszał. Coś pękło mu w głowie, stał się zupełnie innym człowiekiem; chodził w kółko jak zaczadziały, mamrotał coś, czego nikt nie potrafił zrozumieć. Następnego dnia założył płaszcz i oznajmił, że idzie szukać wolnej Polski. Nikt go więcej nie widział.

W czasie drugiej akcji likwidacyjnej więcej ludzi uciekło do lasu, ponieważ była gorzej zorganizowana – Niemcy uznali, że ze znacznie mniejszą teraz liczbą ofiar łatwiej sobie poradzą. Ale Żydzi wiedzieli już, co się dzieje, byli lepiej przygotowani i więcej ich uciekało. Na polach za domami miasta dojrzewała fasola na wysokich tykach. Uciekając przed Niemcami, ludzie wbiegali między te tyki i dzięki temu niewidoczni mogli dotrzeć do rowów odwadniających. Pewien młody człowiek z getta ukrył się za drzwiami z siekierą, a gdy wszedł szucman, uderzył go i prawie odciął mu głowę. Ludzie cieszyli się, że ktoś stawił opór.

Przez wszystkie te lata często myślałem o Trochenbrodzie. Wciąż za nim tęsknię. Pamiętam smak ryby faszerowanej. Zdarzało mi się jeść to danie później, ale smakowało zupełnie inaczej niż w Zofiówce. Nawet gdy tu, już w Radomiu, przygotowywała je moja matka, nie była tak pyszna jak wtedy, gdy prawdziwą rybą faszerowaną częstowały mnie w Zofiówce matki moich przyjaciół. Zawsze gdy idąc ulicą, poczuję zapach gotującego się jedzenia, myślę: „Och, zupełnie jak w Zofiówce", i przed oczyma stają mi widoki miasteczka. Pamiętam latkes i czulent przygotowane w piecu na szabat, niemal czuję ich zapach i smak. Gdy wspominam Zofiówkę, nie myślę o rzezi, myślę o życiu. Wspominam śmiech, smaczne jedzenie, zabawy, radość, przyjaciół, wesela, święta, ciepło rodzinne.

Nigdy jednak nie zapomnę, co czułem jako dziecko, gdy w Zofiówce wszystkich wymordowano. Gdy wychodziłem po wodę, wszędzie widziałem martwe ciała. Patrzyłem na ulicę i widziałem tylko opustoszałe domy, w których mieszkały rodziny moich przyjaciół. Teraz panowała tam głucha cisza. Drzwi i okna pustych domów, poruszane wiatrem, uderzały z trzaskiem w próg lub parapet, a potem ze zgrzytem zawiasów znów zaczynały się kołysać. Gdzie są moi przyjaciele? Gdzie są ich rodziny? Co się stało z moim Trochenbrodem?

Epilog
NASTĘPNE LATA

Izreael Beider

ŚWIATŁO[3]

Nie rozpaczaj, bracie drogi,

Choćby koniec dnia nadchodził.

Zapamiętaj, proszę, dobrze moje słowa,

Ciemność zniknie, światło rozbłyśnie od nowa.

Trochenbrod, miasteczko, które wedle dość częstych opinii byłoby dziś kwitnącym wielkim miastem, przestało istnieć. Co działo się w ciągu siedemdziesięciu lat od jego unicestwienia z miejscem, w którym niegdyś leżało? Z ziemią, na której wyrosły drogi, domy mieszkalne, parki, budynki ośrodka miejskiego zwanego Trochenbrodem albo Zofiówką?

Po wymordowaniu mieszkańców Trochenbrodu Niemcy postanowili założyć na gruntach należących do miasta i okolicznych wsi duże gospodarstwo rolne produkujące na potrzeby wojska. Do prowadzenia gospodarstwa sprowadzono specjalistę Sonderführera, który zorganizował system pracy przymusowej – na dawnych polach trochenbrodzian pracowali teraz chłopi z okolicznych wsi. Robotnicy przymusowi wybudowali zarządcy dom w pobliżu miejsca, gdzie stała ostatnia synagoga, na północnym skraju miasta, tam gdzie dziś stoi pomnik z czarnego marmuru. Do budowy domu i kilku zabudowań gospodarczych użyto materiałów z rozbiórki domów w Trochenbrodzie. W gospodarstwie Sonderführera hodowano konie, kozy, krowy i kurczęta, a na polach uprawiano ziemniaki, fasolę, kukurydzę, kapustę i inne tutejsze warzywa na potrzeby wojsk niemieckich stacjonujących na tych terenach.

W niemieckim gospodarstwie rolnym w Trochenbrodzie plony zebrano tylko raz. Jesienią 1943 roku partyzanci Kowpaka otoczyli miasto i spalili wszystko, co tylko dało się spalić. Sonderführer uciekł podobno pod opiekę wojska do Równego.

Przez następne dziesięć lat trochenbrodzkie pola leżały odłogiem. Powody

były takie same, jak przed osiedleniem się w tym miejscu przed 130 laty pierwszych Żydów – ziemia była tu marna, podmokła, a do najbliższych szlaków komunikacyjnych daleko. Ponadto miejscowi chłopi mieli dość ziemi w pobliżu swych gospodarstw, rynek rolny został zdewastowany przez komunistów, nie było również koni ani ciągników. Krótko mówiąc – chłopi z tych okolic nie mieli motywacji – ani też realnych możliwości – aby uprawiać ziemię w Trochenbrodzie.

W połowie lat pięćdziesiątych władze radzieckie uznały, że tyle ziemi rolnej nie może leżeć ugorem. Wykonano podstawowe prace przygotowawcze pod uprawę i w 1957 roku na polach Trochenbrodu i okolicznych wsi powstał kołchoz Nowe Życie. Cała zachodnia Ukraina była już wówczas skolektywizowana. Siedziba zarządu Nowego Życia mieściła się w Domaszowie. Pod rządami Sowietów w Domaszowie i okolicznych wsiach dorosło pokolenie znające tylko jeden rodzaj życia i niemające pojęcia, że tam, gdzie teraz są tylko rozległe pastwiska kołchozowe, nie tak dawno rozkwitało żydowskie miasto.

W 1971 roku władze postanowiły wprowadzić ulepszenia w celu intensyfikacji produkcji rolnej. Trochenbrod nie istniał już od trzydziestu lat, o tym zaś, że kiedyś było tu miasto, wiedzieli nieliczni, wśród których zabrakło prawdopodobnie wyższych rangą funkcjonariuszy władzy radzieckiej. Założono między innymi system kanałów odwadniających – jedną z rur umieszczono tam, gdzie dawniej biegła ulica Trochenbrodu. Teraz ulica była tylko nierówną ścieżką między polami. Melioracja sprawiła, że ziemia w okolicy, lepiej nadawała się pod uprawę. W kołchozie uprawiano żyto, pszenicę, jęczmień, kukurydzę, groch, ziemniaki i buraki cukrowe, hodowano także bydło.

26 kwietnia 1986 roku nastąpiła głośna katastrofa elektrowni atomowej w Czarnobylu, znajdującej się około 320 kilometrów na wschód od Trochenbrodu, a dostarczającej, jak mi opowiadano, prąd elektryczny między innymi do Polski. Po katastrofie władze wybudowały linie wysokiego napięcia, które przesyłały prąd do Polski ze stacji wysokiego napięcia usytuowanej około 56 kilometrów od Równego. Linie te przecinały teren, na którym leżał dawniej Trochenbrod, i biegły równolegle do jedynej ulicy miasta; widać to na pierwszym zdjęciu wkładki ilustracyjnej.

W 1991 roku Ukraina uzyskała niepodległość. Kołchozy upadły. Na trochenbrodzkich polach zaprzestano uprawy, ponieważ mimo melioracji ziemia nie była szczególnie żyzna – miejscowi nazywają ją czarnym piaskiem – a do głównych dróg wciąż było stąd daleko. Dziś można tu spotkać ludzi wypasających konie, a czasem trafić na jedno czy drugie poletko obsiane trawą lub koniczyną dla

bydła. Zasadniczo jednak ziemia należąca niegdyś do mieszkańców Trochenbrodu leży odłogiem i jest własnością państwa. Ani władze lokalne, ani państwowe, nie mają żadnych związanych z nią planów. Jak wyglądają dziś okolice miasta, można zobaczyć na zdjęciach zamieszczonych w tej książce. O tym, co niegdyś tu było, mają pojęcie tylko nieliczni mieszkańcy pobliskich wsi.

Trochenbrod-Zofiówka wciąż jednak w zagadkowy sposób pojawia się na krótkie chwile w świadomości miejscowych, wraca niczym duch, dusza błąkająca się po okolicy. Gdy pewnego razu stałem na polu w Trochenbrodzie, mój ukraiński przyjaciel z Domaszowa zapytał, czy chciałbym mieć pamiątkę z miasta. Powiedział, że często można znaleźć takie rzeczy w domu Lei. Domu Lei? Pojechaliśmy ciągnikiem na niegdysiejszy południowy kraniec miasteczka i zaczęliśmy grzebać w ziemi koło dużego drzewa owocowego. Nikt nie wie, dlaczego to miejsce znane jest jako dom Lei. Szedłem kiedyś przez podwórko w obejściu miejscowego gospodarza i zauważyłem ułożoną przy ścianie domu stertę płyt chodnikowych przypominających te, które widziałem na fotografii z uroczystości przecięcia wstęgi; zdjęcie znajduje się na stronie 15 wkładki ilustracyjnej. Zapytałem pracującego na podwórzu gospodarza, skąd wziął te płyty. „Z Zofiówki – odpowiedział, wskazując głową w kierunku, gdzie dawniej był Trochenbrod. – Z tamtego miasteczka". Krążyła opowieść, że w pierwszych latach tego wieku pojawili się jacyś obcy i wykopali na terenie Trochenbrodu duże ilości złota. Dzieci z okolicznych wsi wałęsające się po trochenbrodzkich polach wracały czasami z kawałkami szkła z działającej przed pierwszą wojną światową wytwórni, kawałkami talerzy, narzędzi, sprzętów domowych lub innych przedmiotów świadczących, że kiedyś było tu życie. Zagon w pobliżu marmurowego pomnika wszyscy nazywają polem Szwarca. Większości młodych ludzi nawet nie przyjdzie do głowy zastanowić się, co to może oznaczać; niektórzy snują mętne przypuszczenia, że mieszkał tam kiedyś jakiś Szwarc; starsi mieszkańcy okolicznych wsi, jeśli ich zapytać, wracają niekiedy pamięcią do dawnych czasów.

Trochenbrod zniknął, ale dla dzieci dawnych mieszkańców miasta i ich dzieci wciąż istnieje i rozkwita dzięki silnym więziom tej wspólnoty. Nie da się tego powiedzieć o innych miasteczkach Wołynia, na przykład o Ołyce, która przecież nie zniknęła. Ołyka była ważnym ośrodkiem administracyjnym i handlowym, gdzie co tydzień odbywały się targi regionalne. W dni targowe do miasta tłumnie ściągali kupcy z Trochenbrodu. Tu znajdowała się siedziba zarządu ordynacji Radziwiłłów, którzy mieli na tych terenach rozległe włości. Wiele razy słyszałem opowieść o wysypanej płatkami róż drodze, gdy do miasta wjeżdżał syn księcia z nowo poślubioną żoną. Gdy niedawno temu odwiedziłem Ołykę, okazała się zapomnianym i zapuszczonym miasteczkiem o błotnistych ulicach i starej

zabudowie. Nie było niczego poza nędznym sklepikiem, jeszcze z czasów sowieckich. Wspaniały niegdyś, murowany kościół stał w ruinie, a w pałacu Radziwiłłów mieścił się szpital dla psychicznie chorych, którego pacjenci krążyli po ulicach, szukając w rynsztokach niedopałków papierosów. Ołyka to miejsce bez przeszłości i teraźniejszości, a odkąd nowe domy zaczęto budować bliżej szosy Łuck–Równe, trochę na północ od miasta, wydaje się nie mieć również przyszłości.

Trochenbrod żyje dzięki sile wspólnej pamięci. Przetrwał dzięki emigrantom i ocalałym, którzy mocno utożsamiali się z rodzinnym miastem i czcili wspólnotę, którą ono stanowiło. Osoby związane z Trochenbrodem i ich rodziny, gdziekolwiek się znajdą, zwykle mają się świetnie. Większość dawnych mieszkańców miasta odeszła w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, jednak, co nadzwyczajne, po dwudziesto- czy trzydziestoletniej przerwie zaczęły odnawiać się silne więzi między ich dziećmi, wnukami i prawnukami.

Po zakończeniu wojny większość ocalałych mieszkańców Trochenbrodu trafiła do obozów dipisów (Displaced Persons), takich jak Linz-Bindermichel w Austrii czy Föhrenwahl koło Monachium, zob. zdjęcie z 22 strony wkładki ilustracyjnej. Z obozów tych wyjeżdżali głównie do Stanów Zjednoczonych, Palestyny/Izraela, Brazylii i Argentyny, gdzie istniały już duże skupiska wychodźców z Trochenbrodu, często połączonych więzami pokrewieństwa. Wspólnoty z różnych krajów nie utrzymywały ze sobą stałych kontaktów, choć w pierwszym dziesięcioleciu po wojnie trochenbrodzianie z Izraela kontaktowali się z pobratymcami z zagranicy. W 2009 roku zaczęli robić to ponownie.

Wielu imigrantów z Trochenbrodu osiadło w Brazylii i Argentynie – zwłaszcza w Rio de Janeiro, Buenos Aires oraz prowincjach Buenos Aires i Santa Fe – nie powstały jednak zrzeszające ich organizacje. Mimo to poczucie wspólnoty pozostało bardzo silne, utrzymywano bliskie kontakty, pomagano sobie, wchodzono w związki rodzinne i tak dzieje się do dziś. W tym środowisku pamięć o Trochenbrodzie pozostaje wciąż żywa. Inaczej sprawy potoczyły się w Stanach Zjednoczonych i Izraelu.

Amerykańskie rodziny pochodzące z Trochenbrodu przekazały mi zdjęcia, listy członków, dokumenty bankowe oraz relacje z pierwszej ręki dotyczące organizacji emigrantów z Trochenbrodu, działających w Montrealu, Baltimore, Bostonie, Chicago, Cleveland, Los Angeles, Nowym Jorku, Filadelfii i Toledo. Trochenbrodzianie, podróżując po kraju, często zatrzymywali się u rodzin pochodzących z Trochenbrodu i uczestniczyli w życiu miejscowych organizacji. Organizacje te w większości powstały w okresie międzywojennym. Ich członkowie

spotykali się, aby powspominać Trochenbrod czy wymienić najświeższe wiadomości z rodzinnego miasta, ale też zbierali pieniądze dla tamtejszych instytucji i rodzin. Większość z tych stowarzyszeń zaprzestała działalności w czasie wojny lub krótko po jej zakonczeniu, gdy przestały przychodzić listy z Trochenbrodu; niektóre niewielkie grupy spotykały się jeszcze w latach siedemdziesiątych.

W Palestynie nieformalna wspólnota imigrantów z Trochenbrodu i Ignatówki zawiązała się około 1930 roku i od tego czasu działała nieprzerwanie. W pierwszych latach osobą, wokół której skupiała się tamtejsza społeczność trochenbrodzian, był Eliezer Burak, który w Palestynie zmienił nazwisko na Barkai. W 1945 roku Eliezer napisał wspomniany już artykuł o Trochenbrodzie. Wszyscy nowi przybysze z Trochenbrodu, także mój ojciec, zatrzymywali się w domu Eliezera, dopóki nie znaleźli pracy i miejsca do życia. Gdy po wojnie zaczęli napływać ocaleni, Eliezer wypytywał ich o losy mieszkańców Trochenbrodu i przekazywał informacje o tych, którzy przeżyli, żydowskim żołnierzom stacjonującym w Europie. W ten sposób odnaleziono wielu innych ocalonych – między innymi w obozach dipisów i w ukraińskich rodzinach, którym rodzice zapłacili za przechowanie dzieci – i zorganizowano sprowadzenie ich do Palestyny. Eliezer pisał do swych krajan w Brazylii, Argentynie i Stanach Zjednoczonych listy z prośbami o pieniądze, które miały ułatwić przystosowanie się ocalonych do życia w Palestynie. Później odegrał główną rolę jako organizator budowy synagogi w Izraelu dla byłych mieszkańców Trochenbrodu i Łożyszcza oraz służącego tej społeczności ośrodka kultury i pamięci Bejt Tal koło Tel Awiwu. Dom Eliezera Barkaia pełnił również rolę punktu kontaktowego dla trochenbrodzian z całego świata, a on sam przez lata utrzymywał z wieloma z nich regularny kontakt.

W 1959 roku ukończono budowę Bejt Tal, a społeczność dawnych mieszkańców Trochenbrodu założyła organizację non profit, Beit Tal Association. W 1988 roku jeden z przywódców Bejt Tal, urodzony w Trochenbrodzie Tuwia Drori, pojechał do Związku Radzieckiego i zdołał dotrzeć do miejsca, gdzie leżało niegdyś jego rodzinne miasto. Miał trudności z rozpoznaniem terenu i nie mógł znaleźć nikogo, kto udzieliłby mu informacji; udało mu się jednak w końcu spotkać chłopa, który dowiózł go do celu wozem konnym. Tuwia wrócił do Izraela wstrząśnięty, ponieważ tam, gdzie stało kiedyś jego miasto, zobaczył tylko nieużytki, a masowe groby nie były w żaden sposób oznaczone. W 1992 roku stowarzyszenie Bejt Tal postawiło pomniki z czarnego marmuru w miejscach dawnej synagogi i masowych grobów. W ciągu następnych piętnastu lat zorganizowano trzy wyjazdy do Trochenbrodu i wszelkimi sposobami starano się

pozyskać młodych członków, potomków mieszkańców nieistniejącego miasta. W 2007 roku powstała witryna internetowa (http://Beit-Tal.com), w tym samym roku Bejt Tal postanowiło przekształcić się w organizację międzynarodową, skupiającą potomków trochenbrodzian z całego świata. Pierwszym przejawem jej działalności był międzynarodowy zjazd w Trochenbrodzie ludzi tam urodzonych i ich potomków. Odbył się on w sierpniu 2009 roku – ponad sześćdziesiąt siedem lat od chwili, gdy przestało istnieć miasto i jego mieszkańcy.

Zanim opowiem o tym ważnym wydarzeniu, chciałbym wspomnieć krótko o losach Basi-Ruchli Potasz, dziewczynki, która przeżyła zagładę miasta, ukrywając się wraz z rodziną w lesie, oraz jej przyjaciela z dzieciństwa, Ryszarda Lubińskiego, syna naczelniczki poczty w Trochenbrodzie. Ich wspólne zdjęcie znajduje się na stronie 16 wkładki ilustracyjnej. Po wojnie Basia-Ruchla i jej rodzina znaleźli się w obozie dipisów w Bindermichel, a w 1946 roku wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych, do Cleveland, gdzie mieli rodzinę. W odpowiednim czasie Basia-Ruchla wyszła za mąż, wychowała dzieci i odnosiła sukcesy zawodowe jako Betty Gold. Ryszard i jego matka opuścili zgliszcza Trochenbrodu i osiedli w innym mieście regionu, a następnie przeprowadzili się do Radomia. Ryszard został inżynierem budowlanym, dziś jest emerytem i nadal mieszka w Radomiu, blisko swych dzieci. Żadnemu z tych dwojga nigdy nie przyszło do głowy, że to drugie może jeszcze żyć.

W 1996 roku warszawska Fundacja Shalom wydała dwujęzyczny album *And I Still See Their Faces. Image of Polish Jews. I ciągle widzę ich twarze. Fotografia Żydów polskich,* zawierający zdjęcia polskich Żydów sprzed Holokaustu. Zdjęcia wybrano spośród tysięcy fotografii nadesłanych przez Polaków, którzy w wielu przypadkach znali przedstawione na nich osoby i często opatrywali zdjęcia komentarzami. Albumu nie sprzedawano wówczas w Stanach Zjednoczonych, ale dwa lata po jego ukazaniu się zorganizowano w Detroit wystawę zamieszczonych w nim fotografii. O wystawie w Detroit poinformowały „Cleveland Jewish News", a Betty Gold regularnie czytywała tę gazetę. W albumie znajduje się nadesłane przez Ryszarda Lubińskiego zdjęcie zrobione przez jego matkę i choć zdjęcia nie przedrukowano w artykule, znalazł się w nim dołączony przez Ryszarda komentarz.

Urodziłem się w 1929 roku i przez 12 lat mieszkałem w Zofiówce na Wołyniu. Miasto liczyło około pięciu tysięcy mieszkańców, niemal wyłącznie Żydów. Język i obyczaje żydowskie stanowiły nieodłączny element mojej codzienności. Po najeździe sowieckim, gdy językiem nauczania stał się jidysz, ja, Polak, bez przeszkód mogłem kontynuować naukę. Potem przyszli Niemcy.

W sierpniu 1942 roku niemal wszystkich mieszkańców miasta wymordowano w pobliskim lesie [...] Zofiówka nagle przestała istnieć.

RYSZARD LUBIŃSKI, Radom

Betty Gold przeczytała te słowa w Dniu Matki 1998 roku. Przeczytała je drugi raz i po raz kolejny. Z oczu popłynęły jej łzy, ogarnęło ją radosne podniecenie, przemożne uczucie szczęścia i wrażenie, że oto stał się cud; nie potrafiła opanować emocji. Wiem o tym, ponieważ zadzwoniła do mnie, by powiedzieć, że właśnie otrzymała na Dzień Matki prezent najwspanialszy z możliwych. Zdobyła numer telefonu Ryszarda i zadzwoniła do niego. Rozmawiali wzruszeni po polsku i w jidysz, a kilka miesięcy później, po ponad pół wieku, spotkali się w Radomiu. Od tej pory są w stałym kontakcie, to zaś skłoniło mnie do podróży do Radomia, ponieważ chciałem wysłuchać wspomnień Ryszarda. Podczas rozmowy zapytałem, czy chciałby dołączyć do grupy planującej wizytę w Trochenbrodzie w sierpniu 2009 roku. Odmówił. Tłumaczył, że ma wspaniałe wspomnienia z dzieciństwa i woli ich nie zatruć, oglądając tylko pustkowie i masowe groby.

W 2002 roku Jonathan Safran Foer wydał powieść *Wszystko jest iluminacją*. Książka i film pod tym samym tytułem wzbudziły zainteresowanie Trochenbrodem, a choć miasto, o którym opowiadały, nosiło nazwę „Trachimbrod", osoby, których rodziny pochodziły z Trochenbrodu, nie miały wątpliwości, o jakie miasto chodzi. Wiele z nich znało je tylko z opowieści rodzinnych przekazywanych z pokolenia na pokolenie, czasem niezbyt wiernie oddających rzeczywiste wydarzenia i sytuacje. Ludzie ci z zaskoczeniem uświadomili sobie, że ktoś jeszcze wie o Trochenbrodzie; poruszeni jego świeżą sławą chcieli dowiedzieć się więcej i nawiązać kontakt z innymi potomkami mieszkańców miasta. Tak się złożyło – można by powiedzieć, że to kolejny cud – iż niewiele później Beit Tal Association zaczęło zabiegać o rozszerzenie działalności na wszystkie kraje, w których żyją dzieci i wnuki mieszkańców Trochenbrodu.

Przeprowadzona w 2008 roku próba zestawienia listy rodzin wywodzących się z Trochenbrodu szybko dowiodła, że w Stanach Zjednoczonych mieszkają tysiące osób, które czują się związane z tym miastem. Wiadomości krążyły szybko, a w rezultacie zwykłe w założeniu spotkanie kilku rodzin w Waszyngtonie zamieniło się w ogólnokrajowy zjazd trochenbrodzian. Przybyło sto czterdzieści osób ze wszystkich zakątków Stanów Zjednoczonych. W następnych miesiącach podobne spotkania odbyły się w Los Angeles i Rio de Janeiro. Beit Tal Association

zaczęło organizować zjazdy w miejscu, gdzie niegdyś był Trochenbrod.

18 sierpnia 2008 roku w ukraińskiej wsi Domaszów troje mieszkańców Trochenbrodu – dwoje z nich przeżyło w lesie, jeden uciekł z miasta w czasie okupacji radzieckiej – spotkało się z siedemdziesięcioma pięcioma potomkami trochenbrodzian, z których najmłodsi mieli kilkanaście lat. Przyjechali tu z Brazylii, Kanady, Izraela, Ukrainy i Stanów Zjednoczonych. Z Domaszowa wyruszyli piętnastoma wozami konnymi przez pola, a potem pustkowia do miejsca, gdzie leżał Trochenbrod. Ten środek transportu wybrali celowo, chcieli podróżować tak, jak robili to ich przodkowie.

Jedną z osób, które ukrywały się w lesie, była Betty Gold, Basia-Ruchla Potasz. Drugą – Jewgenia Szwardowskaja. Z Jewgenią, niezbyt już dobrego zdrowia, przyjechał jej wnuk i opiekun, przewodzący małej społeczności żydowskiej w Łucku. Tym uczestnikiem spotkania, który uciekł przed wkroczeniem Niemców, był Szmulik Potasz. Wspomnienia tych trojga sprawiły, że Trochenbrod ożył, słuchający z zapartym tchem zgromadzeni mogli go sobie wyobrazić. Szmulik poprowadził wszystkich ulicą Trochenbrodu, pokazując, gdzie były niegdyś sklepy, budynki użyteczności publicznej, domy poszczególnych rodzin. Ludzie zbierali ziemię z miejsc, gdzie stały domy ich przodków, szukali śladów i pamiątek po swych rodzinach. Na północnym skraju miasta, przy pomniku z czarnego marmuru odbyła się uroczystość, a druga, jeszcze bardziej podniosła, z pieśniami, opowieściami i modlitwami, miała miejsce przy pomniku przy masowych grobach. Wszyscy poczuli instynktowną więź z tym miejscem, tym rozległym pustkowiem gdzieś na Ukrainie, które widzieli po raz pierwszy. Niektórzy odnaleźli wśród członków grupy niewidzianych dotąd, a niekiedy zupełnie nieznanych krewnych z innych krajów. Panowała wręcz rodzinna atmosfera.

Uroczystości odbywały się w językach angielskim i hebrajskim. Z uwagą i szacunkiem przypatrywali im się woźnice z okolicznych wsi, ukraińscy przyjaciele i życzliwi znajomi z Domaszowa i Łucka. Nie rozumieli języka, ale po wielu twarzach było widać, że rozumieją wszystko; niektórzy mieli w oczach łzy. Ludzie ci mówili mi później, że pomysł, by zjechać z całego świata, odnowić więzy rodzinne, odwiedzić groby przodków, odtworzyć dzieje tego miejsca, głęboko ich poruszył i skłonił do namysłu. Zapragnęli dowiedzieć się więcej o historii regionu, nie tylko ukraińskiej. Po raz pierwszy w pełni zrozumieli – albo sobie przypomnieli – że mieszkali tu i tworzyli historię przedstawiciele różnych narodowości. Było tu nawet żydowskie miasto! Chcieli dowiedzieć się więcej o jego mieszkańcach i ich życiu.

[3] Ten wiersz w języku hebrajskim został znaleziony wśród wycinków z gazet ocalonych przez Jontele Beidera. Autorem jest jego brat, a wiersz prawdopodobnie ukazał się drukiem około 1939 roku w „Ha-Kochaw” („Gwiazda”), wychodzącym w Polsce hebrajskojęzycznym miesięczniku, w którym publikowano wiele wierszy Izraela Beidera.

ŚWIADKOWIE WSPOMINAJĄ

Wspomnienia niektórych występujących tu osób pojawiały się już wcześniej. Teraz przedstawiamy relacje pozwalające jeszcze lepiej zrozumieć, czym był Trochenbrod i jak toczyło się tam życie.

Szoil Burak

Jedną z rzeczy, które na zawsze pozostały w pamięci wielu mieszkańców Trochenbrodu, jest błoto. Miasto zostało założone na bagnistej nizinie, jego główna i jedyna ulica była po deszczu nieprzejezdna dla wozów konnych. Szoil Burak urodził się Trochenbrodzie pod koniec lat siedemdziesiątych XIX wieku, w pierwszych latach XX wieku wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Jak twierdzi jego wnuczka, Alyn Levin-Hadar, podobnie jak inni imigranci wspominał rodzinne miasto z uczuciem.

Gdy padało, szło się po kolana w błocie. Błoto i brud to moje najżywsze wspomnienia z Trochenbrodu. Z powodu tego błota mieliśmy wymówkę, żeby chodzić do łaźni. Pytasz, czy chciałbym wrócić do starego kraju? Nie do tego całego błota i brudu – teraz jestem Amerykaninem.

W Ameryce Szoil opowiadał swoim dzieciom przed snem bajki, których akcja toczyła się w Trochenbrodzie. Opowiastki były zmyślone, ale zawsze znajdowało się w nich coś o błocie.

Michajło Demczuk

Michajło urodził się w 1932 roku w Jaromlu, wsi niedaleko Trochenbrodu. Mieszka tam z rodziną do dziś. Rozmawiałem z nim w roku 1997 i jeszcze kilkakrotnie w czasie późniejszych wypraw w te okolice. Michajło doskonale pamięta Trochenbrod i lata wojny.

Ludzie często chodzili do Zofiówki, aby kupić różne rzeczy do domu i ubrania. Było tam mnóstwo sklepów z butami i odzieżą, piekarnia – piekło się tam wiele rodzajów chleba – sklepy z wyrobami ze skóry, młyny. Kupcy

z Zofiówki naprawdę mieli do nas zaufanie, sprzedawali nam na kredyt, ponieważ wiedzieli, że oddamy im pieniądze, gdy je będziemy mieli. Gdyby Zofiówka przetrwała, byłaby teraz dużym miastem.

Byli tam dobrzy murarze, dobrzy malarze i doskonali fachowcy wszelkiego rodzaju, zwłaszcza od budowy domów i remontów; pracowali we wszystkich okolicznych wsiach.

W Zofiówce znaliśmy żydowską rodzinę, w której były dzieci. Przyjaźniłem się z tymi dziećmi, bawiliśmy się razem. Dziewczynka miała na imię Estera, a chłopcy Joszko i Icek.

W Zofiówce było bardzo dużo gęsi, ludzie mieli porządne domy, w większości nowe, choć zostało też trochę starszych. Bogaci ludzie mieli lepsze domy, biedni – skromniejsze. Ogólnie mówiąc, te domy mniej lub bardziej przypominały nasze; nie były dokładnie takie same, ale podobne. Wzdłuż ulicy rosły drzewa, a przy wielu domach były drzewa owocowe – wiśnie, grusze, jabłonie. Każdy miał kawałek ziemi i na nim pracował. To było przyjemne miasto.

Młode dziewczyny i kobiety ze wsi takich jak Jaromel chodziły do Zofiówki, żeby zarobić trochę pieniędzy, pomagały przy zbiorze owoców, w ogrodach, w pracach domowych. Wszystkim to odpowiadało. To był dobry czas, ale później sytuacja się zmieniła.

Przed wojną stosunki między Polakami, Żydami i Ukraińcami układały się naprawdę dobrze, choć między Żydami a Ukraińcami były chyba lepsze niż między Polakami a Ukraińcami. Wszyscy traktowali się jednak życzliwie. W Jaromlu mieszkało na przykład wielu Polaków. Ale po wybuchu wojny coś się stało. Polacy i Ukraińcy zaczęli się nawzajem zwalczać, stali się wrogami.

To prawda, że byłem wtedy bardzo młody, ale pamiętam ciężarówki wyładowane ludźmi przejeżdżające koło mego domu w stronę lasu, słyszałem strzały, a później widziałem, jak te ciężarówki wracały puste. Przejeżdżały koło mojego domu dzień po dniu. Gdy zaczęło się robić dla nas zbyt gorąco przygotowaliśmy się do ucieczki. Uciekliśmy do pobliskiej wsi Mykowe. Tam ojca zabili Polacy. Widzieli, że uciekamy, więc na nas napadli; przeżyliśmy tylko ja, moi dwaj bracia, ale straciliśmy wszystko. Wróciliśmy do Jaromla i zastaliśmy wieś spaloną, zostały tylko dwa domy i jeziorko. Naprawdę nie mieliśmy nic.

Ukraińcy i Polacy napadali na siebie nawzajem i na Żydów. Były trzy armie,

niemiecka, ukraińska i polska, które walczyły ze sobą. Ci Polacy, którzy na nas napadli, pochodzili z Przebraża, polskiej wsi niedaleko stąd.

Tuwia Drori

Tuwia Drori urodził się w 1918 roku w Trochenbrodzie w rodzinie Antwargów. Jesienią 1939 roku uciekł do Palestyny. Obecnie mieszka w Izraelu, w Giwatajim na wschód od Tel Awiwu.

Gdy w latach 1921–1922 wrócili na dobre Polacy, brali Żydów do pracy przymusowej. Przyszli zabrać mojego ojca w szabat, a on odmówił. Mój ojciec miałby pracować w szabat? Pobili go. Pamiętam dobrze, jak strasznie było patrzeć na bitego ojca, zapamiętałem to na całe życie; do dziś mam przed oczyma ten widok. Ojciec nigdy nie pracował w szabat. Wyjechał do Ameryki, a gdy okazało się, że musiałby i tam to robić, wrócił i został w Trochenbrodzie do końca.

W 1988 roku, gdy po raz pierwszy wróciłem do Trochenbrodu, odnalazłem dwa masowe groby. Widziałem mały pomnik otoczony ogrodzeniem. Napis na pomniku mówił, że są tu pochowani mieszkańcy Trochenbrodu i Łożyszcza zamordowani przez nazistów. Bardzo mnie to poruszyło; upadłem na ziemię i płakałem.

W Izraelu nikt nie wierzył, że to widziałem, a przy tym wszyscy bali się jechać do Rosji. Minął rok. Kilka osób zdecydowało się jechać, a później ludzie zaczęli wyjeżdżać z innych miast regionu – Łucka, Kołek, Ołyki – aby odwiedzić rodzinne strony i postawić pomniki. Stawianie pomników na Ukrainie zorganizowaliśmy we współpracy z miejscowymi władzami, jako wspólne przedsięwzięcie. W tym czasie byłem prezesem Bejt Tal. Do jego powstania tu, w Izraelu, przyczyniło się wiele osób – Anszel Szpielman, Gad Rosenblatt i inni [...] nie tylko ja.

Betty Gold

Betty urodziła się jako Basia-Ruchla Potasz w 1930 roku w Trochenbrodzie i tam spędziła pierwsze dwanaście lat życia. W czasie masowych mordów w sierpniu i wrześniu 1942 roku uciekła wraz z rodziną do lasu. Dziś mieszka na

University Heights, przedmieściu Cleveland w stanie Ohio.

W Trochenbrodzie wszyscy byli Żydami oprócz naczelniczki poczty, pana, który sprzedawał wódkę oraz jeszcze jednego pana, który w szabat wykonywał dla Żydów prace dla nich zakazane. Byliśmy otoczeni przez wsie polskie i ukraińskie. W naszym sztetlu była tylko jedna ulica. Wszyscy się znali i wszyscy byli spokrewnieni, a my mieszkaliśmy blisko naszych ciotek i wujów, wystarczyło pójść do domu obok lub przejść przez ulicę.

Bardzo dobrze pamiętam dziadków ze strony ojca. Matka mojej matki mieszkała sama po drugiej stronie ulicy; jej mąż zmarł wiele lat wcześniej. Uwielbialiśmy chodzić do domu babci, spać tam, mieszkać u niej i tak dalej. Miałam dwóch braci, Szimona i Barucha, obu starszych ode mnie.

Moja matka miała bardzo przyjemne życie. W Trochenbrodzie uważano ją za damę z towarzystwa. Działała w Bejtarze i organizacjach żydowskich, pisała sztuki i zawsze była bardzo zadbana. Była też piękna i przywiązywała wielką wagę do tego, jak prezentuje się w oczach mieszkańców sztetla. Nigdy nie pracowała, ponieważ mój ojciec zapewniał jej dobrobyt; nie musiała pracować. Nie pamiętam z dzieciństwa żadnej kobiety, która by pracowała; niektóre pomagały tylko mężom w interesach.

Ojciec miał własną firmę. Bardzo go kochałam. Rano ja wychodziłam do szkoły, on do pracy; pierwszy odcinek drogi szliśmy razem, potem ojciec zostawał w firmie, a ja szłam dalej, zatrzymując się w piekarni, aby kupić kichel na rachunek ojca. Przed wybuchem wojny żyło nam się miło i dobrze.

Najprzyjemniejsze były oczywiście chwile, gdy spotykały się całe rodziny; odwiedzaliśmy się, spacerowaliśmy po parku w szabasowe popołudnia, śpiewaliśmy szabasowe pieśni. Przed szabatem, w piątek wieczorem, domy się rozświetlały. Wszyscy byli wykąpani, odświętnie ubrani, zapalano świece.

Gdy byłam małą dziewczynką, śpiewałam na weselach. Urządzano je na dworze, przychodził cały sztetl. Nie wiem, dlaczego wybrano mnie, abym śpiewała i recytowała wiersze dla młodej pary. Naprawdę uwielbiałam wesela. Często uczestniczyłam też wraz z bratem w dziecięcych grach i zabawach w szkole oraz w organizacji Bejtar.

Mieliśmy wielu kuzynów. Kuzyn to było coś innego niż tu, kuzyn lub kuzynka byli jak brat i siostra. Razem mieszkaliśmy, często razem spaliśmy, razem

się bawiliśmy i chodziliśmy do szkoły. Nie było różnicy między braćmi i siostrami a kuzynami.

Dwa razy w miesiącu chodziłam z przyjaciółką od domu do domu; miałyśmy ze sobą kosz i zbierałyśmy pieczywo, ciasta i słodycze, co kto mógł dać, dla ubogich. Zaczęłam tak chodzić jako małe dziecko; w naszym sztetlu robiło to wiele dzieci. Oczywiście zawsze podkradałam coś z rzeczy, które dostałyśmy z domu, ponieważ zaczynając, miałyśmy już dużo jedzenia z naszych domów.

W Trochenbrodzie nie było samochodów. Kupcy w większości mieli konie, jeździli na targi – w okolicznych miastach odbywało się wiele targów – aby sprzedać lub kupić bydło, owoce i warzywa. Kilku kupców z naszego miasteczka robiło wielkie interesy.

Wszyscy uprawiali ziemię. Przy domach były ogromne ogrody, dzięki czemu można było nie tylko wyżywić rodzinę, ale sprzedawać warzywa na targu i zarobić pieniądze. Większość mieszkańców miała też krowy, z mleka wyrabiano masło, sery i tak dalej. Niektórzy się z tego utrzymywali. Trzymaliśmy kozę, a ja miałam kurczęta, a w pewnym momencie nawet konia, na którym uwielbiałam jeździć, oczywiście bez siodła.

Gdy byłam mała, w naszym sztetlu nie było elektryczności ani utwardzonych dróg. A potem, pod koniec lat trzydziestych, zaczęto remont głównej ulicy, pojawiła się elektryczność, miasto coraz szybciej się rozwijało. Mieliśmy coraz więcej kontaktów ze światem. Wszyscy czytali „Naprzód” i rozmawiali o polityce. Mój ojciec kupił radio. Pierwsze radio w Trochenbrodzie! To było takie podniecające; wszyscy przychodzili zobaczyć, jak je podłączano. Rozciągnięto długie druty, które potem wchodziły pod ziemię; pamiętam pracujących przy tym ludzi. Mieliśmy również gramofon na korbę.

Pamiętam, jak słuchaliśmy przez radio polskiej muzyki. A potem wygłosił przemówienie Józef Piłsudski. Nie pamiętam naturalnie, co mówił, ale zapamiętałam, jak ludzie powtarzali: „Och, Józef Piłsudski będzie przemawiał”, i tak poznałam jego nazwisko – Józef Piłsudski.

Przyjęcie z okazji moich ósmych urodzin było, jak mi się zdaje, moim jedynym przyjęciem urodzinowym. Przyszły moje koleżanki. Jedna przyniosła w prezencie spinkę do włosów, druga wstążkę, a trzecia ładne kolorowe gumki recepturki. Trudno to sobie dzisiaj wyobrazić. Spinki, wstążki i gumki? Ale to było takie ekscytujące... Sprawiło mi większą przyjemność niż dzisiaj prezent za tysiąc

dolarów.

Pewnego razu ojciec przyprowadził rabina – nie pamiętam, z jakiego miasta – bardzo sławnego rabina, skrybę, i przez kilka tygodni gościliśmy go w naszym domu. Mój ojciec ofiarował synagodze zwój Tory. Ludzie przychodzili i dawali datki, a skryba pisał w ich imieniu zdania lub ustępy. Bardzo wiele to dla wszystkich znaczyło. Ojciec posadził mnie na komodzie, obserwowałam sznur ludzi przychodzących do naszego domu i dających datki, ale nic z tego nie rozumiałam. Potem rabin – wciąż go widzę, jego dużą, okrągłą futrzaną czapkę i długą brodę – wszystko mi wytłumaczył. To było naprawdę coś ważnego.

Wiedzieliśmy, co to jest Wielkanoc i Boże Narodzenie. W Boże Narodzenie w domu naczelniczki poczty można było obejrzeć piękne drzewko. Na te święta kupowało się prezenty – a sklep mojego ojca był tuż obok poczty. W polskiej szkole wystawiono przedstawienie, w którym grałam rolę anioła. Nie pamiętam, o czym było, ale odegrano je w czasie Bożego Narodzenia.

Syn naczelniczki poczty był moim przyjacielem. W Boże Narodzenie zapraszali mnie, bym świętowała wraz z nimi. Przyjaźniliśmy się z nimi. Pamiętam, jak chodziłam do jego domu, aby obejrzeć drzewko, i myślałam, że jest takie piękne, takie zabawne z tymi wszystkimi ozdobami; cały dom był udekorowany, a my dostawaliśmy ciasteczka. Lubiłam to, ale wiedziałam, że to nie są nasze święta. Może nawet sądziłam, że to nie święta, ale jakiegoś rodzaju uroczystości. W każdym razie wiedziałam, że nie mają z nami nic wspólnego. To było zabawne.

Betty Hellman

Betty urodziła się w Trochenbrodzie w 1921 roku jako Pesia Gotman. Wyjechała w końcu 1938 roku, gdy zaczęły się prace przy nawierzchni głównej i jedynej ulicy miasta. Mieszka w Pittsburghu w stanie Pensylwania.

Jeździliśmy do Łucka wozem pocztowym. Pewnego razu było nas dziesięcioro. Woźnica kazał wysiąść kilkorgu z nas, ponieważ koń nie uciągnąłby takiego ciężaru. Przez całą drogę na zmianę wyskakiwaliśmy z wozu i wskakiwaliśmy z powrotem.

Wiosną najlepszą rzeczą było to, że wysychało błoto, z którym nie mogliśmy

sobie dać rady. W drodze do szkoły wciąż przewracaliśmy się na tym błocie, z książkami, i nie mogliśmy wstać.

Naszą największą rozrywką było chodzenie do lasu i zbieranie jagód albo żurawin. Robiliśmy to najczęściej w soboty. Ale Boże dopomóż, jeśli zjawił się leśniczy w mundurze. Bił nas dużym kijem. Każdy z nas miał przywiązany do pasa duży garnek na jagody, chodziliśmy jak najciszej, żeby nas nie usłyszeli, ale czasem wypędzali nas z lasu. Można było jednak kupić bilet! Płaciło się pięć złotych i można było zbierać jagody. Tylko kto z nas miał pięć złotych na ten bilet?

Jesień wyglądała tak jak tu; robiło się zimno, opadały liście, wiał wiatr, a ludzie przygotowywali się do zimy.

Zimy były ciężkie, padało mnóstwo śniegu. Pamiętam, że leżąc w łóżku, mogłam pisać na ścianie, ponieważ była pokryta zmrożonym szronem, tak że dało się pisać palcem.

Jak szykowaliśmy się do zimy? Kopało się dół w ziemi, wsypywało kartofle i nakrywało słomą [...] musieliśmy przygotować paszę dla zwierząt; mieliśmy krowę, inni mieli konie. Trzeba było zgromadzić siano w małej szopie na tyłach domu. Naszą krowę trzymaliśmy w tylnej części domu. Dlatego nie lubię mleka [...] nie było zbyt czyste. Niektórzy mieli piwnice pod domami. My również. Wchodziło się do niej przez klapę w podłodze. Trzymaliśmy tam siano.

Chcę powiedzieć, że to było całkowicie żydowskie miasto. Ze wszystkich stron otoczone przez lasy. Zawsze mówiłam, że z jakiegoś innego miasta oderwano jedną ulicę i rzucono tutaj. Bo była jedna ulica i nic dookoła, nic poza tym, tylko ta jedna ulica i to nazywali miastem. Dlatego powtarzałam, że musiała oderwać się od jakiegoś miasta i spaść tutaj.

Nie było u nas tylko małych sklepików, ale porządne sklepy. Pasmanterie, sklepy tekstylne, dwa sklepy z obuwiem, jatki, sklepy spożywcze, mleczarnie – sprzedawaliśmy tam mleko od naszej krowy – gdzie wyrabiano masło i sery; masło raz w tygodniu sprzedawano w Łucku. Były też garbarnie. Abram Bass otworzył w mieście prawdziwą piekarnię. Sklepów było dużo, i to dobrych.

W mieście mieszkało niewielu bogaczy i powiem panu, dlaczego. Była tu rodzina nazwiskiem Antwarg, mieszkali w bardzo ładnym, dużym domu. Nigdy tam nie byłam; nie widziałam, co było w środku. Dom był otoczony wysokim ogrodzeniem. Antwargowie mieli piękną córkę, dobrze znaną w mieście, i mieli

pieniądze [...] W niektórych rodzinach mąż wyjeżdżał do Ameryki, robił nieduże pieniądze – niektórzy nigdy nie wracali do żon, znajdowali sobie w Ameryce inne kobiety – i wracał z kilkoma dolarami. Po paru latach, na przykład pięciu, dolary się kończyły.

Moja siostra poślubiła takiego gościa. Nie miał zawodu, a skoro nie miał, co mógł robić w Trochenbrodzie? Siostra była biedna; moja matka miała sześć córek, a jej mąż zmarł, kiedy miałam półtora roku. Urodziłam się dziewięć lat po poprzedniej córce. Ojciec więc zmarł, a matka została z gromadą dzieci. Moja siostra wyszła za mąż za syna jednego z mężczyzn, którzy wrócili z Ameryki z kilkoma dolarami. Ładnie się ubierał, nosił kołnierzyk i krawat [...].

Wiele razy jeździłam do Łucka, nie na zakupy – zupełnie nie było mnie na to stać. Jeździłam do Łucka, ponieważ tam znajdowały się urzędy, a ja próbowałam wyjechać do Ameryki. W Łucku miałam wielu przyjaciół, starszych ludzi spowinowaconych z nami. Jeździłam więc często, dobrze znałam miasto i miałam tam mnóstwo przyjaciół.

W Trochenbrodzie mieliśmy teatr, grałam w wielu sztukach w jidysz. Graliśmy we wszystkie święta. W polskiej szkole też graliśmy, ale po polsku. Pamiętam, że Nachman Rotenberg był wilkiem, a ja Czerwonym Kapturkiem. Tuwia też był jednym z moich przyjaciół.

Ida Liss

Losy Idy Liss są nietypowe. Urodziła się w roku 1912 w Chicago; jej rodzice, imigranci z Trochenbrodu, poznali się i pobrali w Stanach Zjednoczonych. Ojciec pochodził z rodziny Gildenów, matka – Kermanów. W 1912 roku rodzice Idy przyjechali do Trochenbrodu, aby odwiedzić krewnych i pochwalić się blisko roczną córeczką. Przedłużali wizytę, aż wybuch pierwszej wojny światowej zatrzymał ich na długo. Ida wróciła z matką do Stanów Zjednoczonych dopiero w 1928 roku, w wieku szesnastu lat. Jest jedyną osobą, która dorastała w Trochenbrodzie jako obywatelka amerykańska. Dziś mieszka w Evanston, mieście na północ od Chicago. Ida mówi, że mieszkała w Trochenbrodzie dłużej niż w jakimkolwiek innym miejscu, że doskonale pamięta ten czas i że Trochenbrod, który wspomina z czułością, często pojawia się w jej snach.

Gdybym teraz mogła pojechać do Trochenbrodu, pokazałabym panu, gdzie

mieszkałam. Mam przed oczyma mój dom. I domy moich wujów, jeden stał po jednej stronie naszego, drugi – po drugiej. Jeden z wujów miał wnuczkę, Baske. A Baske miała romans z Blitzsteinem; nie wiem, czy się w końcu pobrali, czy nie. Ale w każdą sobotę on przychodził na obiad, a ja widziałam, jak ona się pudruje, maluje usta szminką i robi się na piękność. Była śliczną dziewczyną, ale robiła to wszystko, a ja wiedziałam, że on przyjdzie.

Główna ulica to była po prostu długa, błotnista droga. Nic, tylko błoto. Po obu stronach ulicy było coś w rodzaju rowu czy okopu. Rowy przykryte były deskami, po których się chodziło zamiast po chodnikach. A między nimi było dość miejsca dla wozów konnych; nie było samochodów, tylko wozy, konie i błoto.

Mieszkaliśmy w białym, tynkowanym domu mojej babki, Rywki, to był jej dom. Za każdym domem był ogród, duży, wszyscy takie mieli. Hodowaliśmy tam kartofle i inne warzywa, wszystko, co się dało.

Mieszkaliśmy w środku miasta, z jednej strony mieliśmy północny Trochenbrod, z drugiej – południowy, a my byliśmy pośrodku. Gdybym się tam znalazła, trafiłabym od razu do naszego domu i pokazała panu, gdzie stał.

Jak pan myśli, co robię, gdy kładę się spać? Nie oglądam telewizji, nie widzę dobrze, nawet nie włączam telewizora. Co więc robię? Rozmyślam o swoim życiu, o różnych miejscach takich jak Trochenbrod. Widzę go. Widzę [...] Mam Trochenbrod przed oczyma.

Ryszard Lubiński

Ryszard Lubiński jest synem naczelniczki poczty w Trochenbrodzie. Państwowe posady były niedostępne dla Żydów; matka Ryszarda przyjęła tę posadę, ponieważ potrzebowała pracy, a wychowała się w mieście, gdzie mieszkało wielu Żydów, znała ich obyczaje i dobrze się wśród nich czuła. Po przyjeździe do Trochenbrodu zakochała się w leśniczym z lasów łopateńskich – to tam miał swą bazę oddział partyzancki Miedwiediewa – i wyszła za niego za mąż. Małżonkowie rozstali się, gdy matka Ryszarda była w ciąży. Do Trochenbrodu przyjechała siostra matki, by pomóc jej w prowadzeniu poczty; pomagała jej również przy narodzinach Ryszarda w 1929 roku. Ryszard wychowywał się do dwunastego roku życia w Trochenbrodzie, w otoczeniu żydowskich rodzin, żydowskich dzieci, żydowskich obyczajów i języka. Dziś mieszka w Radomiu.

Chodziłem do polskiej szkoły państwowej wraz z mymi żydowskimi przyjaciółmi. W Zofiówce mieszkałem do zimy 1942 roku, Szoa zabrał tam wszystko. Gdy wyjeżdżaliśmy, miałem dwanaście lat.

Pod koniec lat trzydziestych, długo po rozstaniu z ojcem, matka była młodą, atrakcyjną, wykształconą kobietą w wieku około trzydziestu pięciu lat. Dobierała sobie przyjaciółki w mniej więcej swoim wieku i typie, a to w Trochenbrodzie oznaczało Żydówki. Młode Żydówki z Zofiówki, a później zewsząd. Gdy Rosjanie wprowadzili szkołę dziesięcioklasową w miejsce polskiej siedmioklasowej, do większej liczby klas potrzeba było większej liczby nauczycieli, do pracy w szkole w Zofiówce zjechali więc z różnych stron żydowscy nauczyciele. To oni tworzyli krąg towarzyski, w którym obracała się matka, ponieważ byli ludźmi w podobnym wieku i o podobnym wykształceniu. Wielu z tych nauczycieli mieszkało w naszym domu, ponieważ Rosjanie zamknęli urząd pocztowy i mieliśmy wolne pokoje.

Kiedyś bogaty Rosjanin nazwiskiem Lenko odkrył w Żurawiczach, niedaleko od Zofiówki, źródła wody mineralnej. Wybudowano mały pensjonat dla kuracjuszy przyjeżdżających tam do wód. Słyszałem, że później Sowieci założyli tam duże uzdrowisko. Niektórzy mieszkańcy Zofiówki pracowali w zakładzie wodoleczniczym w Żurawiczach. Matka, która była naczelniczką poczty, często bywała tam zapraszana z okazji jakichś ważnych wydarzeń, jako przedstawicielka władz, podobnie jak naczelnik policji. Po zamknięciu urzędu pocztowego pracowała tam moja ciotka, siostra matki. Wynosiła stamtąd jedzenie, dzięki czemu przetrwaliśmy trudne czasy.

Jednym z nauczycieli mieszkających w naszym domu był Chaim Weitzblum. Uciekł wraz z żoną z Ołyki. Był człowiekiem bardzo utalentowanym – śpiewał, grał na instrumentach, malował i uczył matematyki. Moja matka przy pomocy innych osób zdobyła dla niego fałszywe dokumenty, nazywał się teraz Albin Ostrowski. Rok później, już po opuszczeniu przez nas Zofiówki, odwiedził nas we wsi, w której wtedy się zatrzymaliśmy. Był wiejskim furmanem, miał ogromne wąsy i bardzo się zmienił, wyglądał i zachowywał się jak chłop. Ten wybieg uratował mu życie. Ciekawy jestem, czy Weitzblum jeszcze żyje.

W 1943 roku Niemcy znaleźli sposób zabezpieczenia sobie tyłów – nakłonili Ukraińców do zaatakowania osiadłych na Wołyniu Polaków, ponieważ wciąż uważali się oni za obywateli polskich i stawiali opór Niemcom. Zbrojne grupy ukraińskie napadały i doszczętnie niszczyły dziesiątki polskich wsi i miasteczek, palono domy, wyrzynano ludność. Polacy postanowili zorganizować samoobronę.

Wokół wsi budowano umocnienia, rozstawiano warty; do takich wsi ściągali mieszkańcy innych miejscowości. Dzięki samoobronie tysiące Polaków udało się ocalić przed śmiercią z rąk Ukraińców.

Pierwszym ośrodkiem polskiej samoobrony stała się wieś Przebraże, leżąca przy szosie do Łucka. Przed wojną liczyła ona około ośmiuset mieszkańców, w okresie walk z Ukraińcami znalazło tam schronienie około 10,5 tysiąca. Po wymordowaniu przez Niemców mieszkańców Zofiówki zwiadowcy z Przebraża natrafili w lasach Radziwiłłów i na moczarach na ukrywających się Żydów. Wiem, że jednym ze zbiegów był krawiec z Trochenbrodu z rodziną. Zabrali wszystkich do Przebraża, gdzie Żydzi ci doczekali klęski Niemców.

Na ogół Żydzi nie pili zbyt wiele alkoholu. W Zofiówce i Ignatówce byli oczywiście tacy, którzy od czasu do czasu się upijali – pamiętam, że fryzjer lubił sobie popić – ale w zasadzie nie widziało się na ulicy pijanych. Nawet w żydowskie święta [...] i to było niezwykłe, ponieważ w święta chrześcijańskie, a zwłaszcza ukraińskie, wszyscy byli pijani – Ukraińcy wypijali morze wódki i chodzili pijani po ulicy. A Żydzi może i popijali w swoje święta, ale nigdy nie widziałem ich upitych.

W Zofiówce mieszkało niewielu Polaków. To byli dobrzy ludzie, nie zatruci antysemityzmem w żadnej postaci. Ludzie tacy jak na przykład posterunkowy zdecydowali się żyć wśród Żydów i żyli wśród nich. W zgodzie. Ja natomiast byłem jedynym nieżydowskim dzieckiem i wychowywałem się w otoczeniu żydowskich rówieśników.

Byłem jednym z nich, ale pewne sprawy wyglądały dla mnie inaczej niż dla pozostałych dzieci w Zofiówce. Mieliśmy na przykład choinkę na Boże Narodzenie i zapraszaliśmy do naszego domu wszystkie dzieci, aby ją obejrzały, dotknęły, powąchały, ponieważ te dzieci nie miały innej możliwości zobaczenia czegoś podobnego. Dla większości z nich była to prawdziwa atrakcja. Byłem więc dla nich kimś, kto się od nich różni, ale ja uważałem swoich kolegów za zupełnie zwykłe dzieci.

Panas Mudrak

Panas urodził się w 1926 roku we wsi Domaszów koło Trochenbrodu i wraz z rodziną mieszka tam do dziś.

Gdy miałem jedenaście czy dwanaście lat, chodziłem z ojcem do Zofiówki sprzedawać i kupować różne rzeczy. Później, w czasie wojny, po wymordowaniu mieszkańców, musiałem oczywiście tam chodzić, ponieważ co najmniej jeden mężczyzna z każdego gospodarstwa musiał pracować przez pięć dni przy opróżnianiu i rozbiórce domów. Pracowałem razem z ojcem.

Przed wojną w mieście była jedna ulica, a na niej mnóstwo zakładów i sklepów, można było kupić wszystko. Był taki bardzo bogaty gość, Szwarc, który wyrabiał skóry na buty i ubrania.

Pamiętam urząd pocztowy, zakład mleczarski, gdzie wyrabiano między innymi masło, garbarnię. Produkty sprzedawano na targach, w różne dni odbywały się targi na poszczególne rodzaje produktów. Wielu ludzi z Zofiówki kupowało i sprzedawało, mało kto mógł utrzymać się z uprawy ziemi, chodzili więc do Ołyki i innych miast na handel.

Pamiętam, że gdy przyszli Niemcy, w 1942 roku zaczęli zabijać ludzi w Jaromlu. Byłem dzieckiem, Jaromel był daleko, ale rodzice bali się o nasze życie. Żydzi musieli nosić na ubraniach, z przodu i z tyłu, specjalne żółte naszywki, żeby można ich było łatwo rozpoznać. Ludzie nazywali ich „Jud".

Wiera Szuliak

Wiera urodziła się w 1928 roku. Wcześnie straciła rodziców, wychowywali ją dziadkowie. Dziadek był leśniczym, Wiera spędziła pierwsze lata życia w leśniczówce. Później przeprowadziła się do Józefina, a następnie, wraz z wujem, Ukraińcem żonatym z Polką, do polskiej wsi Przebraże. Sowieci zmienili nazwę wsi na Gajowe. Wiera wciąż tam mieszka.

Miałam jedenaście lat, gdy zaczęła się wojna. Najpierw zabijano Żydów. Niemcy zniszczyli Zofiówkę.

Dziadkowie zabierali mnie do Zofiówki, ponieważ było tam dużo sklepów, można było kupić mnóstwo rzeczy, różne wyroby ze skóry, nawet futra. Ludziom, którzy robili te rzeczy, Niemcy pozwolili pożyć dłużej. Najpierw zabijali tych, którzy nie wyrabiali rzeczy mających dla nich wartość, w końcu jednak zabili wszystkich.

W Zofiówce można było kupić buty, ubrania, najróżniejsze towary; była tam nawet restauracja. Ludzie z całej okolicy tu kupowali wszystko, czego potrzebowali. Gdy wybuchła wojna, możliwości było nawet więcej, z powodu uchodźców. Pojawili się na przykład zegarmistrze i dentyści.

Pamiętam dwóch mężczyzn z Trochenbrodu, którzy zatrzymywali się w naszym domu. Pierwszy to Czarny Moszko, nazywany tak z powodu długiej czarnej brody. Czarny Moszko sprzedawał chleb. Nosił dużą torbę z chlebem i przychodził do mojej wsi, żeby go sprzedać.

Drugi mężczyzna, który zatrzymywał się w naszym domu, miał, sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat, rude włosy; z jego paszportu wynikało, że jest Polakiem albo Ukraińcem, a nie Żydem. Gdy zaczęły się mordy, wiedział, że musi uciekać, i przyszedł do nas się pożegnać. Płakaliśmy, ponieważ naprawdę bardzo go lubiliśmy i żałowaliśmy, że musi zniknąć.

Większość młodych mężczyzn w Zofiówce goliła się, starsi mieli brody, tak jak Czarny Moszko. Pewnego razu widziałam, jak Czarny Moszko owija się kawałkiem materiału. Chciałam go zapytać, co robi, ale matka zakazała mu przeszkadzać; powiedziała, że on się modli.

Nie było różnic między ludźmi – Żydami, Polakami, Ukraińcami – jeśli chodzi o ubranie. Przed wojną żyliśmy ze sobą bardzo zgodnie. Nie miało znaczenia, czy jest się Polakiem, Żydem czy Ukraińcem. Ale za okupacji niemieckiej zaczęło dziać się coś strasznego. Najpierw zabili Żydów koło Jaromla; słyszeliśmy ich krzyki, lamenty, płacz. To było potworne – tu, w tym miejscu słyszeliśmy ich głosy. A potem, w 1943 roku, wybuchła nienawiść między Polakami a Ukraińcami i zaczęli się nawzajem zabijać. Zorganizowaliśmy w Przebrażu samoobronę; w innych wsiach nienawiść trwała, dlatego podpalały się nawzajem. To była wina Niemców, to oni popchnęli ludzi do mordowania się.

Szmulik Potasz

Szmulik Potasz urodził się w 1920 roku w Trochenbrodzie. Opuścił miasto w 1939 roku, wkrótce po wkroczeniu Sowietów, i przez następne dziesięć lat wędrował do miejsca, które ostatecznie stało się państwem Izrael. Szmulik mieszka w Herzlii, na północ od Tel Awiwu.

Często w środku nocy myślę o Trochenbrodzie. Pamiętam każdy dom, jeden po drugim. Do kogo należał, kto był głową rodziny i jakim był człowiekiem, ile osób mieszkało w tym domu, ile było dzieci i tak dalej.

Moja matka była dobrą kobietą. Do niej należało zarządzanie gospodarstwem, a mieliśmy dużo ziemi i ogromny ogród warzywny – pomidory, ziemniaki, wszystko – cztery czy pięć krów mlecznych i kilka innych, konie, kury, indyki; ona musiała zajmować się gotowaniem, praniem, sprzątaniem, szyciem – skąd brała siły na to wszystko? W piątki wstawała o trzeciej rano, aby upiec chleb na tydzień dla siedmiu osób! Gdy kończył się szabat, ubijała masło na cały tydzień. To nie wszystko. Zajmowała się jeszcze dobroczynnością. Do dziś nie rozumiem, jak to się udawało.

Życie w Trochenbrodzie było ciężkie, jednak mimo wszelkich uciążliwości tęsknię za nim. Oczywiście nie da się go porównać z życiem dzisiejszym, ale miało jedną niezwykłą cechę – poczucie wspólnoty, którego mi brakuje. My, młodzież, tańczyliśmy razem, śpiewaliśmy, słuchaliśmy odczytów, dyskutowaliśmy o ideach; dawało nam to poczucie spełnienia i satysfakcji, o którym dzisiejsi młodzi ludzie nie mają pojęcia – jaką można mieć satysfakcję z włóczenia się po centrum handlowym?

Szoel Rojtenberg

Szoel urodził się w Trochenbrodzie w 1922 roku i wyjechał wraz rodziną z miasta, gdy miał osiem lat. Pierwszym etapem podróży była Portugalia, gdzie mieszkali jego krewni, a następnym Brazylia, gdzie Szoel mieszka do dziś w São Paulo. Rodzina Rottenbergów była bardzo uboga, dlatego Szoel mówi, że nie ma dobrych wspomnień z dzieciństwa w Trochenbrodzie.

Mój ojciec był głównym rabinem mianowanym przez władze polskie, przez marszałka Józefa Piłsudskiego, a jego zadaniem było prowadzenie ksiąg metrykalnych urodzin, śmierci i tak dalej. Ludzie mieli płacić za jego usługi, ale zwykle tego nie robili. Dlatego moi rodzice i ich ośmioro dzieci mieli bardzo mało pieniędzy.

Należał do nas duży kawałek ziemi po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko naszego domu; dzierżawiliśmy go ludziom na pastwiska. Za domem był duży

warzywnik, gdzie rosły ziemniaki i marchew, a także jabłonie, grusze i inne drzewa.

Znałem całą ulicę Trochenbrodu i nigdy nie wyjeżdżałem z miasta.

Było tam kilka jatek, ale tylko jedna rzeźnia. Ojciec jednego z moich przyjaciół miał skład materiałów budowlanych, gdzie można było kupić materiały potrzebne do remontu czy rozbudowy domu.

Zimą panowały mrozy, musieliśmy chodzić opatuleni, bardzo ciepło ubrani. Czasami spaliśmy przy piecu, żeby nie zmarznąć. Zimą sami robiliśmy sobie łyżwy – drutem przywiązywaliśmy do butów deseczki i „jeździliśmy na łyżwach" po ulicy, całą grupą chłopców.

Pamiętam człowieka – goja – który przywoził do Trochenbrodu owoce furmanką. Owoce na wozie przykrywał płachtą, ale kilka zostawało na wierzchu, aby klienci widzieli, co jest do kupienia. Z grupą przyjaciół otaczaliśmy wóz i próbowaliśmy podkraść owoce. Handlarz nas przeganiał, czasem używając bata. Pewnego razu uderzył mnie batem w ramię i plecy. Mój starszy brat wpadł we wściekłość i przewrócił wóz. Wtedy przyszedł policjant, goj. Brat miał małego psa, który rozszczekał się na policjanta, a ten, rozzłoszczony, wyciągnął broń i zaczął strzelać do psa. Brat złapał policjanta za rękę i został postrzelony w dłoń. Nie było szpitala; policjant po prostu owinął mu rękę kawałkiem białego materiału.

Ktoś namówił mojego ojca, aby zmienił w księdze metrykalnej wiek młodej dziewczyny z szesnastu na osiemnaście lat, tak aby mogła legalnie wyjść za mąż. Przyłapano go – doniósł na niego ojciec dziewczyny – stracił więc uprawnienia i miał pójść do więzienia. Rodzice i ja wyjechaliśmy wtedy z miasta i w końcu dotarliśmy tu, do Brazylii; to dlatego żyję, nie zostałem zabity jak ci, którzy pozostali.

Jewgienia Szwardowskaja

Jewgienia urodziła się w Trochenbrodzie w 1925 roku. Miała szesnaście lat, gdy wraz z rodziną uciekła do lasu w czasie masowych mordów. Jej doświadczenia z tego okresu przypominają te, które stały się udziałem Basi-Ruchli Potasz. Rodzinę Jewgienii odnaleźli partyzanci; ona sama zakochała się w jednym z nich, wyszła za niego za mąż i zamieszkała w Łucku, gdzie mieszka do dziś. Jewgienia

jest kuzynką Basi-Ruchli Potasz.

Należałam do syjonistycznej organizacji Bejtar. W Bejtarze dużo się działo, urządzaliśmy między innymi imprezy taneczne i muzyczne. Miałam przyjemne życie w otoczeniu rodziny i przyjaciół.

W naszym domu od frontu mieszkała rodzina, która piekła dla całego miasta macę na Pesach. Do domu przylegało specjalne pomieszczenie, w którym świętowaliśmy Sukot. Przez zrobiony z gałęzi dach widać było gwiazdy.

Stosunki między Żydami, Polakami i Ukraińcami układały się dobrze. Polacy robili zakupy w trochenbrodzkich sklepach. Ukraińcy z okolicznych wsi również tu kupowali.

Gdy przyszli Niemcy, od pierwszego dnia zaczęli zabijać. Zaczęli nas gnębić, ponieważ nie mieliśmy prawa żyć. Oznaczyli domy żydowskimi gwiazdami. Nie mieliśmy prawa chodzić po ulicy. Ukrywaliśmy się. Zabierali nam wszystko, zwłaszcza rzeczy wartościowe.

Wykopali doły koło Jaromla. Potem kazali wszystkim zabrać jedzenie na trzy dni, wyjść z domów i iść z nimi. Ludzie zabierali wszystko, co dało się zabrać do ciężarówek. W dołach wszystkich zabili.

Mój ojciec i jego brat przewidywali, co się stanie, dlatego zbudowali fałszywe ściany w szopach za domami, żeby nas ukryć. Późnym wieczorem wszyscy uciekliśmy do lasu. Potem poszliśmy do sąsiedniej wsi, do domu polskiego znajomego mojego ojca, Wasyla, który pozwolił nam przenocować. Kazał nam jednak opuścić jego dom, nie chciał ryzykować życia, ponieważ miał dwóch synów.

Ukrywaliśmy się w lesie przez półtora roku. Nocami pewni ludzie, na przykład Wasyl, przynosili nam jakieś jedzenie. Czasami pozwalali nam zbierać coś do jedzenia ze swoich pól. Wiosną 1944 roku znaleźli nas partyzanci i zaopiekowali się nami. Gotowaliśmy im, czyściliśmy ubrania. Zaprzyjaźniliśmy się z nimi. Wszyscy już nie żyją. Ostatnio zmarł Aleksander Feliuk. Niektórzy z tych partyzantów pochodzili z Kłobuczyna. Niektórzy byli Żydami, jak Chaim Wotczyn i Gad Rosenblatt, którzy wyjechali do Izraela.

Trzy Ukrainki

W czerwcu 2008 roku natknąłem się we wsi Horodyszcze na trzy kolorowo ubrane starsze kobiety siedzące na ławeczce przed domem w bocznej uliczce wioski. Horodyszcze leży 6,5 kilometra na południowy wschód od Trochenbrodu, za lasem Radziwiłłów. Kobiety podały mi tylko swoje imiona i patronimiki – Sofia Panasiwna, Liubow Iwaniwna i Ustyma Denisiwna. Gdy zacząłem pytać o Trochenbrod, bardzo się ożywiły. Mówiły szybko, jedna przez drugą, uzupełniając, komentując, potwierdzając nawzajem swoje słowa – najwyraźniej znały się bardzo długo. Oto co mniej więcej powiedziały:

Ludzie z Zofiówki przychodzili do Horodyszcza kupować bydło na skóry na wyroby skórzane. Czasami sprzedawali tu materiały na ubrania i inne rzeczy. Pewien gość z Zofiówki miał tu, w Horodyszczu, sklep. Na imię mu było Herszko. Przynosili macę – tak to nazywali – którą piekli na jedno ze swoich świąt, żeby się z nami podzielić. Była dobra, zawsze na nią czekałam.

W soboty – nazywali je szabat – nigdy nie pracowali. W szabat ktoś inny musiał więc doić ich krowy.

Moi dziadkowie zabierali mnie do Zofiówki do łaźni.

Pamiętam, że mieli tam ładne sklepy z materiałami. Ale mieli też wszelakiego rodzaju sklepy, jakie tylko chcesz. To było naprawdę bardzo miłe miejsce. Sklepy były przy domach. Często nas tam zabierano.

Żyliśmy ze sobą dobrze, my chodziliśmy do nich, oni – do nas. Gdyby Zofiówka przetrwała, byłaby dziś większa niż Łuck. Dobrze się tam bawiliśmy. Mieszkali tam dobrzy, życzliwi ludzie.

Hanna Ciporen

Hanna urodziła się w Trochenbrodzie w 1921 roku. W 1939 roku wyjechała do Palestyny przez Wilno i tamtejszy „internat". Do Palestyny dotarła w 1941 roku. Hanna mieszka w Giwatajim, mieście na wschód od Tel Awiwu.

Niektórzy uciekają w szeroki świat, ale zwykłym ludziom, takim jak ja, gdy w wieku siedmiu lat zaczynałam naukę w szkole, Trochenbrod wydawał się całym

światem. Dookoła rosły lasy; nie było zabawek ani gier dla dzieci, ale zawsze było co robić i gdzie się bawić.

W wieku dziesięciu czy dwunastu lat wstępowaliśmy do organizacji syjonistycznej. Ja wstąpiłam do Bejtaru. Mieliśmy programy, zebrania, prelekcje – prelekcje głównie o Erec Israel, jej geografii i dążeniu do niej. Przywódcami byli Anszel Szpielman i Tuwia Drori.

W tygodniu chodziliśmy do szkoły państwowej, ale nasi rodzice chcieli, abyśmy znali hebrajski i jidysz, umieli czytać w jidysz. Dlatego mieliśmy prywatnych nauczycieli. Świętowaliśmy szabat. Latem było naprawdę przyjemnie, chodziliśmy razem do lasu. Prowadziliśmy dyskusje z naszymi przywódcami i ćwiczyliśmy musztrę [...] lewa, prawa, lewa, prawa. Uczyliśmy się być żołnierzami i walczyć za Erec Israel.

W naszym mieście była Talmud Tora, uczyło się w niej wielu chłopców. Po jej ukończeniu chłopcy na ogół kontynuowali naukę w jesziwie w którymś z dużych miast. Dziewczynki często wysyłano na naukę handlu do pobliskich większych miast, Łucka lub Równego. Ja jeździłam do Łucka.

Mój ojciec dostarczał mąkę. W niedziele wieczorem jeździł do młyna w naszym mieście i ładował na wóz worki z mąką. Kupowały je duże rodziny, a także sklepy. Piekł też macę na Pesach. Wyrabiano ją ręcznie, ale ojciec sprowadził maszynę i pieczenie macy zaczynało się natychmiast po Purim i trwało do Pesach. Ojciec miał specjalny piec opalany drewnem, potem ciął ciasto na macę na kawałki. Pamiętam, jak bardzo fascynowało to dzieci.

Rzemieślnicy z Trochenbrodu pracowali w okolicznych wsiach. Nocowali tam, a w piątki wracali do domów. Po wsiach chodzili również wszelkiego rodzaju ludzie interesów. Był na przykład taki, który zbierał w okolicy włosie potrzebne do wyrobu pędzli. Dostarczał je komuś w Trochenbrodzie, kto to włosie odpowiednio przygotowywał i sprzedawał je następnie w Łucku i Równem firmom wyrabiającym pędzle.

Mieliśmy też mleczarnie. Wiele rodzin hodowało jedną czy dwie krowy; dostarczały one mleko do mleczarni, a tam robiono z niego ser, śmietanę, masło. Wyroby mleczarskie sprzedawano w Łucku, a nawet w Równem. Były też garbarnie i zakłady przygotowujące skóry, które sprzedawano na obuwie. Tutejsi cieśle pracowali w okolicznych wsiach, a w warsztatach stolarskich w Trochenbrodzie ludzie zamawiali meble. Byli budowniczowie domów i dekarze,

którzy pokrywali domy zarówno dachami z drewnianych gontów, jak strzechami. Działały dwie lub trzy tłocznie oleju; chłopi z okolicy przynosili tam nasiona do tłoczenia. Olej sprzedawano też w sklepach spożywczych, kupowali go mieszkańcy pobliskich miejscowości.

Ludzie ładnie się ubierali; mężczyźni nosili garnitury w stylu zachodnim. Nikt nie ubierał się jak chasydzi. Mój ojciec, na przykład, chodził do synagogi w garniturze, jak w mieście. Wszyscy, niezależnie od tego, czy byli religijni, czy też nie, chodzili do *szul* i obchodzili żydowskie święta. Mieliśmy kilku komunistów, którzy w piątkowe wieczory wychodzili na dwór z papierosami w rękach, a ludzie szydzili z nich, wołając: „Pali się, pali się!".

Nie mieliśmy nic wspólnego z Polakami i Ukraińcami. Przychodzili tu tylko w interesach, kupowali i sprzedawali. [...] Pamiętam, że babka mojego ojca chodziła z mężem po wsiach i skupowała rozmaite produkty na sprzedaż, jajka i tak dalej, a później chłopi przychodzili do nas kupować jakieś towary. Nie czuło się nienawiści, ale czasami... W niedziele goje szli przez Trochenbrod do swojego kościoła. I czasem, pamiętam zwłaszcza jeden raz, urządzali nam mały pogrom. Być może też nie byliśmy bez winy. Może jako dzieci wykrzykiwaliśmy coś do nich i przeszkadzaliśmy im w czasie drogi. Nie przyjaźniliśmy się, ale stosunki były poprawne.

Do zimy musieliśmy się przygotować. Ludzie, którzy mieli piwnicę pod domem, gromadzili i przechowywali tam na przykład kartofle. Ci, którzy nie mieli piwnicy, kopali dół w ziemi, wrzucali kartofle i przykrywali słomą oraz ziemią. Na Pesach potrzeba było dużo kartofli, a zimą nie rosły. Nie zawsze się udawało. Czasem mróz sprawiał, że kartofle były nie do użytku. Przygotowanie różnego rodzaju żywności, dzięki której dawało się przetrwać zimę, zawsze wymagało ogromnego wysiłku.

Naprawdę smutne, że z Trochenbrodu nic nie pozostało. Wyjechałam z miasta w 1939 roku. Nigdy nie wierzyłam, że nie pozostał żaden ślad, dopóki nie zobaczyłam na własne oczy. To bardzo boli. W Trochenbrodzie – i mówię to nie dlatego, że tam się urodziłam – dorastała wspaniała młodzież, cudowni ludzie. Całe pokolenie [...] byliśmy radośni, niezgorzkniali. Sądzę, że sprawiły to młodzieżowe ruchy polityczne; to one dały nam świadomość celu i poczucie sensu. Ci młodzi ludzie byli idealistami. Trochenbrod był żydowskim miastem. To było niezwykłe. Wyjątkowe.

SŁOWNICZEK TERMINÓW HEBRAJSKICH I ŻYDOWSKICH

Bałaguła (hebr. *baal agala*) – woźnica, właściciel furmanki.

Baruch ata Adonaj Elohejnu melech ha-olam... – początkowe słowa wielu żydowskich modlitw: „Błogosławiony Panie, Boże nasz, Królu Wszechświata...".

Bejtar – prawicowa syjonistyczna organizacja młodzieżowa kładąca nacisk na samoobronę.

Chała, chałka (jid. *chałe*, hebr. *challa*) – słodka bułka w kształcie zaplecionego warkocza, tradycyjnie jedzona przez Żydów w szabat i święta.

Chaluc – pionier, zwłaszcza żydowski osadnik w Palestynie, który osiedlił się tam, aby zapoczątkować tworzenie państwa żydowskiego na tych terenach.

Chanuka (jid. *Chanike*) – Święto Poświęcenia nazywane też Dniem Ognia lub Świętem Świateł, ośmiodniowe święto żydowskie upamiętniające ponowne poświęcenie sprofanowanej świątyni jerozolimskiej i zwycięstwo Machabeuszy w II wieku p.n.e. Święto jest ruchome, obchody przypadają na czas Adwentu i Bożego Narodzenia.

Chanukowe pieniądze (jid. *Chanike-gełt*) – monety wręczane dzieciom z okazji święta Chanuki.

Chazan – kantor.

Cheder (hebr. – pokój, izba) – szkoła religijna dla chłopców, w której nauczano na poziomie elementarnym, nauka zwykle odbywała się w domu nauczyciela.

Cyces (jid., hebr. *cicit*) – frędzle w rogach tałesu, chusty modlitewnej.

Cymes (jid. – coś dobrego) – słodka potrawa przyrządzana z różnych składników, takich jak marchewka, suszone owoce, podawana podczas uroczystych posiłków.

Czulent (jid. *czolut*) – wolno duszona potrawa z mięsa i warzyw przygotowywana na szabat i trzymana w ciepłym piecu, ponieważ podczas szabatu

zakazane było rozpalanie ognia.

Drejdł (jid. – bączek) – drewniany czworoboczny bąk z literą hebrajską na każdym boku, którym bawiono się podczas święta Chanuki.

Ecel – Narodowa Organizacja Wojskowa działająca w Palestynie; walczyła z Brytyjczykami i Arabami.

Erec Israel (hebr. Ziemia Izraela) – nawiązująca do Ziemi Obiecanej nazwa terytorium, które miało stać się ojczyzną Żydów.

Goj (jid., hebr. – naród, lud) – nie-Żyd, niewierzący Żyd.

Kaper – osoba porywająca lub kaptująca młodych ubogich Żydów do służby w armii carskiej w zastępstwie synów bogatych Żydów.

Kapote (jid.) – kapota, chałat, tradycyjne okrycie wierzchnie ortodoksyjnych Żydów.

Kichel – kruche ciastko.

Kidusz (hebr. – uświęcenie) – modlitwa odmawiana nad kielichem wina na rozpoczęcie szabatu.

Latkes (jid.) – placki ziemniaczane, tradycyjna potrawa na święto Chanuki.

Maca (hebr.) – cienki placek z przaśnego ciasta spożywany podczas Pesach.

Mełamed (hebr.) – nauczyciel w chederze, opłacony przez gminę.

Micwa (hebr.) – przykazanie, dobry uczynek w oczach Boga.

Pesach (hebr. pominięty, oszczędzony) – najważniejsze i najstarsze święto żydowskie.

Purim (hebr.) – Święto Losów obchodzone na pamiątkę ocalenia Żydów perskich z rąk Hamana, przypadające na miesiąc przed Pesach.

Seder (hebr.) – rytualna wieczerza w Pesach, spożywana w domu, w kręgu rodziny w pierwszą noc święta.

Szabat (jid. *szabes*) – świąteczny dzień odpoczynku, rozpoczynający się w piątek wieczorem, a kończący o zachodzie słońca w sobotę.

Szabes-goj (hebr.) – goj, który w wykonywał w szabat prace takie, jak podtrzymywanie ognia i dojenie krów, ponieważ religia zabrania Żydom wszelkiej pracy w ten dzień.

Szalom alejchem (hebr.) – „Pokój z tobą", początkowe słowa hymnu, odmawianego w szabas po powrocie z synagogi.

Szoa (hebr.) – Holokaust, Zagłada.

Sztetl (jid. *sztetl*) – miasteczko w Europie Wschodniej zamieszkane głównie przez Żydów przestrzegających nakazów religii i wiernych tradycyjnym wartościom. Trochenbrod również tak określano.

Szul (jid.) – szkoła i synagoga.

Suka (hebr.) – prowizoryczny szałas stawiany na Święto Szałasów (Namiotów).

Sukot (jid., hebr. Sukes) – związane ze żniwami jesienne Święto Szałasów (Namiotów), podczas którego posiłki jedzono w szałasach; przez ich prowizorycznie wykonane dachy można było oglądać gwiazdy.

Szojchet (jid.) – rzeźnik rytualny.

Talmud Tora – wieloklasowa żydowska szkoła dla chłopców, w której studiowano najważniejsze judaistyczne teksty religijne.

KALENDARIUM

1791 – Katarzyna Wielka ustanawia „strefę osiedlenia” dla Żydów chcąc powstrzymać migrację polskich Żydów na ziemie rdzennie rosyjskie; ostatecznie rozciągała się ona od Bałtyku do Morza Czarnego.

1795 – Trzeci rozbiór Polski; polskie kresy wschodnie z Wołyniem.

1804 – Car Aleksander I wydaje „Statut o urządzeniu Żydów” pozwalający Żydom mieszkać tylko w większych miastach strefy osiedlenia. Statut zwalnia też od wysokich podatków i innego rodzaju restrykcji Żydów, którzy podejmą się uprawy nieużytków. W następnych latach pierwsze rodziny żydowskie osiedlają się na bagnistej polanie zwanej Brodem Trochima.

1813 – W Trochenbrodzie rodzi się pierwsze dziecko.

1820 – Grupa żydowskich rodzin z okolicznych miast dołącza do pierwszych osadników z Trochenbrodu.

1827 – Car Mikołaj I wydaje ukaz nakazujący pobór młodych Żydów w wieku od 12 do 18 lat do wojska; służba żołnierska miała trwać 25 lat. Od poboru zwolnieni są chłopi uprawiający nieużytki. Do Trochenbrodu napływa kolejna fala osadników wykupujących ziemię.

1828 – Mniej więcej w tym czasie 21 rodzin menonitów zakłada w pobliżu Trochenbrodu wsie Józefin i Zofiówka. Siedem lat później opuszczają swoje gospodarstwa.

1835 – Mikołaj I wydaje Prawo o Żydach, nakazujące wszystkim Żydom wiejskim zamieszkanie w uznawanych przez władze „koloniach” rolniczych, posiadanie paszportów i przepustek podróżnych. Trochenbrod staje się oficjalnie żydowską kolonią i otrzymuje nazwę opuszczonej wsi menonitów – Zofiówka.

1837 – W pobliżu Trochenbrodu powstaje żydowska kolonia rolnicza Ignatówka, zwana też Łożyszczem.

1850 – Zakaz noszenia ubioru chasydzkiego. W Trochenbrodzie stopniowo zmniejszają się wpływy chasydyzmu, ale mieszkańcy pozostają wierni nakazom religii.

1865 – Ukaz carski pozwala Żydom zamieniać status chłopa na status mieszczanina bez konieczności sprzedawania ziemi. Żydzi z Zofiówki składają petycję, Zofiówka otrzymuje status miasta; Ignatówka pozostaje kolonią.

1880 – W Trochenbrodzie zaczyna się rozwój gospodarczy; miejscowość staje się regionalnym ośrodkiem handlu. Proces ten trwa do pierwszej wojny światowej.

Pierwsi emigranci z Trochenbrodu wyjeżdżają do Stanów Zjednoczonych.

1882 – Car Aleksander II ustanawia represyjne, antyżydowskie „prawa tymczasowe", określające miejsce zamieszkania Żydów, ich dostęp do wyższego wykształcenia i poszczególnych zawodów. Prawa te pozostają w mocy do 1917 roku i stają się jedną z przyczyn masowej emigracji Żydów z Rosji.

1885 – Zaczyna się emigracja z Zofiówki, trwająca nieprzerwanie do 1940 roku z wyjątkiem lat pierwszej wojny światowej. Mieszkańcy Trochenbrodu wyjeżdżają do Ameryki Północnej i Południowej, a po pierwszej wojnie także do Palestyny.

1887 – Liczba mieszkańców Zofiówki i Ignatówki dochodzi do 6 tysięcy. W Trochenbrodzie rozwija się drobna wytwórczość. W gospodarce całej strefy osiedlenia coraz większą rolę odgrywa produkcja przemysłowa.

1904 – Wybuch wojny rosyjsko-japońskiej sprawia, że z obawy przez poborem do wojska nielegalnie emigruje wielu mieszkańców Trochenbrodu.

1914 – Wybucha pierwsza wojna światowa. Trochenbrod leży na linii frontu między armiami Austro-Węgier i Rosji; żołnierze dopuszczają się grabieży, gwałtów, morderstw i zmuszają mieszkańców do niewolniczej pracy; panuje głód i szerzą się choroby.

1917 – Rewolucja październikowa, w Rosji przejmują władzę bolszewicy.

1918 – Koniec pierwszej wojny światowej. Rosja Radziecka natychmiast rozpoczyna walkę z Polską o terytoria. Trochenbrod znów zostaje spustoszony.

1921 – Trochenbrod znajduje się w granicach Polski. Liczba mieszkańców ponownie wzrasta.

1925 – Książę Radziwiłł zaczyna budowę katolickiego kościoła na skraju Trochenbrodu, mającego służyć Polakom z okolicznych wsi.

– Trochenbrod prężnie się rozwija i zaczyna odzyskiwać pozycję regionalnego ośrodka handlu.

1929 – Zofiówka zostaje opisana w *Ilustrowanym przewodniku po Wołyniu* i uwzględniona w *Księdze adresowej Polski*, przewodniku po polskim biznesie.

1933 – Wielu wychodźców z Trochenbrodu, którzy osiedli w Stanach Zjednoczonych, przyjeżdża z wizytami do krewnych w tym mieście. Wizyty trwają również w roku następnym.

1934 – Hitler jako kanclerz i Führer Niemiec wyrasta na jednego z najpotężniejszych polityków w Europie.

1938 – W Trochenbrodzie odbywa się pierwsze szkolenie wojskowe członków Ecelu.

1939 – Wiosną odbywa się uroczystość przecięcia wstęgi na pierwszym utwardzonym odcinku ulicy Trochenbrodu. Miasto ma już elektryczność, telegraf i telefon, dochodzą gazety z Warszawy, dojeżdża kino objazdowe, na ulicy widać rowery, a niekiedy nawet samochody. Trochenbrod rozwija się i unowocześnia.

– Sierpień – Niemcy i ZSRR podpisują pakt Ribbentrop-Mołotow.

– Wrzesień – Niemcy i ZSRR napadają na Polskę i dzielą między siebie jej terytorium. Zaczyna się druga wojna światowa. Trochenbrod znajduje się pod władzą radziecką.

1941 – Liczba mieszkańców Trochenbrodu i Łożyszcza przekracza 6 tysięcy; jest to skutek wzrostu gospodarczego w okresie międzywojennym oraz napływu uchodźców z zachodnich terenów Polski po najeździe niemieckim.

– 22 czerwca – Najazd niemiecki, Sowieci wycofują się ze wschodnich ziem polskich, Trochenbrod wpada w ręce niemieckie. Mieszkańcy są prześladowani i zastraszani przez Niemców i współpracującą z nimi policję ukraińską.

1942 – 11 sierpnia odbywa się pierwsza *Aktion*. Większość Żydów

z Trochenbrodu i Łożyszcza zostaje wywieziona do lasów koło Jaromla i wymordowana.

– 21 września – druga *Aktion*. W święto Jom Kipur wszyscy mieszkańcy trochenbrodzkiego getta, w tym wiele osób, które uciekły w czasie pierwszej *Aktion*, a potem wróciły, by pomodlić się z krewnymi i rodakami, padają ofiarą masowego mordu dokonanego w tym samym miejscu, co poprzedni.

– Grudzień – Zamordowanie ostatnich mieszkańców Trochenbrodu, około dwudziestu rzemieślników wytwarzających wyroby skórzane.

1950 – Ocalały mieszkaniec Trochenbrodu, obecnie zamieszkały w Łucku, relacjonuje, że odwiedził miejsce, gdzie znajdował się Trochenbrod, i nie znalazł żadnych śladów jego istnienia.

ŹRÓDŁA

A Grandfather's Memories (Wspomnienia dziadka). Wspomnienia Morrisa Wolfsona opowiedziane wnuczce, Geri Wolfson Fuhrmann, w listopadzie 1974 roku i złożone przez nią w grudniu tego roku jako praca semestralna profesorowi Solowi Gittlemanowi, wykładowcy literatury żydowskiej na Tufts University. Rękopis przekazała mi w 2008 roku Laura Praglin, kuzynka Geri Wolfson Fuhrmann; Laura i Geri dostarczyły mi następnie taśmę i CD z nagraniem całego wywiadu oraz uzupełniające go materiały. Morris (Mosze) Wolfson był synem Wolfa Schustera, szewca z Trochenbrodu. Wolf emigrował do Stanów Zjednoczonych, a w 1912 roku sprowadził tam syna. Gdy podczas załatwiania formalności paszportowych zapytano go o imię ojca, Mosze odpowiedział, że jest synem Wolfa – paszport otrzymał na nazwisko Wolfson, które pozostało odtąd nazwiskiem jego rodziny.

Nachum Kohn i Howard Roiter, *A Voice from Forest: Memoirs of a Jewish Partisan* (Głos z lasu. Wspomnienia żydowskiego partyzanta), Holocaust Library, New York 1980. Po najeździe niemieckim Nachum Kohn, podobnie jak wielu polskich Żydów, uciekł na wschodnie ziemie Rzeczypospolitej i ostatecznie trafił do Trochenbrodu. Po kilku miesiącach opuścił miasto i zorganizował w sąsiednich lasach oddział partyzancki złożony z młodych trochenbrodzian. Kohn działał w okolicy Trochenbrodu, a po wojnie osiadł w Kanadzie.

And I Still See Their Faces. Image of Polish Jews. I ciągle widzę ich twarze. Fotografia Żydów polskich, wyd. Fundacja Shalom, Warszawa 1997. W 1994 roku amerykańsko-polsko-izraelska Fundacja Shalom ogłosiła, że poszukuje zdjęć polskich Żydów sprzed Holokaustu. Nadeszło ponad siedem tysięcy zdjęć z notkami o przedstawionych na nich osobach. Komisja wybrała zdjęcia, redaktorzy opracowali notki i w rezultacie powstał ten piękny i poruszający album. Jak wspominałem w Epilogu, dzięki niemu spotkali się po latach Basia-Ruchla Potasz i Ryszard Lubiński, ja zaś zdobyłem większość z publikowanych w tej książce zdjęć Trochenbrodu z lat trzydziestych.

Tuvia Drori, *Ani Ma'amin: Eidut V'Hagot* (Wierzę. Świadectwo i rozmyślania), Yair Publications, Tel Awiw 1994. Autor dał mi hebrajskie wydanie z roku 1997. Rękopis przetłumaczył na język angielski Joseph Blau, a egzemplarz tłumaczenia otrzymałem w 1998 roku od mieszkającego w Potomac w stanie Maryland Marvina Perlmana, którego rodzina pochodzi z Trochenbrodu. Cytaty w tej książce zostały zaczerpnięte z angielskiego przekładu. W *Ani*

Ma'amin znalazłem odsyłacz do wydanej w języku hebrajskim książki Jacoba Banai *Anonymous Soldiers* (wyd. Friends, Tel Awiw 1978), gdzie autor wspomina szkolenie wojskowe członków organizacji Ecel w Trochenbrodzie w 1938 roku.

Gad Rosenblatt, *Esh Achazah B'ya'ar* (Las w ogniu), wyd. Ha-Kibic ha-Meuchad, kibuc Lochamej ha-Getaot; pierwsza edycja 1957, druga poprawiona 1976. Swobodny przekład na język angielski udostępnili mi w 2008 roku Burt i Ellen Singermanowie.

Ustalenia komisji dokumentującej zbrodnie faszystowskie – raport miejscowej komisji powołanej przez władze radzieckie, luty 1945. Raport, sporządzony na podstawie zeznań świadków Holokaustu w okolicy Zofiówki i przechowywany w Archiwum Państwowym w Łucku, daje interesujący wgląd w ocenę wydarzeń przez stronę radziecką. Przetłumaczył go dla mnie Aleksander Dunaj ze Lwowa.

Hailan V'shoreshav (Drzewo i korzenie. Dzieje Zofiówki-Ignatówki), red. Y. Vainer, T. Drori, G. Rosenblatt, A. Szpielman, wyd. w języku hebrajskim i jidysz Beit Tal, Giwatajim 1988. Bejt Tal jest organizacją skupiającą mieszkańców Trochenbrodu i Ignatówki oraz ich potomków. Hailan to „oficjalna" księga pamiątkowa Trochenbrodu; można ją obejrzeć na stronie internetowej organizacji: http://bet-tal.com.

Patrick Desbois, *The Holocaust by Bullets: A Priest's Journey to Uncover the Truth Behind the Murder of 1.5 Million Jews* (Pociski Holokaustu. Podróż księdza w celu odkrycia prawdy o wymordowaniu 1,5 miliona Żydów), Palgrave Macmillan, Nowy Jork 2008. Ksiądz Desbois opisuje swe wysiłki zmierzające do udokumentowania mordów na Żydach na Ukrainie, zwłaszcza zachodniej i południowej, dokonanych przez niemieckie oddziały specjalne, Einsatzgruppen. Niektóre ustalenia autora pomogły mi zweryfikować sprzeczne ze sobą relacje i odtworzyć prawdopodobny przebieg wydarzeń. Ksiądz Desbois działa w organizacji Yahad-in-Unum, www.yahadinunum.org.

Mieczysław Orłowicz, *Ilustrowany przewodnik po Wołyniu*, Łuck 1929. Posiadam fragment tego przewodnika, zawierający zdjęcia pejzażu wołyńskiego oraz opisy Zofiówki, Kiwerców, Rożyszcza i innych miasteczek z okolic Trochenbrodu. Nie potrafię powiedzieć, w jaki sposób fragment ten znalazł się w moim posiadaniu.

Księga adresowa Polski wraz z wolnym miastem Gdańskiem dla handlu,

przemysłu, rzemiosł i rolnictwa 1929, wyd. Towarzystwo Reklamy Międzynarodowej, Warszawa 1929. Fragment tej księgi, zawierający adresy firm na Wołyniu, między innymi w Zofiówce, przekazał mi w 1999 roku dr Yale J. Reisner z Fundacji Ronalda S. Laudera w Warszawie.

Helmut T. Huebert, *Mennonite Historical Atlas* (Atlas historyczny menonitów), wyd. 2, mapy: Helmut T. Huebert i William Schröder, Springfield Publishers, Winnipeg 1996. Fragment poświęcony Wołyniowi przesłał mi w 1998 roku Helmut T. Huebert.

Dawid Szwarc, *My Townlet – Trachenbrod: A Chain of Memories* (Moje miasteczko Trachenbrod. Łańcuch wspomnień), wyd. w języku jidysz i angielskim Elisha Press, Tel Awiw 1954. Dawid Szwarc urodził się w Trochenbrodzie w 1880 roku. Był już żonaty z Miriam, gdy w 1907 roku wyjechał sam do Stanów Zjednoczonych, zarabiać pieniądze w Columbus w stanie Ohio. Tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej wrócił do Trochenbrodu, aby zabrać żonę i dzieci do Columbus. Ponownie odwiedził rodzinne miasto, wraz z żoną, w 1934 roku. Wspomnienia spisał w roku 1939, ale wydał je w postaci broszury dopiero piętnaście lat później. Zmarł w 1960 roku, Miriam osiem lat po mężu. Miriam i Dawid Szwarcowie mieli dużą rodzinę, pozostawili wielu wnuków i prawnuków.

Szmuel Spektor, *Pinkas ha-Kehilot* (Encyklopedia wspólnot żydowskich od ich powstania do czasów po Holokauście i drugiej wojnie światowej, t. 5: Wołyń i Polesie), wyd. w języku hebrajskim Yad Vashem (Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holokaustu), Jerozolima 1990. Z tomem tym i z dodatkowymi materiałami zapoznał mnie w 2009 roku Michlean Amir, pracownik United States Holocaust Memorial Museum.

Jeanne Glass Kokol, *Russia to New Jork* (Z Rosji do Nowego Jorku). Jeanne Kokol urodziła się w Trochenbrodzie w 1913 roku jako Szajndele Ruchla Gluz. W 1921 roku emigrowała do Stanów Zjednoczonych. Wspomnienia dla rodziny spisała około 2002 roku, zmarła na Florydzie w roku 2007. Wspomnienia przekazał mi w 2008 roku Thomas C. Spear, który otrzymał je od Irvinga Kokola, syna Jeanne. Prapradziadkowie Thomasa i Irvinga byli braćmi.

Wspomnienia Szmilike Drossnera – przede wszystkim, ale nie tylko o żydowskich świętach obchodzonych w Trochenbrodzie przed pierwszą wojną światową – opowiedziane w latach siedemdziesiątych XX wieku Samuelowi Sokolowowi, który je spisał. W 2008 roku Burt i Ellen Singermanowie oraz niezależnie od niech Robbie Ross ofiarowali mi egzemplarze tej opowieści.

Zofiówka (Trochenbrod). Artykuł w języku hebrajskim złożony w archiwum Yad Vashem w Jerozolimie przez Gada Rosenblatta (zob. powyżej *Esh Achazah B'ya'ar*, Las w ogniu). Angielski przekład tego tekstu dał mi w 1998 roku Marvin Perlman (zob. powyżej *Ani Ma'amin: Eidut V'Hagot*, Wierzę. Świadectwo i rozmyślania).

Eliezer Barkai (Burak) *Trochenbrod (Zofiówka)*, hebr. „Yalkut Volyn" („Antologia Wołynia") nr 1. wyd. Archion Volyn B'Erec-Yisrael (Archiwum Wołyńskie w Palestynie) oraz Irgun Yotzei Volyn B'Erec-Yisrael (Organizacja Emigrantów z Wołynia w Palestynie), Tel Awiw, kwiecień 1945. Artykuł w wersji hebrajskiej i angielskiej można przeczytać na stronie internetowej organizacji Bejt Tal: http://bet-tal.com. Uwagę na ten tekst zwrócił mi w 1999 roku dr Yale J. Reisner z Fundacji Ronalda S. Laudera w Warszawie.

Morton L. Kessler, *Trochenbrod: The Life and Death of a Shtetl in the Ukraine* (Trochenbrod. Życie i śmierć sztetlu na Ukrainie), praca magisterska złożona na John Carroll University, Cleveland 1972. Morton Kessler, syn imigranta z Trochenbrodu, wykorzystał w niej liczne wywiady z przybyszami z Trochenbrodu osiadłymi w Stanach Zjednoczonych.

INNE ŹRÓDŁA

• Zdjęcia Trochenbrodu i jego mieszkańców, które otrzymałem od Laury Beeler, Marlene Berman, Weinera Bernhardta, Miriam Antwarg Ciocler, Betty Gold, Phyllis Grossman, Alyn Levin-Hadar, Ryszarda Lubińskiego, Burta i Ellen Singermanów, Anne Weiner, wykorzystałem też zdjęcia z *Hailan V'shoreshav* (zob. wyżej).

• Relacje o życiu w Trochenbrodzie – z pierwszej ręki lub na podstawie opowieści przodków przekazane mi przez przedstawicieli rodzin Antwarg, Blitzstein, Burak, Foer, Gilden, Gluz, Gotman, Kerman, Kimelblat, Pearlmutter, Potasz, Rojtenberg, Schuster, Szejnbein, Szames i Zucker.

• Taśmy z nagraniami dwudziestu wywiadów z osobami pochodzącymi z Trochenbrodu lub pobliskich wsi, nakręcone w Izraelu, Stanach Zjednoczonych i na Ukrainie przez ekipę Itai Tamira i Transfax Film Productions (www.tranfax.co.il) dla izraelskiej organizacji Bejt Tal (http://bet-tal.com), która uprzejmie mi je udostępniła.

• Taśmy wideo z nagraniami starszych osób wspominających życie w Trochenbrodzie, przekazane mi przez potomków tych osób.

• Mapy austro-węgierskie, niemieckie, polskie, rosyjskie, radzieckie, ukraińskie oraz amerykańskie mapy wojskowe z lat 1706–2006.

• Taśmy wideo z czterech wyjazdów do miejsca, w którym leżał Trochenbrod, zorganizowanych przez grupy z Izraela, między innymi z wizyty w 1992 roku, podczas której grupa z Izraela i dwie osoby ze Stanów Zjednoczonych ustawiły czarny marmurowy pomnik w miejscu masowego grobu.

• Wywiady z osobami urodzonymi w Trochenbrodzie, mieszkającymi obecnie w Izraelu, Brazylii, Ameryce Północnej, Polsce i na Ukrainie.

• Wywiady z wieloma Ukraińcami mieszkającymi w okolicach Trochenbrodu i pamiętającymi miasto z dzieciństwa lub młodości.

• Rozmowy z Ukraińcami, którzy mieszkają lub mieszkali we wsiach w pobliżu miejsca, gdzie leżał Trochenbrod.

• Zdjęcia i taśmy wideo przedstawiające tereny dawnego Trochenbrodu i okolic.

• Oględziny terenu podczas moich dziewięciu wypraw w te okolice w latach 1997–2009, pieszych lub ciągnikiem, w towarzystwie mego przyjaciela Iwana Podziubanczuka i jego rodziny.

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować przede wszystkim Jessice Case, mojej redaktorce z Pegasus Books. Jessica poświęciła niezliczone godziny, pomagając mi udoskonalić tekst i nadając mu możliwie najlepszy kształt. Nauczyłem się od niej bardzo wiele, a praca z nią była przyjemnością.

Drugą osobą, dzięki której dzieje Trochenbrodu mogły ujrzeć światło dzienne, był mój agent literacki Jonah Straus. Jonah od razu zrozumiał, czym jest i mogłaby być ta książka, zapalił się do mojego pomysłu i ciężko pracował nad znalezieniem właściwego wydawcy, a potem czytelników w wielu krajach. Praca z nim również była przyjemnością.

Dziękuję też Michaelowi Millmanowi, starszemu redaktorowi Praeger Publishing i wszystkim pracownikom tego wydawnictwa, którzy zachęcali mnie do pracy nad tą książką.

Zaskakujące i wspaniałe jest to, jak wiele osób zaangażowało się w moje przedsięwzięcie. Tylko dzięki ich życzliwości i pomocy zdołałem doprowadzić je do końca i przywrócić Trochenbrod do życia. Nie sposób podziękować im należycie.

W Izraelu byli to:

Michal Barry, który pomagał mi jako tłumacz z języka hebrajskiego na angielski podczas rozmów ze Szmulikiem Potaszem.

Chaim i Mira Binnenbaumowie, którzy pomogli umówić mnie na spotkania z izraelskimi rozmówcami.

Joseph Blau, który pomagał w zbieraniu materiałów i tłumaczeniu z hebrajskiego na angielski.

Hanna Ciporen, która podzieliła się wspomnieniami z Trochenbrodu i podróży z Polski do Izraela oraz zdjęciami.

Jehuda i Uri Dotan, którzy dostarczyli najważniejszy materiał zdjęciowy i wideo.

Tuwia Drori, który przez wiele lat dzielił się wspomnieniami z Trochenbrodu.

Mosze Goler, który dostarczył informacji o argentyńskiej wspólnocie emigrantów z Trochenbrodu i Ignatówki.

Sarit Harpaz, która pomogła koordynować spotkania z izraelskimi rozmówcami.

Henia Katzir, która podzieliła się opowieściami o swej rodzinie z Trochenbrodu oraz przekazała zdjęcia i informacje o początkach wspólnoty byłych mieszkańców Trochenbrodu i Łożyszcza w Izraelu, a także o powojennej działalności swego ojca, Eliezera Barkaia (Buraka).

Moti Litwak, który pomagał organizować spotkania z izraelskimi rozmówcami.

Szmuel Potasz, który opowiedział o latach spędzonych w Trochenbrodzie i podróży z Polski do Izraela.

Noam Rosenblatt, który pomagał tłumaczyć i szukać informacji dotyczących partyzanckich lat Gada Rosenblatta.

Nachman Rotenberg, który podzielił się wiedzą i opowieściami o Trochenbrodzie oraz zdjęciami.

Itai Tamir z Transfax Film Productions, który nakręcił i udostępnił ważne materiały filmowe z Izraela, Ukrainy i Stanów Zjednoczonych.

Chaim Wotczyn, który opowiedział o latach spędzonych w partyzantce.

W Ameryce Północnej i Południowej byli to:

Sol Ackman, który dostarczył dokumenty i informacje o wspólnocie byłych mieszkańców Trochenbrodu w Waszyngtonie i Baltimore.

Michlean Amir, archiwista w United States Holocaust Memorial Museum, który pomógł w poszukiwaniu materiałów źródłowych.

Laura Beeler, która dostarczyła zdjęcia rodzinne z Trochenbrodu.

Alexandra Belenkaya, która pomogła przy tłumaczeniu z polskiego na angielski.

Marvin Bendavid, mój brat, który towarzyszył mi podczas pierwszej podróży do Trochenbrodu i wspierał mnie w trakcie poszukiwań.

Naftali Bendavid, który pomagał przy filmowaniu, przeprowadzaniu wywiadów, ocenie i redakcji tekstu.

Leah Bendavid-Val, która pomagała przy filmowaniu, przeprowadzaniu wywiadów, ocenie tekstu i towarzyszyła mi w czasie wyjazdów na Ukrainę. Leah wpłynęła na ostateczny kształt książki i była bardzo pomocną partnerką w tym przedsięwzięciu, tak jak jest moją partnerką w życiu.

Oren Bendavid-Val, który pomagał przy filmowaniu, przeprowadzaniu wywiadów, ocenie tekstu, doradzał oraz podróżował ze mną na Ukrainę i Białoruś.

Marlene Berman, która przekazała zdjęcia rodzinne zrobione w Trochenbrodzie.

Doreen Berne, która dostarczyła informacji o Dawidzie Szwarcu i udzieliła pozwolenia na przytoczenie jego słów.

Charles i Marilyn Bernhardt, którzy przekazali zdjęcia rodzinne zrobione w Trochenbrodzie.

Miriam Antwarg Ciocler, która pozwoliła wykorzystać pamiątki rodzinne z Trochenbrodu oraz zdjęcia.

Anne Weber Cohen, która dostarczyła zdjęcia oraz informacje o organizacji byłych mieszkańców Trochenbrodu i ich potomków działającej w Waszyngtonie i Baltimore.

Ksiądz Patrick Desbois, który niezwykle szczegółowo objaśnił, jak działały Einsatzgruppen. (Rozmawiałem z nim w Stanach Zjednoczonych, ale siedziba jego organizacji mieści się w Paryżu – zob. www.yahadinunum.org).

Rose Blitzstein Elbaum, która dostarczyła elektroniczną wersję wspomnień Dawida Szwarca.

Ester Safran Foer, która przekazała rodzinne opowieści i zdjęcia Trochenbrodu z lat wojny i która przedstawiła mnie księdzu Desbois.

Geri Wolfson Fuhrman, która przekazała spisane wspomnienia swego dziadka i zasłyszane od niego opowieści.

Mary Lou Garbin, która dostarczyła mapy i udzieliła wskazówek badawczych dotyczących menonitów z okolic Trochenbrodu.

Betty Gold (Basia-Ruchla Potasz), która przez ponad jedenaście lat dzieliła się ze mną wspomnieniami z Trochenbrodu czasów wojny i pomogła mi nawiązać kontakt z Ryszardem Lubińskim.

Jeremy Goldscheider, który pomagał przy filmowaniu i przeprowadzaniu wywiadów.

Ronald Goldfarb, który zachęcał mnie do starań o wydanie tej książki.

Phyllis Grossman, która przekazała zdjęcia rodzinne z Trochenbrodu.

Dr Toby Hefland, który pomagał w tłumaczeniu z jidysz na angielski.

Betty Hellman (Pesia Gotman), która podzielila się wspomnieniami z Trochenbrodu.

Helmut T. Huebert, który przekazał mi mapy, wyjątki z *Mennonite Historical Atlas* i udzielił wskazówek badawczych.

Iwan Kaczanovski, który nakreślił mi sytuację w okolicach Trochenbrodu w czasie wojny i objaśnił terminy rosyjskie.

Chaim Kimelblat, który dostarczył informacji o żydowskich osiedlach w Ameryce Południowej.

Merrill Leffler, która służyła cenną pomocą przy poprawianiu rękopisu tej książki.

Alyn Levin-Hadar, która opowiedziała dzieje swej pochodzącej z Trochenbrodu rodziny i ofiarowała zdjęcia.

Andrea Liss, która ułatwiła kontakt ze swą babką Idą Liss, urodzoną w Trochenbrodzie.

Ida Gilden Liss, która podzieliła się wspomnieniami z dzieciństwa i młodości w Trochenbrodzie.

George L. Maser, którego przedwojenna mapa Trochenbrodu pomogła mi w poszukiwaniach.

Israel Milner, który dostarczył informacji o organizacji byłych mieszkańców Trochenbrodu i Łożyszcza w Filadelfii.

Laura Praglin, która dostarczyła materiały związane z historią swej rodziny i Trochenbrodu.

Szoel Rojtenberg, który podzielił się wspomnieniami z Trochenbrodu.

Burt i Ellen Singermanowie, którzy przekazali rodzinne zdjęcia zrobione w Trochenbrodzie.

Olya Smolyanowa, która służyła pomocą przy tłumaczeniu z rosyjskiego i ukraińskiego na angielski.

Gary Sokolow, który przekazał związane z Trochenbrodem zdjęcia i materiały drukowane.

Sam Steinberg, który pomagał przy tłumaczeniach z jidysz na angielski.

Anne Weiner, która przekazała związane z Trochenbrodem zdjęcia rodzinne.

Olga Zachary, która pomagała w tłumaczeniu z ukraińskiego na angielski.

Agnieszka Ziemińska, która pomagała przy tłumaczeniu z polskiego na angielski.

Eliana Zuckerman, która gościła mnie i umawiała wywiady w Rio de Janeiro.

Na Ukrainie, w Rosji i w Polsce byli to:

Michajło Demczuk, który podzielił się wspomnieniami z Trochenbrodu, a także z czasów wojny.

Ustyma Denisiwna, Liubow Iwaniwna i Sofia Panasiwna z Horodyszcza, które opowiedziały o przedwojennym Trochenbrodzie.

Aleksander Dunaj, który przez dziesięć lat był moim kierowcą, tłumaczem, researcherem, przewodnikiem, przyjacielem i towarzyszem wypraw na Ukrainę; nie poradziłbym sobie bez jego pomocy.

Anatolij Hryciuk, przewodniczący Wołyńskiej Rady Obwodowej i członkowie Rady, których gościnność oraz wsparcie urzędowe i logistyczne bardzo ułatwiły mi pracę w terenie.

Iwan Kowalczuk, który podzielił się wspomnieniami z Trochenbrodu i z lat wojny.

Anna, Ewa i Iwan Kurniewowie, oddani przyjaciele z Łucka, którzy pomogli w poszukiwaniach w terenie i zdobywaniu materiałów oraz umożliwili mi podróżowanie po Ukrainie.

Ryszard Lubiński, który podczas długich rozmów w Radomiu otwarcie i szczerze dzielił się wspomnieniami z Trochenbrodu i przekazał zdjęcia z czasów swego dzieciństwa.

Panas Mudrak, który podzielił się wspomnieniami z Trochenbrodu, także z czasów wojny.

Łojko Mykitiwna (matka Ewy Kurniewej), która podzieliła się wspomnieniami z Trochenbrodu, a także z czasów wojny.

Władysław Nakonieczny, który podzielił się swoimi wspomnieniami i przemyśleniami na temat Ukrainy w latach wojny, w czasach władzy komunistycznej i w początkach epoki postkomunistycznej.

Wiera Szuliak, która podzieliła się wspomnieniami z Trochenbrodu, a także z czasów wojny.

Sergij Omelczuk, urodzony w Łucku, który pomógł w poszukiwaniach

terenowych, organizowaniu przejazdów i pobytów, zapewnił wsparcie miejscowych władz dla przedsięwzięcia i od 2006 roku jest moim bliskim, zaufanym przyjacielem.

Iwan i Nina Podziubanczukowie, którzy wraz ze swymi dziećmi Marią i Bogdanem (ostatnio przyszedł na świat nowy członek rodziny, Ilja), wozili mnie ciągnikiem na miejsce dawnego Trochenbrodu, umawiali ze starszymi mieszkańcami Domaszowa i Jaromla, pokazywali wsie i ważne miejsca w okolicach Trochenbrodu, skontaktowali mnie z miejscowymi władzami, zdobyli i podarowali mi pamiątki z Trochenbrodu, karmili mnie przepysznymi daniami wiejskiej kuchni ukraińskiej, raczyli robioną w domu wódką i ogólnie mówiąc, przez ponad dziesięć lat byli wspaniałymi przyjaciółmi.

Yale J. Reisner, który jako dyrektor projektu genealogicznego Fundacji Ronalda S. Laudera przy Żydowskim Instytucie Historycznym w Warszawie wspaniałomyślnie dostarczył mi pierwsze związane z Trochenbrodem dokumenty, które pobudziły moją wyobraźnię i zainteresowanie.

Nikołaj Romanow, który pomógł przy tłumaczeniach z rosyjskiego na angielski.

Mejlach Szejchet, przedstawiciel społeczności Żydów lwowskich, który pomógł mi zrozumieć sytuację Żydów na wschodnich ziemiach Polski, obecnie należących do Ukrainy, w okresie przedwojennym i w czasach wojny oraz wyjaśnił przyczyny dzisiejszych trudności w odtworzeniu obrazu tamtych czasów.

Jewgienia Szwardowskaja, która opowiedziała swe wspomnienia z Trochenbrodu w miejscu, gdzie niegdyś było to miasto, w Izraelu i w Łucku.

Jankiel Szyc, który podczas moich częstych wizyt w Polsce służył mi jako kierowca, przewodnik i tłumacz.

Ilustracje

Trochenbrod dziś, widok od południa.

Miejsce w pobliżu dawnego Trochenbrodu, gdzie jeszcze dzisiaj ciągniki i wozy konne przeprawiają się przez strumień. Niewykluczone, że jest to Bród Trochima, ale nie sposób tego dowieść. *Fot. autora*.

Osady menonickie

na zachodniej Ukrainie

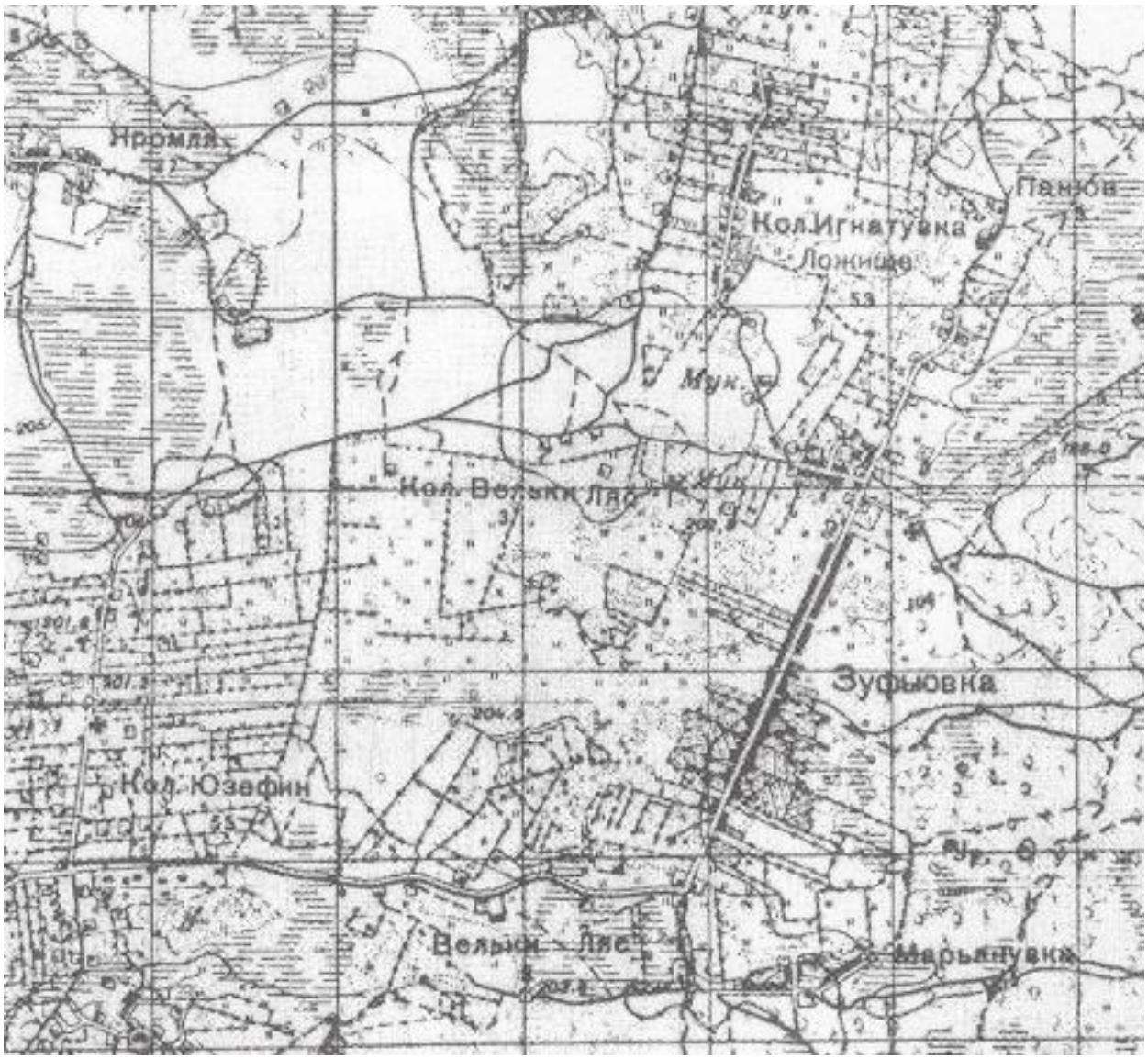

Mapa rosyjska z 1890 roku. Trochenbrod występuje tu jako „Zufiówka” i widać wyraźnie, że jest większy niż inne miejscowości w okolicy. Na północ od Zofiówki leży „Kol. Ignatówka”, z zaznaczoną drugą nazwą „Łożyszcze”; Żydzi nazywali Ignatówkę „Łożyszcz”. Na zachód od Zofiówki znajduje się założona przez menonitów „Kol. Józefin”, której mieszkańcy podpisali w czasie wojny volkslistę.

Pole w pobliżu miejsca, gdzie leżał Trochenbrod. Trzciny wskazują, gdzie biegnie strumień. Teren jest dziś osuszony, ale zdjęcie pozwala się zorientować, co zastali pierwsi osadnicy przybyli do Brodu Trochima. *Fot. autora*.

Fragment mapy osadnictwa menonickiego na zachodniej Ukrainie w XIX wieku, z *Mennonite Historical Atlas*, 1996. Menonicką wieś Zofiówka nad rzeką Horyń widać w prawym górnym rogu. Późniejsza Zofiówka i Józefin leżą na południowy zachód od niej, między rzekami Horyń i Styr, na północny wschód od Łucka. Mapę przekazał Helmut T. Huebert, jeden z autorów *Mennonite Historical Atlas*.

Widok Trochenbrodu, rycina z okładki *Hailan V'shoreshav* (Drzewo i korzenie. Dzieje Zofiówki-Ignatówki), księgi pamiątkowej Trochenbrodu i Łożyszcza, wydanej staraniem założonej w latach pięćdziesiątych XX wieku organizacji Bejt Tal, kultywującej pamięć o tych miejscowościach.

Kawałek szkła odkryty przez autora w miejscu, gdzie stała niegdyś wytwórnia szkła w Trochenbrodzie, produkująca głównie butelki na leki – dlatego szkło jest zielone.

Świecznik z Trochenbrodu, prawdopodobnie sprzed I wojny światowej; być może jeden z pary świeczników rytualnych, w których zapalano świece na powitanie szabatu. Podarowany autorowi przez Iwana Podziubanczuka.

Nakrycie macy na seder w święto Pesach, wykonane w Trochenbrodzie w 1913 roku przez Elke Anwarg do jej wyprawy ślubnej. Udostępnione przez

wnuczkę Elke, Miriam Antwarg Ciocler.

Zegar ścienny, którego obudowę wykonał w 1914 roku Michael Antwarg.

Mechanizm sprowadzono ze Szwajcarii. Antwargowie przez pokolenia byli cieślami i stolarzami. *Fot. Miriam Antwarg Ciocler*.

Kula z czasów I wojny światowej w kawałku drzewa z okolic Trochenbrodu.

Podarowana autorowi przez Iwana Podziubanczuka.

Fotografia zaręczynowa Elke i Michaela Antwargów, Trochenbrod 1913, wykonana prawdopodobnie w zakładzie w Łucku. W 1933 roku Antwargowie wyemigrowali wraz z dziećmi do Brazylii. *Fot. ze zbiorów prawnuczki Miriam Antwarg Ciocler*.

Małżeństwo Cohenów, mieszkańców Trochenbrodu, koniec XIX wieku. Zdjęcie wyretuszowane w zakładzie. *Fot. ze zbiorów praprawnuczki Laury Beeler.*

Ida-Sara i Izaak Weiner z dwiema córkami, Trochenbrod, przełom XIX i XX wieku. Syn Weinerów wyemigrował w 1906 roku do Stanów Zjednoczonych, reszta rodziny pozostała w Trochenbrodzie. *Fot. ze zbiorów praprawnuczki Miriam Weiner Bernhardt*.

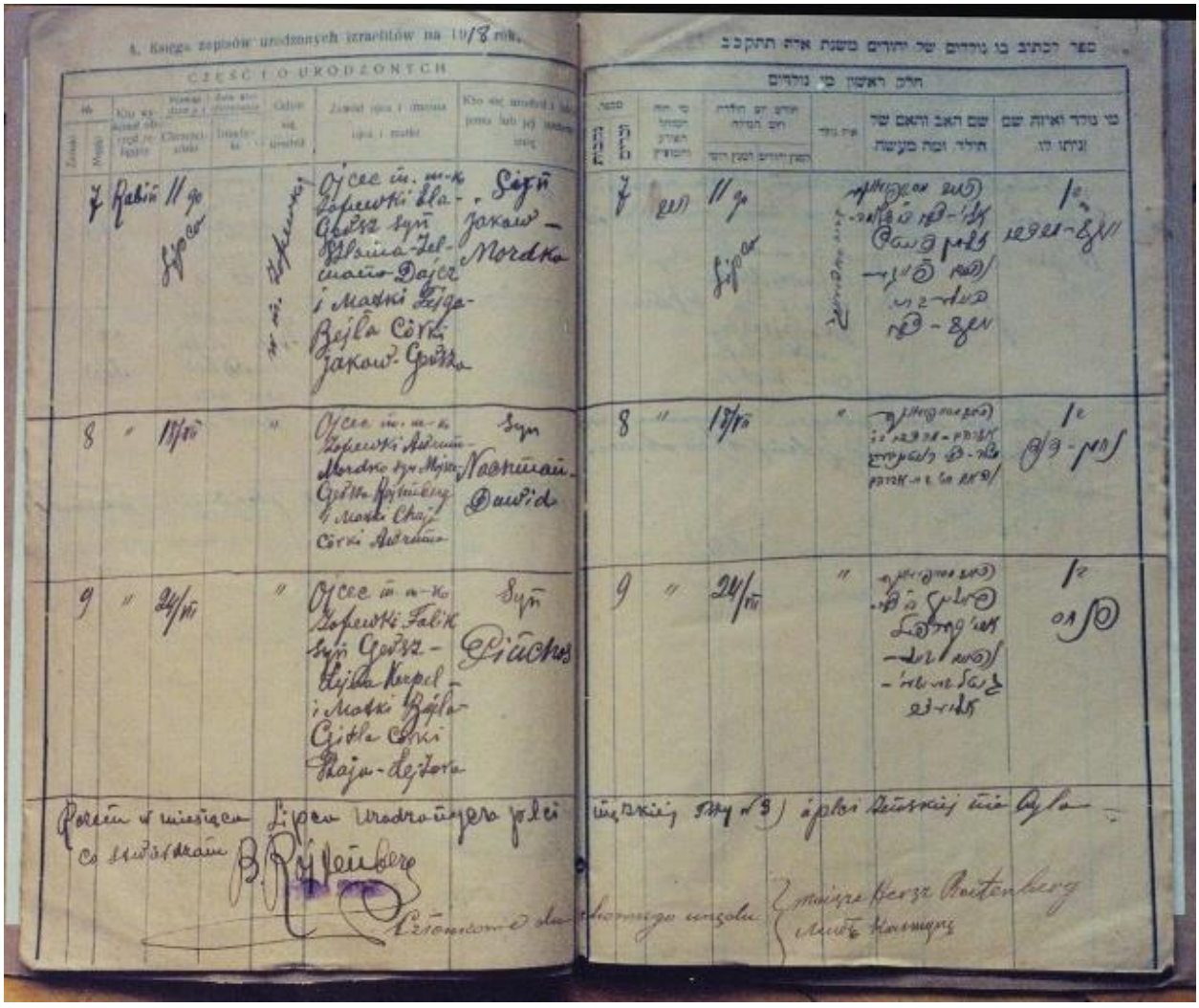

Księga urodzeń z Zofiówki, 1918. Po lewej wpisy po polsku, po prawej po hebrajsku. U dołu podpis B. Rojtenberga (Duw Ber Rojtenberg), mianowanego przez władze rabina prowadzącego księgi metrykalne. Odnaleziona w Archiwum Państwowym Obwodu Wołyńskiego w Łucku. *Fot. autora*.

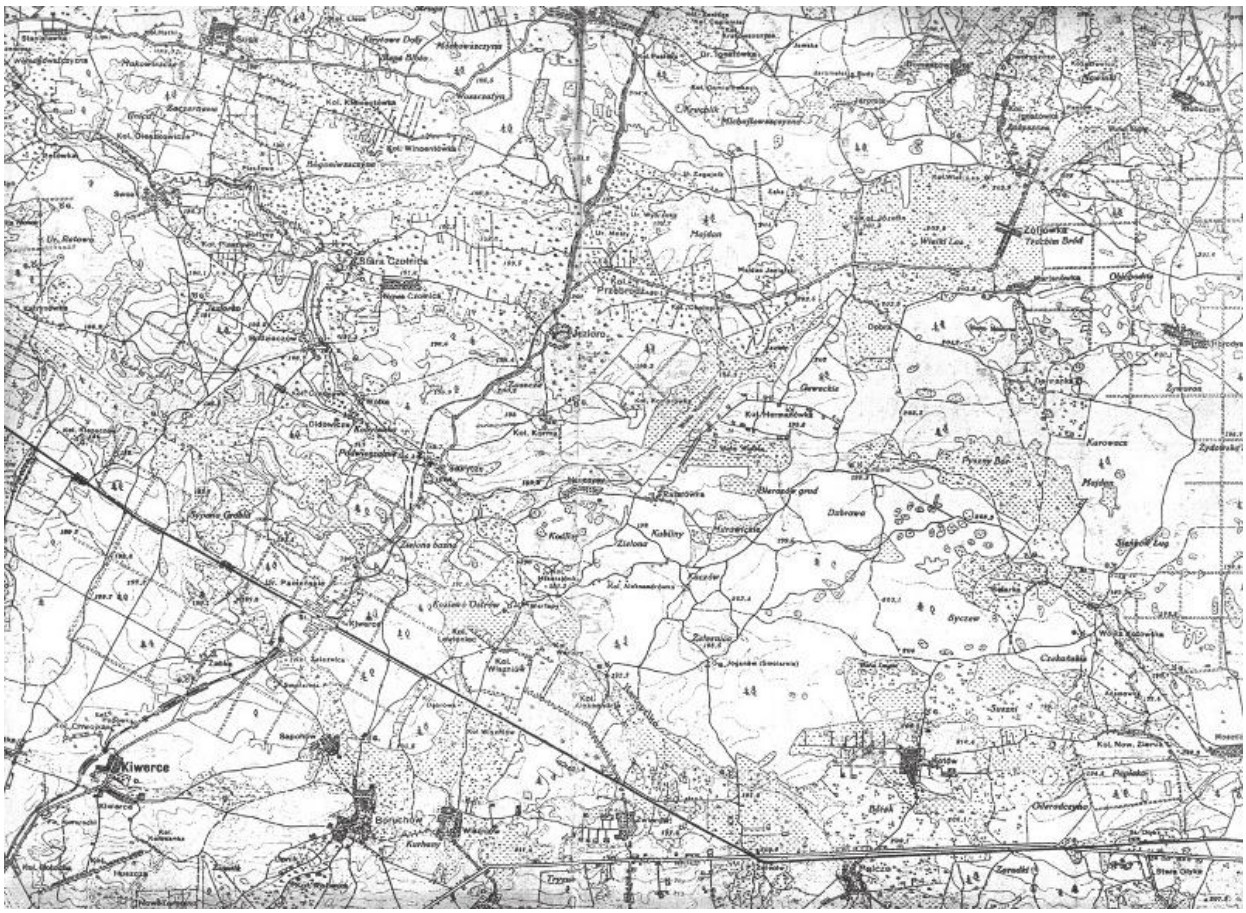

Mapa Polski, 1933. Łuck znajduje się tuż poza lewym dolny rogiem mapy. Droga z Łucka do Kołek biegnie na północny wschód przez Kiwerce, gdzie przecina tory kolejowe, dochodzi do zbudowanej wokół jeziora wsi Jezioro (zaznaczone są tam kościół i synagoga) i dalej biegnie na północ do skraju niewidocznego już na mapie Trościańca, położonego w połowie drogi między Kiwercami a Kołkami. Jadąc do Trochenbrodu z Łucka czy Kiwerców, skręcało się zwykle za Jeziorem na drogę prowadzącą na wschód, przez Przebraże, i dojeżdżało się do południowego skraju Trochenbrodu. Jadąc z Kołek, na południe, skręcało się na lewo w Trościańcu, przejeżdżało przez Jaromel i Domaszów i dojeżdżało do północnego krańca miasta. Z Domaszowa prowadziła droga do Kolonii Ignatówka, zwanej też Łożyszczem. Warto porównać wielkość Trochenbrodu z wielkością innych miejscowości w okolicy.

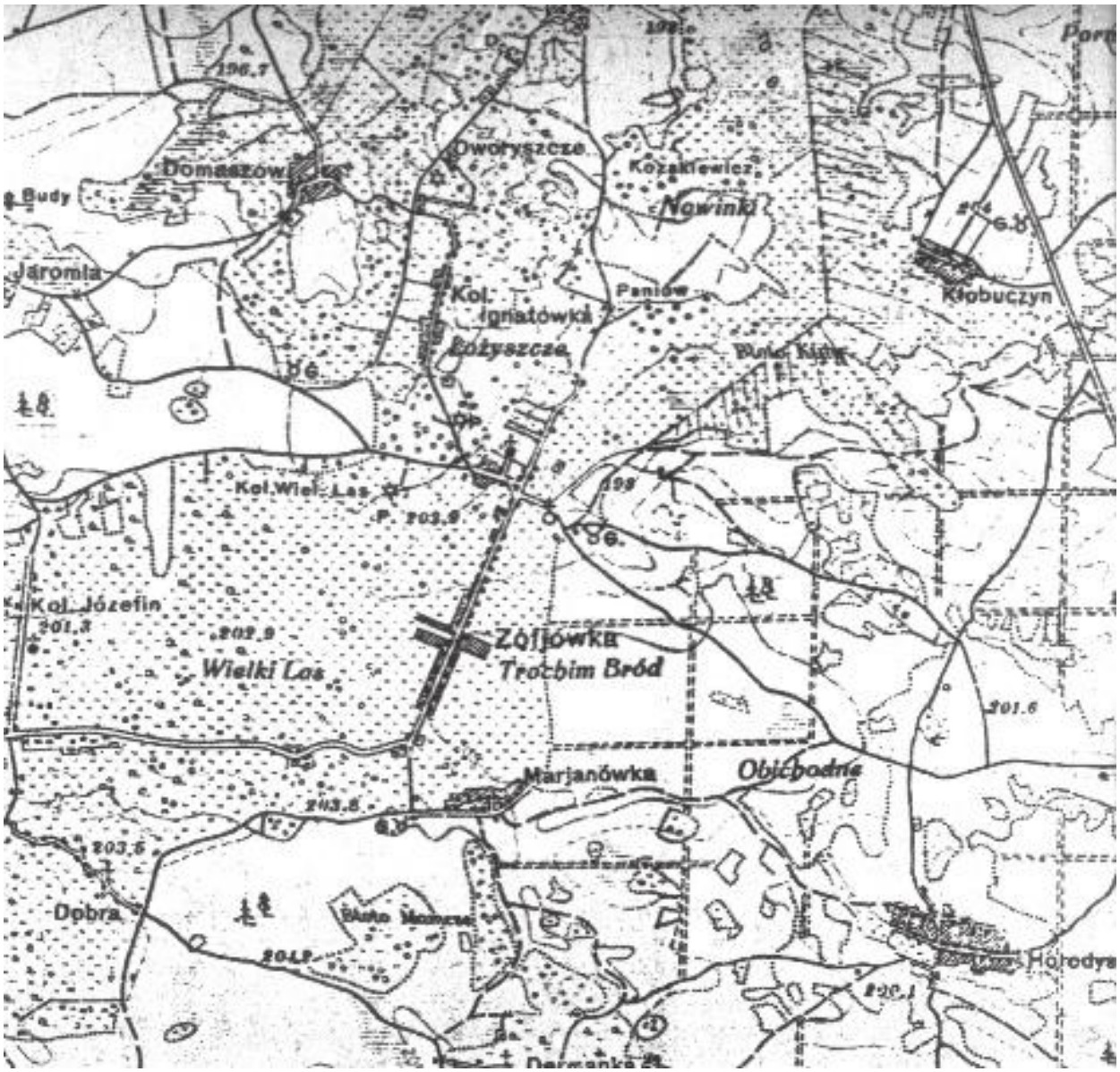

Trochenbrod i okoliczne miejscowości, mapa Polski, 1933. Na północnym skraju miasta oznaczony jest kościół wzniesiony przez Radziwiłłów. W czasie II wojny światowej chłopi z Kłobuczyna (po prawej, u góry) współpracowali blisko z partyzantami z Trochenbrodu.

Mieszkańcy Trochenbrodu, zdjęcie wykonane w 1930 roku przez Ruchlę Abrams, która przyjechała z wizytą z Cleveland. *Fot. udostępniona przez Burtona i Ellen Singermanów*.

Rabin Mosze Hirsz Rojtenberg, powszechnie znany uczony, swego rodzaju znakomitość z Trochenbrodu; zdjęcie z połowy lat 30. XX wieku. Przedruk z *Hailan V'shoreshav* (Drzewo i korzenie. Dzieje Zofiówki-Ignatówki), księgi pamiątkowej Trochenbrodu-Łożyszcza, za zgodą organizacji Bejt Tal.

Urząd pocztowy w Trochenbrodzie, koniec lat 30. XX wieku. Pierwotnie dom mieszkalny; fragment dachu budynku, widoczny nad stojącym listonoszem, można było otwierać na Sukot, Święto Szałasów. W drzwiach stoi polska naczelniczka poczty Janina Lubińska, która w czasie mordów w 1942 roku ukrywała Żydów na strychu. Na schodkach sąsiedniego domu, gdzie mieścił się warsztat wyrobów skórzanych, stoi jego właściciel Eli Potasz, ojciec Basi-Ruchli. *Fot. ze zbiorów Ryszarda Lubińskiego.*

Talmud Tora, żydowska szkoła dla chłopców w Trochenbrodzie, 1935. W budynku szkoły widać dwie dziewczynki, które musiały wśliznąć się do środka, podczas gdy chłopcy i nauczyciele przygotowywali się do zdjęcia, a teraz podglądają przez okno, co przydaje pogody pełnemu powagi zdjęciu. Odbitki tej fotografii posiada wiele osób w Izraelu i w Stanach Zjednoczonych, pojawia się ono także w księdze pamiątkowej Trochenbrodu-Łożyszcza *Hailan V'shoreshav* (Drzewo i korzenie. Dzieje Zofiówki-Ignatówki) wydanej przez organizację Bejt Tal.

Kuchnie tego typu budowali zduni z Trochenbrodu w okolicznych wsiach. Ciepło rozchodziło się glinianymi przewodami do innych pomieszczeń domu. *Fot. autora.*

Procesja polskich katolików przechodzących przez Trochenbrod w drodze do kościoła wzniesionego przez księcia Janusza Radziwiłła. Warto zwrócić uwagę na słupy linii telegraficznej i telefonicznej. *Fot. Janina Lubińska, ze zbiorów Ryszarda Lubińskiego.*

JomTow (Jontele) Beider jako żydowski pionier przy pracy, Palestyna 1933. JomTow przyjechał do Palestyny rok wcześniej jako jeden z licznych w latach 30. XX wieku osadników z Trochenbrodu. Podobnie jak wielu jego przyjaciół odrzucił swe „nazwisko z diaspory” i przyjął hebrajskie imię i nazwisko, Chagai Bendavid.

Samochód zakupiony przez władze gminy w Silnie w końcu lat 30. Od czasu do czasu pojawiał się w Trochenbrodzie i podobno między innymi dlatego zapadła

decyzja o utwardzeniu nawierzchni tamtejszej ulicy. *Fot. Janina Lubińska, ze zbiorów Ryszarda Lubińskiego.*

Pogrzeb w Trochenbrodzie, połowa lat 30. XX wieku. Po lewej na górze

widać rabina Mosze Hirsza Rojtenberga. Fot. z księgi pamiątkowej Trochenbrodu-Łożyszcza *Hailan V'shoreshav* (Drzewo i korzenie. Dzieje Zofiówki-Ignatówki) wydanej przez organizację Bejt Tal.

Dziewczęta na letnim obozie młodych syjonistów w Trochenbrodzie, 1939. Ile z nich przeżyło rzezie trzy lata później? *Fot. Janina Lubińska, ze zbiorów Ryszarda Lubińskiego.*

Uroczystość przecięcia wstęgi z okazji otwarcia pierwszego małego odcinka pokrytej nową nawierzchnią ulicy Trochenbrodu. Na poboczu podpórki nowo posadzonych drzewek. *Fot. Janina Lubińska, ze zbiorów Ryszarda Lubińskiego.*

Wilno 1939. Żydowska młodzież z organizacji syjonistycznych w całej Europie przybywała do tej kryjówki, zwanej „internatem”, w drodze do Palestyny. Przez miejsce to przewinęło się tysiące uchodźców. *Fot. ze zbiorów Hanny Ciporen.*

Ulica Trochenbrodu, 1939. Po prawej u góry widać mężczyznę stojącego w rynsztoku. Po obu stronach ulicy umocowane są belki mające uniemożliwić wpadnięcie przejeżdżających wozów do rynsztoka. Na nawierzchni widoczne są koleiny, a w tle jadąca furmanka. Dziewczynka na pierwszym planie to Basia-Ruchla Potasz. Niespełna trzy lata od chwili, gdy zrobione zostało to zdjęcie, Basia-Ruchla musiała ukrywać się z rodziną w lesie przed niemieckimi zbrodniarzami i jako jednej z nielicznych udało jej się przeżyć. Tu stoi, nieśmiało się uśmiechając, obok swego kolegi, Ryszarda Lubińskiego, syna naczelniczki poczty. *Fot. Janina Lubińska, ze zbiorów Ryszarda Lubińskiego.*

Ziemianka w obozowisku oddziału partyzanckiego Miedwiediewa w lasach koło Łopatenia, około 7 kilometrów od Trochenbrodu. Do tego radzieckiego oddziału dołączył Nachum Kohn po zajęciu Trochenbrodu przez Niemców. Dziś na miejscu leśnego obozowiska znajduje się muzeum upamiętniające miejscową partyzantkę. *Fot. autora.*

Jaromel 2006. W lesie widocznym w tle znajdowały się masowe groby mieszkańców Trochenbrodu.

Jeden z dwóch pomników w miejscach masowych grobów mieszkańców Trochenbrodu. *Fot. autora.*

Jeden z dwóch pomników w miejscu, gdzie niegdyś był Trochenbrod. Wzniesiony w 1992 roku przez urodzonych w Trochenbrodzie kilku obywateli Izraela i Amerykanina, na dawnym północnym skraju miasta, gdzie stała synagoga spalona po zamordowaniu ostatnich mieszkańców. *Fot. autora.*

Zdjęcie polskiej rodziny, przekazanej przez Betty Gold (Basię-Ruchlę Potasz). Betty mówi: „Człowiek pośrodku, Józef Bednarski, i jego syn Janek, pan młody, pomogli nam przeżyć. Byli aniołami. Utrzymywaliśmy z nim kontakty aż do ich śmierci. Moi rodzice wysyłali im paczki, lekarstwa, jakieś pieniądze”.

Label Safran z Trochenbrodu (po lewej, na górze) i ukraińska rodzina, która go ukrywała w czasie masowych mordów: Dawid Żuwniruk, jego żona Jaryna i córka Katerina. *Fot. ze zbiorów Esther Foer.*

Obóz dipisów w Foehrenwald koło Monachium, 1947. Ocaleni z Trochenbrodu i Łożyszcza na spotkaniu ku czci tych, którzy zginęli. Pośrodku drugiego rzędu Label Safran. *Fot. ze zbiorów Esther Foer.*

Ostrze motyki znalezione na polach Trochenbrodu w sierpniu 2009 roku przez operatora Andrija Dmitruka i ofiarowane autorowi.

Klamka do drzwi znaleziona w sierpniu 2009 roku w miejscu, gdzie stały domy Trochenbrodu, przez operatora Andrija Dmitruka i Sergija Omelczuka i ofiarowane autorowi. Widoczny jest ornament roślinny z gałązek i listków. *Fot. autora.*

Po dziś dzień dostrzegalny jest w krajobrazie ślad ulicy Trochenbrodu. W tle las Radziwiłłów. Drzewa i krzewy, potomkowie tych, które stały przed domami Trochenbrodu, trwają nieustępliwie na płaskim terenie, gdzie niegdyś znajdował się Bród Trochima. *Fot. autora.*

Niebiosa są puste

Spis treści

Okładka Karta tytułowa *Izrael Beider* NA WODZIE Przedmowa NASTĘPNEGO ROKU W TROCHENBRODZIE *Wprowadzenie* JAK TO SIĘ ZACZĘŁO *Rozdział pierwszy* PIERWSZE STO LAT *Rozdział drugi* MIĘDZY WOJNAMI *Rozdział trzeci* ZMIERZCH *Rozdział czwarty* CIEMNOŚĆ *Epilog* NASTĘPNE LATA ŚWIADKOWIE WSPOMINAJĄ SŁOWNICZEK TERMINÓW HEBRAJSKICH I ŻYDOWSKICH KALENDARIUM ŹRÓDŁA INNE ŹRÓDŁA PODZIĘKOWANIA Ilustracje Karta redakcyjna